

M.E.
im.
L.W.
w Łodzi

19.04



Reporter poszukuje uzdrowiciela str. 5

Każda partia szuka wroga str. 1 i 3

Generał Iwan Sierow specjalista od spraw polskich str. 4

„Facet”: skąd wziąć 2 tysiące funtów str. 10

Matka jest tylko jedna...

Szpital będzie — pomnik zniknął

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

1. Płótki zawsze towarzyszyły tej budowie. Dodawały smaczku. Ale wcześniej był powszechny pokłask i euforia. No bo cóż za cudowny pomysł, piękna idea; w Łodzi, mieście kobiet, zmęczonych, spracowanych, mieście brzydkim i brudnym niczym stary plakat z „Ziemi Obiecanej” wybudujemy społecznym wysiłkiem szpital-pomnik. Pomnik Matki.

Był rok 1983, pierwszoplanowa postać naszego życia politycznego patronowała idei, no i — rozpoczęto budowę. Poszło gładko — zarządzenia, wmurowano akt erekcyjny, kłamka zapadła. I nikt nawet nie pisał: Ludzie budujemy szpital, na cholere nam pomnik.

Od 1983 roku do końca lutego roku 1990 na koncie budowy pomnika odnotowano 36 miliardów 818 milionów złotych. A wydatki? Dokładnie — 36 miliardów 412 milionów. Pozostało więc — per saldo — zaledwie 406 milionów, co jest kwotą śmieszną wobec ogromu prac, jakie „na pomniku” trzeba jeszcze wykonać.

Wbrew chwytającym za serce hasiom szpitali rósł dzięki dotacjom z budżetu centralnego, które we wspomnianym okresie przekroczyły znacznie 30 miliardów złotych. Natomiast, pomijając środki refundowane przez Urząd Miasta Łodzi i wpływy po sprzedaży dolarów USA — my, czyli społeczeństwo złożyliśmy się, przynajmniej to ucz-

7

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy



NR 16 (1673) ROK XXXIII 22 KWIETNIA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

Rys. Dariusz Romanowicz

O przyszłości Łodzi muszą zdecydować jej mieszkańcy!

Każda partia musi mieć swego wroga

Rozmowa z MARKIEM EDELMANEM — przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego w Łodzi.

— Teraz wszyscy przemawiają w imieniu społeczeństwa, a przecież skoro mamy pluralizm, to powinno się mówić tylko w imieniu tych, kogo się rzeczywiście reprezentuje. Kogo zatem reprezentuje WKO w Łodzi?

— Nie jestem takim optymistą jak pani i nie uważam, że mamy już pluralizm. Do tego jeszcze daleko. Mamy natomiast taką sytuację, że poprzedniej władzy wprawdzie nie ma, ale zostali ludzie, którzy władzę tę tworzyli. I oni mają wspólne interesy.

— Kogo pan ma na myśli?

— Są to interesy administracji — mówiąc ogólnie — byłych funkcjonariuszy partii, służby bezpieczeństwa, milicji. Czują się zagrożeni od chwili, kiedy Tadeusz Mazowiecki został premierem, tylko przycichli, powiązali się w różne grupy i grupki. Nie chcą użyć brzydkiego słowa: gangli czy mafie. Ale to istnieje.

— Jest pan o tym przekonany?

— Naturalnie! Przykładem mogą być wybory do gminnych spółdzielni. W 70 procentach nie się tam nie zmieniło. Na ostatnim spotkaniu Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie przedstawiciel „Solidarności” Rolników Indywidualnych mówił o tym, że tam, gdzie byli przy wyborach, tam wygrali.

— Jak pan sądzi, dlaczego były takie wyniki wyborów?

— W dużej części jest to wina partii chłopskich, które zamiast zająć się wyborami, zajmowały się walką między sobą. A po drugie — ludzie nie potrafili poruszać się w gąszczu spraw, których często nie rozumieją, bo ich nikt tego nie nauczył, bo nie ma kto wytłumaczyć, o co tu chodzi, o co toczy się walka.

— Jakie mogą być tego skutki?

— One już są. Widać je w sklepach, w których nie ma mięsa. Mieso natomiast jest na rynku. Mam znajomych w Suwałskiem, którzy jeśli nie pojedą do miasta na rynek, to w skupie GS nic nie mogą sprzedać. Po tych wyborach w gminnych spółdzielniach niewiele się zmieniło. I dlatego walka z ludźmi, którzy zdecydowali za poprzedniej władzy nie skończyła się.

— Nie sądzi pan, że w tej walce znaczną rolę mogłyby odegrać powstające nowe partie polityczne?

— Nie sądzę. To są bowiem dopiero zalążki partii. Te partie mają po kilkudziesięciu członków, niektóre kilkuset. Ich programy obracają się wokół tych samych pojęć: pluralizm, naród, kryzys, ojczyzna. Ich wizje przyszłości są do siebie podobne. Nie mają alternatywy dla programu rządu, dla planu Leszka Bałcerowicza. Najwyżej jakieś poprawki. I dlatego w najbliższym czasie nie widzę możliwości rozwoju tych partii.

— Szansę ma tylko ruch obywatelski?

— Tak! Ruch ten — czy tego chce czy nie — zmuszony jest do podjęcia walki z monopolami byłej władzy, z tym, co po tym monopolu pozostało. Jeśli tego nie zrobi teraz — przed wyborami samorządowymi — to za dwa, trzy lata będzie za późno. Ruch ten musi dokonać ogromnej przemiany społeczeństwa takiego, jakie ono jest — w społeczeństwo obywatelskie.

— Społeczeństwo opierające się na samorządzie?

— I odwrotnie: samorząd opierający się na społeczeństwie. Powinny powstać dziesiątki, setki i tysiące komitetów osiedlowych, blokowych i dzielnicowych, które będą stymulowały działalność władz centralnych i lokalnych. Jeśli tak się nie stanie, to rząd będzie zawieszony w próżni.

— Jakie kryteria postawiłby pan kandydatom na radnych?

— Powinni to być ludzie nieposzlakowani, uczciwi, i najważniejsze — fachowcy w danej dziedzinie. Powinni też mieć wizję, co dalej robić, aby mogły się rozwijać osiedla, dzielnice, wsie i miasta.

— Sądzi pan, że się wielu takich ludzi znajdzie?

— Tak. Oczywiście mogą być i zapewne zdarzą się pomyłki. Ale są już przykłady, że tacy ludzie są i pracują, myślą, projektują. Na osiedlu im. Jana Matejki w Łodzi opracowano plan rozwoju, który wymaga nie nakładów finansowych a zmiany niektórych przepisów. W Politechnice Łódzkiej powstał projekt usprawnienia komunikacji. Takich przykładów jest wiele.

— W których wyborach do rad narodowych obok listy radnych do wojewódzkiej rady narodowej była też lista fachowców, specjalistów. Nie było to najlepsze doświadczenie. Zrezygnowano więc z tego. Czy nie obawia się pan, że fachowcy będą absorbowani samorząd swoimi wąsko pojętymi sprawami? Czy nie lepiej szukać raczej polityków szerszego grunty?

— Bez ogólnej polityki miasta żaden fachowiec nie nie zrobi. To oczywiście, Łódź jest w strasznej sytuacji finansowej. To wiemy. Wiemy też, że w ciągu roku wiele nie da się zrobić. I wiemy wreszcie, że niezbędna jest wizja miasta, jakie ono ma być. Ale tego nie zrobią amatorzy. Musi zatem istnieć polityka miejska.

— Co to znaczy: polityka miejska?

— Są kraje, w których nie wolno do wyborów samorządowych startować partiom. Wychodzi się tam z założenia, że obojętne czy ktoś jest lewicowcem, prawicowcem czy centrystą, to miasto musi żyć i dobrze funkcjonować. Chodzi więc o to, żeby radni nie realizowali tylko partyjnej polityki, a dbali o rozwój miasta.

— Jaki jest program WKO dla Łodzi?

— Opiera się on na dwóch założeniach. Po pierwsze — zatrzymanie proces degradacji miasta. Po drugie — program rozwoju miasta musi służyć mieszkańcom. Jeśli mówimy o rozwoju osiedla, to jego mieszkańcy muszą wiedzieć, gdzie mają być kwiaty, jak przebiegać ma wodociąg, gdzie wyznaczyć plac zabaw dla dzieci, gdzie inne osiedlowe urządzenia, które im mają służyć.

— Nie sądzi pan, że samorząd będzie miał do pokonania trzy bariery: pierwsza — brak pieniędzy, druga — brak doświadczenia, trzecia — propagandowe hasło, że jak wybierzemy samorząd, to zaraz wszystko zmieni?

— Zaczę od końca. Nikomu nie wmawiamy, że jak tylko powstanie samorząd, to stanie się cud. Nie obiecujemy złotych gór. Mamy świadomość tego, że służbie zdrowia nie damy podwyżek plac. Ale pracownicy tej służby zdrowia wiedzą, że trzeba, i jak trzeba, zmienić jej strukturę, dokonać reorganizacji. I to jest możliwe i od nich samych zależne. Nie obiecujemy, że radykalnie poprawimy komunikację, ale niech ludzie pracujący w komunikacji, samorzady różnych szczebli pomyślą, jak lepiej te pieniądze, które już są, wykorzystać, co zmienić i poprawić. I to jest możliwe, osiągalne i nie wymaga dodatkowych pieniędzy. Chcemy i będziemy popierać różne obywatelskie inicjatywy, na przykład społeczne szkoły i tak dalej.

— Zakładanie żłobków, przedszkoli?

— A właśnie, żłobki. Wcale nie jestem przekonany, że są potrzebne. Jeżeli do każdego dziecka dokłada się miesięcznie 800 000 złotych, to może lepiej opłacić się dać je matce i niech ona zajmie się dzieckiem. To w

3



Foto: Grzegorz Olszowski

Adres redakcji:

90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5. Telefony: redaktor naczelny 36 52 44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36 80 99, publicyści: 36 77 70, 32 89 70

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doroczyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdllich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski, **Graficy:** Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc, **Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński,

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk, **Stale współpracują:** Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronciewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst, Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Monika Matuszak, Zenon J Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch” 91-103, Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie wwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora, odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumeratorem w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumeratorem.

Przegląd prasy

Popularny aktor amerykański Kirk Douglas jest narodowości żydowskiej. Jego przodkowie — podobnie jak większość Żydów — pochodzą z Polski. Jesienią 1952 roku po raz pierwszy przybył do Europy. Był krótko w Rzymie i Wenecji, a następnie udał się do Izraela, gdzie kręcono film pt. „Sztukmistrz”. W kolejnym odcinku wspomnień drukowanych na łamach „LITERATURY” (nr 3, cena 4200 zł) Kirk Douglas pisze:

„Dla mnie, jako Żyda, było podniecające znajdować się na ziemi moich przodków, w kraju mojego dziedzictwa. [Podniecająca była świadomość, że przed tysiącami lat mój naród, niewolnicy egipskiego faraona, przyprowadzony przez Mojżesza, przybył tutaj: Ziemia Kanaan. Kraina miodem i mlekiem płynąca. Ale teraz z pewnością nie była krainą miodem i mlekiem płynącą. Była wypalona, jak woda, istniała straszna nędza. Racjonalizacja żywności. Ale nie słyszało się skarg. Ponieważ mimo wszystko było cudownie wreszcie stanąć w większości”.

Reżyserem pierwszego amerykańskiego filmu w Izraelu był Eddie Dmytryk, którego Kirk Douglas bardzo dobrze znał. Na miejscu okazało się jednak, że reżyser nie przyznaje się do tej znajomości. Było to dziwne, ale wytłumaczalne...

„Eddie należał do «wrogiej dziesiątki», odsiedział rok w więzieniu za to, że był komunistą, i miał ogromne problemy z przystosowaniem się do życia po wyjściu z więzienia. Charlie Feldman pytał mnie, czy mógłbym pomóc Eddiemu w znalezieniu pracy. Nie tylko pomogłem mu znaleźć pracę, ale mu ją dałem. Placilem mu tygodniową pensję, żeby pracował nad scenariuszami. Zabierałem go do restauracji, na mecze futbolowe. Zapraszałem do domu, chociaż wiele osób uważało, że to głupie przebywanie w jego towarzystwie i że może to okazać się dla mnie zgubne, że takie twierdzenia są błędne. Czas minął. Eddie zaczął działać, reżyserował kilka filmów, jeden we Francji. Nigdy nie miałem od niego żadnej wiadomości, nigdy go nie widziałem.

Kiedy zaczęliśmy «Sztukmistrza» ten człowiek, któremu okazałem przyjaźń, wtedy gdy potrzebował pomocy, patrzył na mnie jak na zupełnie obcego. Nie wspominał o naszej dawnej przyjaźni, a więc i ja nie miałem zamiaru do tego wracać. Może był zakłopotany, jak otrzymał znowu pracę: stał się informatorem. On jeden z tej «dziesiątki» kajal się, przyznał, że był komunistą i wymienił nazwiska — dwadzieścia sześć nazwisk.

Może nie powinienem osądzać. Często się zastanawiałem, co bym uczynił na jego miejscu. Po latach, nim zacząłem «Pasję życia», MGM kazał mi podpisać dokument, że nigdy nie byłem komunistą. Cóż, nigdy nie byłem komunistą, ale oburzało mnie podpisanie tego papierka. Ostrzo oponowałem. Jednak w końcu podpisałem”.

Amerykańska ekipa filmowa przebywała głównie w kurorcie Shivizion, na północy Izraela, niedaleko granicy z Libanem. W pobliżu kurortu znajdowało się miasteczko Nahariya, w którym osiedlili się Żydzi z Niemiec. Wydawało się, że będą oni przeklinać Niemcy, a tymczasem tęsknili za dawną ojczyzną...

„Było to śliczne miasteczko, nieskazitelnie czyste, zadbane, tak jak to Niemcy potrafili. Niemieckie przedstawienia czy pieśni były zabronione w Izraelu. Ale pewnego wieczoru odbył się nielegalny koncert; urządził go członek naszej grupy, Oskar Karlweiss, sławny niemiecki pieśniarz i komik. Przyszli wszyscy niemieccy Żydzi z miasteczka i śpiewali stare niemieckie pieśni, a tacy śpiewali im po twarzu.

Staralem się to zrozumieć. Tęsknili za krajem, gdzie się urodzili, gdzie spędzili dzieciństwo. Ale odczuwała się we mnie druga strona, pytałem sam siebie. Jak oni mogą? Jak silne sentymentalne więzy przywiązania mogą przeważać nad tragicznymi losami tak wielu ich krewnych, tak wielu ich przyjaciół. W Jeruzolimie zwiedziłem Yad Vashem, muzeum, gdzie przechowywane są świadectwa zbrodni. Miałem mieszane uczucia, gdy patrzyłem na pełne zachwyty twarze Niemców w Izraelu słuchających «Deutsche Lieder» i zapominających przez chwilę, czym stała się ich ojczyzna”.

Po zakończeniu pracy w Izraelu Kirk Douglas znowu przybył do Rzymu, aby wystąpić w filmie „Ulisses”. Pewnego razu uczestniczył w bardzo eleganckim przyjęciu. Obok niego siedziała piękna brunetka z niesłychanie wielkim dekoltem. Pomiędzy odświeżonymi piersiami wisiał duży krzyż na złotym łańcuszku. W trakcie ożywionej rozmowy pojawił się temat Żydów...

„I ta piękna, pełna seksu kobieta, siedząca po mojej lewej stronie której biodro opierało się wygodnie o moje, powiedziała: — Jest coś takiego w Żydach, że nitychymast ich poznaje. Poznałem ich w chwili, gdy wchodziłem do pokoju. Może to zapach, ale coś w nich jest. I nie mogę ich znieść. — I tak mówiła, a ja słuchałem. Wreszcie przerwałem: — No tak, oczywiście będąc Żydem mam inne zdanie.

Widziałem, że brakuje jej tchu, że sztywnieje jej noga dotykająca mojej. Patrzyła na mnie, jakby nie była pewna, czy naprawdę to usłyszała. Nic nie mówiłem, obserwowałem ją. Z niedowierzaniem zapytała: — Jesteś Żydem? — Tak, jestem. I palnąłem: — Mimo wszystko jest mi bardzo trudno zrozumieć, jak możesz z łatwością zidentyfikować Żyda. Z pewnością nie możesz tego zrobić na podstawie nosa. Wielu Rzymian ma haczykowane nosy. Wielu Włochów ma śniadą cerę. (...)

Przyjrzałem się jej dokładnie: ciemna, nos lekko haczykowany mógłby uchodzić za nos rzymski, krzyż — trochę za duży — pomiędzy zmarszczonymi piersiami. Nie wiem co za telepatyczna fala przypłynęła do mnie, bo nagle powiedziałem: — Tak, jestem Żydem. I powiem ci jeszcze coś: Ty jesteś Żydówka.

Zaczerwieniła się. Rumieniec zaczął się na szyi i dotarł aż do czoła. Powiedziała mi. Chciała coś powiedzieć. Nagle wstała, pokręciła głowę i odeszła. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że ta piękna kobieta jest naprawdę Żydówką. Było mi przykro. Pamiętam dni mojej młodości, kiedy nie chciałem dźwigać brzemienia żydostwa”.

Kirk Douglas twierdzi, że atrakcyjne, mocne i bezoporne są dziewczęta izraelskie. Udało mu się poderwać osiemnastoletnią Leach, która odbywała służbę wojskową i zawsze chodziła z bronią. Pojechał razem do Eljatu nad zatoką Akaba. Pływali w Morzu Czerwonym, leżeli na plaży, a w nocy kochali się. Potem on wrócił do pracy, ona do armii. Wszystko odbywało się z taką swobodą, uczciwie i bezpośrednio, że był zdumiony

Na plan filmowy często wpadał Moshe Dayan. Sławny generał Izraeliści przyprowadzał również swą atrakcyjną żonę, która prowadziła sklep w Tel Awiwie. Towarzyszyli im dwóch synów i nad wiek rozwinięta dwunastoletnia Yael...

„Yael była bardzo inteligentną dziewczynką, pełną seksu, nawet w tym młodym wieku. Zartując powiedziałem: — Stuchaj, Yael, tutaj mam dziesięciocentówkę (moneta do automatów telefonicznych — red.). Kiedy skończysz siedemnaście czy osiemnaście lat i będziesz w pobliżu Hollywood, zadzwoni do mnie. — I pięć czy sześć lat później telefon z Los Angeles. Dzwonił Yael Dayan. «Jestem». Izraelczytu, to zadziwiający człowiek.

STOSUNKI POLSKO-ŻYDOWSKIE

Na ziemi polskiej Żydzi zaczęli napływać od pierwszej wyprawy krzyżowej. Już za księcia Mieszka III Starego wytwarzali monety z polskim napisem tłoczonym hebrajskimi literami — „Mszka król Polski”. W 1264 roku żydowska gmina kaliska otrzymała ochronę prawną, a w następnym stuleciu Kazimierz Wielki przyznał Żydom przywileje w całym kraju.

Uchodząc przed prześladowaniami na Zachodzie, Żydzi znaleźli w Polsce dobre warunki rozwoju. Na przełomie XIV i XV w. było ich około 30 tys., dwadzieścia lat później — 150 tys., w ostatniej ćwierci XVIII wieku — 800 tys., przed wybuchem II wojny światowej — 3 mln 500 tys. O stosunkach polsko-żydowskich mówi w „SZTANDARZE MŁODYCH” (nr 69) ambasador Izraela Mordechaj D. Palzur:

„Dla nas, obywateli izraelskich, Polska nie jest jednym ze stu kilkudziesięciu innych państw na świecie. Tu Żydzi mieszkali od przeszło dwięciusetuleci. Ten kraj otworzył przed nami swoje wrota w tych czasach, gdy wiele innych było przed nami zamkniętych. Tutaj Żydzi mogli wyznawać swoją religię, uczyć się po hebrajsku, mogli się rozwijać pod względem intelektualnym i ekonomicznym. Wiadomo, że otwarcie tych wrot spowodowało obustronne korzyści. W tym czasie w Polsce panowała szlachta, dla której zajmowanie się sprawami codziennymi, jak handel czy rzemiosło, byłoby poniżej jej honoru. Z drugiej strony byli niepiśmienni wieśniacy. Brakowało mieszczanstwa, które mogłoby rozwinąć działalność gospodarczą. Te luki wypełniali Żydzi.

Jednocześnie Żydzi byli zamkniętą grupą etniczną, rozmawiali innym językiem, wyznawali inną religię, mieli inne zwyczaje, nawet odmiennie się ubierali. Poza tym nie wchodzili w związki rodzinne z Polakami i vice versa. Wielu z nich mieszkało w wsiach i zajmowało się handlem, a ich stan majątkowy był lepszy niż przeciętnego wieśniaka. Trzeba też stwierdzić, że w porównaniu ze szlachtą Żydzi nie mieli pełnych praw. Byli obywatelami drugiej kategorii. Do tego dochodziły różnice religijne i różnie przesady ze strony Kościoła katolickiego, który przedstawiał żydostwo... powiedzmy w nie najlepszym świetle. Z biegiem czasu wszystko to zmieniło problemy.

To jest aspekt historyczny. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że przed wojną na terenach Rzeczypospolitej mieszkało około 3,5 mln Żydów, to znaczy 10 proc. ludności polskiej to byli Żydzi. Co trzeci mieszkaniec Warszawy był Żydem. Gdyby było im tutaj tak źle, to nie byłoby ich tak wielu”.

Ilu dziś Polka ma obywateli narodowości żydowskiej? Mordechaj D. Palzur nie zna dokładnej liczby. W gminach żydowskich zapisanych jest od 3 tys. do 5 tys., ale nie wszyscy należą. Niektórzy zmienili nazwiska, aby zatrzeć ślady swojego żydostwa, lecz teraz przychodzą do ambasady Izraela i przyznają się, że są Żydami. Obecnie w Izraelu toczy się wielka dyskusja na temat tego, kogo uznać za Żyda.

„Żydzi ortodoksyjni zgodnie z literą Pisma Świętego uważają, że Żydem jest ten, którego matka jest Żydówką. Są spory, czy jeśli ktoś ma ojca Żyda i matkę nie-Żyda, to jest Żydem czy też musi, jak wszyscy inni nie-Żydzi, poddać się religijnemu obrządkowi przejścia na judaizm i obrzezania. Na ogół jednak przyjmuje się, że Żydem jest ten, kto miał matkę Żydówkę. Wtedy on nie musi wierzyć, chodzić do synagogi, święcić święta w piątek wieczór — on po prostu urodził się Żydem”.

Mordechaj D. Palzur przewiduje, że po wznowieniu stosunków dyplomatycznych między obydwoma państwami, do Polski będzie przyjeżdżało więcej Izraelczyków i Żydów z innych krajów, gotowych tu inwestować. Wielu z nich pochodzi zresztą z Polski i wyraża zadowolenie z powodu powrotu do normalnych stosunków.

Przed wojną obywatele polscy wyznania żydowskiego stanowili 27,2 proc. ludności miast oraz 3,2 proc. ludności wiejskiej. Żydem był co drugi adwokat w Polsce, co trzeci lekarz, 43 proc. burżuazji, połowa drobniomieszczanstwa, trzy czwarte kupców i pośredników.

PONURA PRZEPOWIEDNIA URBANA

W felietonie zatytułowanym „Sztycherzy śmiech Józefa” i opublikowanym na łamach „TRYBUNY” (nr 49) Jerzy Urban podkreśla, że w polityce i historii najważniejszy jest koniec. Dobre początki jeszcze o niczym nie świadczą. Wskazują na to pouczające dzieje stalinizmu.

„W imię jakich ideałów Koba Dżugaszwili, zamiast zostać papem i wygodnie sobie leżeć na popadzi, męczył się za młodu w turmach i na złykaczach? On chciał wolności słowa, ludności, zniszczenia apodyktycznej władzy i ucisku, zwolnienia więźniów politycznych, wolnych wyborów do Konstytuancy i demokratycznej konstytucji, sprawiedliwości opartej na prawach równych dla wszystkich i paru, jeszcze pięknych rzeczy. Przecież to wykupany Michnik, Havel czy inny Kuroń! Dopiero po huknięciu z „Aurory”, kiedy wrogowie tych ideałów i władzy ludu próbowali je zniszczyć, trzeba było chwytliwie ograniczyć wolność prasy, tymczasowo zawiesić działalność wieksości partii politycznych, wyjątkowo rozpedzić parlament i ustanowić chwilowe prawa ułatwiająca Feliksowi Dzierżyńskiemu uporanie się z kontrrewolucją i sabotażem. I tak poszło. Potem zaś któśkolwiek wymyślał idee młodego Kobu — z tym dojrzały Stalin robił to, co z nim samym czynił carat i jeszcze o wiele gorzej czynił”.

Jerzy Urban zwraca uwagę na podziły rysujący się w obozie „Solidarności” i przewiduje zmianę kursu politycznego. Pod koniec felietonu pisze: „Ważną, osobą konkretną, mieć będzie o wiele większe poparcie społeczne niż demokracja, w końcu jakaś tam abstrakcja tylko. Ważna może, podobnie jak w 1980 r., zgarnąć cały potencjał niezadowolonych i frustracji, który w Polsce narasta. Szykuje nam się ostry reżim zaprawiony demokratyczną frazeologią i złagodzony polskim bałaganem. Skończy się ten cały parlamentarizm, a będą dekrety, nadzwyczajne uprawnienia i trybunały. Zamiast złego czerwonego totalitaryzmu będziemy więc mieli dobry z prezydentem Wałęsą i premierem Najderem.

Historia Polski na tym się nie zatrzyma. Za trzydzieści lat antytotalitarna opozycja triumfuje znowu na 10 miesięcy. Dzieje trybunałów są zaś przeważnie takie, że wpraw stały przed nimi ci, przeciw którym się je tworzy, a zaraz po nich ci, którzy je stworzyli. Mogłoby być o tym powiedziec Robespierre i Danton, Jeżów, Jagoda i Beria. Stalin jeszcze nie raz zachichocze, kiedy porażając z piekła na świat swe ciężkie, unikiłone spojrzenie zatrzyma na Polsce”.

EDWARD GIEREK OSKARŻA

Polityka jest bardzo kapryśnym i okrutnym żywiołem. Najlepiej wiedzą o tym zresztą sami politycy. W przedświątecznym wydaniu tygodnika „POLITYKA” (nr 15) Edward Gierek zwierza się — jest to fragment głosnej kłaski „Przerwana dekada” — jak potrafił walczyć w wreszcie 1980 roku Stanisław Kanja:

„Pamiętam dobrze jak z namaszczoną powagą poinformował mnie, że postanowiono użyć w moich ciężkich obowiązkach. A największy ciężar miał spocząć na jego barkach, bo wybrano go na moje miejsce pierwszego sekretarzem. Kiedy o tym mówił, nie miał ukryt radości, choć przybrał minę żalobną. Gdy atmosfera stała się nieprzyjemna — nie widziałem powodu, by uczestniczyć w jego radości — zapomniał mnie pośpiesznie, że skoro tylko wrócę do zdrowia, to zgodnie z intencją Komitetu Centralnego zostanie powołany na przewodniczącego partii. Nigdy nie byłem zwolennikiem teorii Parkinsona, więc pomyślałem wówczas nie bez ironii, że w obecnej trudnej sytuacji kraju taka posada potrzebna jest jak dzwura w moście...”

Edward Gierek powiedział Januszowi Rolickiemu, że z dwóch powodów jest dumny. Po pierwsze — doprowadził do porozumienia ze strajkującymi robotnikami. I po drugie — jako jedyny dotąd pierwszy sekretarz nie skalał sobie rak krwią rodaków.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Na początku lutego 1930 r. pociąg dotarł do miejscowości Barabinsk. Milicja kazała wszystkim wysiąść. Był 35-stopniowy mróz. Głodnym i siwym z zimna oznajomiono, że muszą jechać dalej 195 km, w tajgę do Narymskiego Kraju, do powiatu Wierbozarowskiego. Do stała się tam można było jedynie saniami. Woźnicy trzeba było zapłacić. Oznajmił on, że na sanie weźmie tylko matkę, natomiast dzieci muszą iść pieszo. Konie ledwo przebiły się przez zasy. Woźnica zdjęty litością dał grzędnym w śniegu dzieciom gazety i szmaty, i kazał nimi obwiązać nogi. Matce dał stare walonki. Kres ich wędrówki stanowiła biedna wioska w samym sercu Syberii. Mieszkańcy w większości byli skończony, ludzie uprzejmi, gościnni i czysti. Po dwóch miesiącach uciążliwej podróży zesłańcy mogli wreszcie odpocząć — reporter MAGDALENY GROCHOWSKIEJ.

— Rankiem 29 maja 1945 r. brytyjski generał oświadczył zinnym, że wszyscy Kozacy z rodzinami zostaną przekazani władzom sowieckim. Wówczas to z ust Kozaków padły słowa, że wola umrzeć z głodu, niż wrócić do Związku Radzieckiego. Pewien sotnik podszedł do generała i poprosił przez tłumacza o wydanie po jednym naboju dla każdego, aby wszyscy mogli popełnić samobójstwo. Któryś z duchownych zaczął odmawiać głośno modlitwy za konających. Szkoce górala plunęli pod nogi Kozaków ostrzegawczyimi strumieniami wody z miotaczy, które wypaliły wokół jeńców trawę. Za zaczęły się ataki hysterii. Powiesił się dziennikarz Eugeniusz Tarusski, zastrzelił generał Silkin... Tłum prawosławnych i muzułmanów zawodził do Bogu o zmilowanie. Szkotki grzmociły Kozaków palkami i kolbami. Podczas wywózki żołnierzy doszło do masakry. Niektórzy rzucali się pod kasnie angielskich czołgów. Sporo ludzi utonęło w Drawie. Wśród ofiar były kobiety i dzieci — o tragedii rosyjskich Kozaków i górali kaukaskich, których żołnierze brytyjscy wydali w ręce NKWD, pisze RYSZARD BADOWSKI.

— Minister Kuroń i poseł Lityński to ludzie, których poznałem już dawno, gdy nie zajmowali jeszcze tak znakomitych stanowisk. Darzę ich nadal szacunkiem, ale nie zmienia to smutnej konstatacji, że nie ma obecnie komisyj nimi porozumienia. Mam na myśli problemy przemysłu lekkiego, a także stosunek rządu do bezrobocia. Zapytałem ministra Kuronia, dlaczego nie dotrzymał słowa danego na spotkaniu w „Obronach Pokoju”, że nie będzie redukcji w przemyśle lekkim. Odpowiedział, że się pomylił... To nas zupełnie nie satysfakcjonuje, a czas nagli. Zaufanie ludzi do rządu ma swoje granice — mówił PAWEŁ LIPSKI, przewodniczący Krajowej Sekcji „Solidarności” Przemysłu Lekkiego.

— Betty Cow rozchyliła drzwi do pokoiku na piętrze o dziesięćdziesiąt pięć. Na progu przystąpiła zdjęta niepokojem. Cóż to, czemu nie stycha oddechu dziecka. Po chwili, już przy kolycie, zamarała z przerażenia. Łóżeczko było puste. Spojrzała na otwarte okno i pojęła, że ktoś malucha porwał. Zbiegła schodami do salonu bez tchu — sensoryjny materiał JANA BABIŃSKIEGO.

— Kiedy amant zjawił się w domu rozkoszy, dziewczyna powinna przywitać go wstając i składając ukłon tak, aby mimochodem ukazać piersi. Następnie inicjatywę przejmie rajfurka, która zaprowadzi kośchanek do miłosnej alkowy, oświetlonej złośliwymi lampami, ozdobionej kwiatami, wyposażonej w kuszące łożo osłonięte okazałym baldachimem. Tam pozostawi męczyznę sam na sam z jego wybranką... — fragment książki TOMASZA MIŚIAKA o sztuce miłosnej w dawnych Indiach.

Jakimś stopniu też przyczyni się do rozładowania bezrobocia. Ale to trzeba zbadać, trzeba się tym zająć. Potrzeba do przemysł, przekonsultować. Nosimy się z zamiarem utworzenia Fundacji na rzecz prowadzenia badań nad rakiem piersi. Są szalone trudności. Miasto do tej pory nie chciało się tym zająć. Jest problem umieralności niemowląt. Tym też trzeba się wreszcie poważnie zająć. To nie może być szejka. To musi być praca ciągła.

— Problemów do rozwiązania znajdzie się wiele w każdej dziedzinie. Choćby komunikacja, o której już pan wspominał. Można powiedzieć, że wiemy, co trzeba zrobić, tylko ciągle nie bardzo wiemy, jak to zrobić, aby te problemy zacząć rozwiązywać?

— Słowo o komunikacji. Już mówiłem, że fachowcy z Politechniki Łódzkiej opracowali dobry plan rozwoju komunikacji bez wielkich nakładów finansowych. Plan ten zarzucono. Trzeba więc do niego wrócić.

Tam toczy się dyskusja, dokonuje się weryfikacja. Nie ingerujemy w to. Przepuszczamy, że stamtąd weźmie się przeważająca liczba kandydatów. Kilkanaście osób zgłosiło się do WKO. Przygotowali programy dla Łodzi. Są to samorządowcy z fachu i wizji. Zaprośiliśmy ich do WKO i na tym forum przedstawia swoje programy. WKO wybierze najlepszych. Teraz rozmawia z nimi komisja promocyjna. Kandydatów jest więcej niż miejsc, dlatego tylko niektórych się zatwierdzi.

— Mimo to mogą zdarzyć się pomyłki.

— Tego nie można wykluczyć. Ale pracy starczy dla wszystkich, bo zmiany muszą nastąpić na górze, na dole i pośrodku. Rzecz bowiem w tym, że są urzędnicy, którzy chcą najlepiej, ale nie potrafią, bo nie umieją pracować samodzielnie. I to jest nieszczęście. I dlatego muszą ustąpić miejsca innym.

— W Łodzi obok Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego

„robić ludziom wodę z mózgu” i LPO wystąpiło z wnioskiem do Zarządu Regionu „Solidarności”, że chcą iść do wyborów pod ich patronatem.

— Przewodniczący Andrzej Słowik zabronił używania tego znaku.

— Jesteśmy grupą zdyscyplinowaną. Jeśli Zarząd Regionu „Solidarności” nie chce iść z nami, nie chce udzielić nam prawa do używania nazwy, to będziemy występować jako Wojewódzki Komitet Obywatelski. Ludzie pamiętają, że nosiliśmy nazwę „Solidarność”. Postaramy się jakoś odróżnić w propagandzie, w numerze listy.

— Pan poseł Stefan Niesiołowski zarzuca wam, że WKO nie ma demokracji. Czy to znaczy, że jest u was dyktatura?

— No, jaka dyktatura? To raczej ja mógłbym zapytać, kto w ich partii wybierał pana Stefana Niesiołowskiego czy pana Grzegorza Palke? Zrobili komitet założycielski, zebrał się razem. A teraz idą do wyborów

w tym pewna prawidłowość. Partie polityczne zawsze dają do objęcia władzy. Ruchy obywatelskie władzy na ogół nie obejmują. I to jest zasadnicza różnica.

— Odnoszę wrażenie, że konflikt między WKO a LPO zastrzył się podczas kryzysu prezydenckiego w Łodzi.

— Już po wyborach parlamentarnych nikt z „Solidarności” Rolników Indywidualnych i Klubu Inteligencji Katolickiej nie przychodził do WKO. Myśmy mówili, że musi zmienić się władza w mieście. To nie znaczy, że każdy urzędnik musi odejść, ale nie może zostać czterech wiceprezydentów, którzy przez wiele lat psuli to miasto.

— Niektórych już nie ma.

— Inni zostali, zostali też dyrektorzy wydziałów. Taka była

Z tej ziemi.

Jeśli ktoś nie potrafi być politykiem...

12.04.1990

1.

Nadszedł taki czas, że wszyscy chcą na siłę być wiarygodni. Pewien starszy pan chodzi po znajomych i nieznanym i opowiada, że nigdy nie był komunistą, ani jego ojciec, ani nawet dziad. Znam człowieka i wiem, że zasiadał w szacownych partyjnych gremiach i jakoś to mu wtedy odpowiadało, ba! — dumny był nawet z tego. Gdyby przeczytał rozmowę Ewy Karwowskiej z „Gazety Wspólnej” z profesorem Jackiem Wodzem, to mógłby wręcz głośić, że był zdeklarowanym... prawicowcem. Oto bowiem prof. Jacek Wódz twierdzi, że PZPR była „de facto skrajnie prawicową — przynajmniej w ostatnich latach”, z czym trudno się zgodzić.

Rozumiem człowieka i uważam, że takie gwałtowne wypieranie się komunizmu — o którym wielu członków byłej PZPR w ogóle nie miało pojęcia — jest znacznie rzetelniejsze niż przemalowywanie się niektórych byłych aparatczyków PZPR w socjaldemokratów. Tu posługują się znów sformułowaniami prof. Jacka Wodza: — „dziś każdy kto krzyczy, iż jest socjaldemokratą, uważa, że tym sposobem zrzuca z siebie płaszcz PZPR. Nie dostępuje tylko, że został napł, bo nie w międzyczasie pod owym płaszczem nie powstało, nie utkano żadnej, nawet najcieńszej koszulki”.

I jeszcze jeden smakowity cytat: „Polska scena polityczna jest w tej chwili pełna facetów, którzy w sposób nieodpowiedzialny wygłaszają różne hasła, od skrajnie lewicowych po skrajnie prawicowe i nie czują się zobowiązani do wytłumaczenia o co im naprawdę chodzi”.

Szczerze żałuję, że nie ja to napisałem i wcale się tego żalu nie wstydzę.

2.

Rozpadły się więzy trzymające do tej pory strukturę byłej RSW „Prasa—Książka—Ruch” i nagle okazało się, że wszyscy są przeciw wszystkim. Skoczyli sobie ludzie do gardeł, krąży gigantyczne plotki, każdy posadza każdego o najgorsze. Wyłała się z ludzi zawiść, złość, żal i tajone latami urazy, co jest naturalne i dobrze, że się to wszystko wylało. Może wreszcie nadejdzie chwila zastanowienia i przyjdzie czas na myślenie. Bo jest o czym myśleć. Trzeba komisji likwidacyjnej złożyć konkretne propozycje, a tych jakby — przynajmniej do tej pory — brakuje. Są oczywiście deklaracje intencji, próbuje się zakładać spółdzielnie pracy, tylko mało kto się zastanawia, ile trzeba mieć pieniędzy, aby wejść w ten interes, bo trzeba i ludziom zapłacić, i osolonych honorariach pomyśleć, i papier kupić, i drukarni zapłacić za poligraficzne usługi, i zorganizować kolportaż.

3.

O wiarygodność walczą też politycy. W „Życiu Warszawy” Janina Paradowska postawiła „pod ścianą” senatora Jarosława Kaczyńskiego — naczelnego redaktora „Tygodnika Solidarność” — i zarzuciła mu, że program polityczny pisma można streścić w jednym zdaniu: „Jaruzelski musi odejść”. Na to Jarosław Kaczyński odpowiedział: — „Bardzo upraszcza pan sprawę sprowadzając cały program do personalizmu. Niech pan dopowie jeszcze — a na jego miejsce musi przyjść Wałęsa”.

— Dopowiada — powiada na to Janina Paradowska. — To jednak nie wyczerpuje sprawy — kontynuuje Jarosław Kaczyński. — Rzeczywiście uważamy, że zmiana na stanowisku prezydenta jest nieunikniona, a Wałęsa jest w zasadzie jedynym kandydatem na to stanowisko”.

Wprowadził senator, redaktor Jarosław Kaczyński zasłonił się słowami: „w zasadzie”, ale nie ma racji. Jest bowiem drugi kandydat, którego zwolennicy uważają, że jest on „w zasadzie jedynym kandydatem na to stanowisko”. Jest nim Leszek Moczulski. Może podejrzewać, że w Polsce jest jeszcze co najmniej kilka osób, które — podobnie jak i ich zwolennicy — uważają, że są „w zasadzie jedynymi kandydatami na to stanowisko”.

4.

Trudno zaprzeczyć, że na scenie politycznej biegają różni faceti, którzy „w sposób nieodpowiedzialny wygłaszają różne hasła”, a ich wyobraźnia polityczna nie potrafi przewidzieć skutków tej bieganiny i wygłaszania tych hasel. W bajkach Wschodu występuje motyw dzina uwieszonego w butelce, którego ktoś nieostrożny z tej butelki wycwala. Proszę nie mylić dzina, który jest dobrym lub złym duchem z ginem — ulubionym napojem marynarzy. Otóż ten duch wyzwolony z butelki przez nieodpowiedzialnego faceta potrafi narobić takich szkód, że „mógł stać” a zapędzić go z powrotem do butelki jest niebawem trudno, a czasem to się w ogóle nie uda. Tak jest w bajce wschodniej, ale i tak bywa w życiu. Głoszenie różnych hasel, podejmowanie atrakcyjnych i widowiskowych akcji jest bardzo popularne, widać, pisze o tym prasa, pokazują w telewizji, opowiadają w radiu, ale skutki tego bywają żałosne, a niekiedy wręcz tragiczne. A polityk — jeśli rzeczywiście chce zasłużyć na to miano — powinien umieć przewidywać skutki swego postępowania. Inaczej nie jest i nie będzie politykiem. Może się najwyżej zajmować — jak to obrazowo mówił Józef Piłsudski — wyprowadzaniem kur do szczenia.

Nie dziwię się więc Lechowi Wałęsie, że marzy o tym, aby wziąć to wszystko za uzdę i precyzyjnie pokierować przy pomocy dekretów. Tylko demokracji w taki sposób się nie zbuduje. Nie-stety...

5.

Politykowi potrzebna jest roztępa i cierpliwość oraz poparcie społeczne. Polityk może mieć o sobie wielkie mniemanie, ale bez poparcia społecznego daleko nie ujedzie. I to niezależnie od tego, czy jest w rządzie, czy w opozycji. Rozumiał to Wincenty Witos, gdy w lutym 1923 roku pisał:

„Jakiśkolwiek będzie rząd, jeśli nie będzie mieć dostatecznego poparcia tak ze strony czynników politycznych, jak i ogółu społeczeństwa, jeżeli nie będzie mieć możliwości spokojnej pracy, to nigdy nie potrafi. Rząd składa się tylko ze zwykłych ludzi, na których wypadki i nastroje działają silnie i często uniemożliwiają pracę. A zaprzeczyc się nie da, że nie było w Polsce jednego rządu, któremu by pomagano, a przeciw chęta nie było takiego rządu, który by chciał szkodzić państwu! Do naprawy więc, o ile ona ma rzeczywiście nastąpić, muszą być użyte wszystkie siły narodu. Ani narzekania, ani żłobaczka, ani lamente na nie się nie zdadzą, tym więcej nie zdadzą się gwałty, gdyż one tylko mogą zaszkodzić. Rewolwerem i pałką, a chociażby obelgą i oszczerstwem nikogo się nie zachęci do współpracy trwałej i zgodnej. Do trwałej i skutecznej pracy musi być przygotowany grunt i stworzona potrzebna platforma”.

No, proszę, już w 1923 roku Wincenty Witos mówi o sprawach, które i dziś są aktualne. Może warto skorzystać z tej lekcji historii?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Każda partia musi mieć swego wroga

Jak z tego widać, nie tylko wiemy, co nam potrzeba, ale w niektórych dziedzinach wiemy też, jak rozwiązać istniejące tam problemy. Natomiast prawdą jest, że samorządy nie znamy, że nie umiemy sami się rządzić, że musimy się tego nauczyć.

— Słyszałam, że we Francji szkolili się już przyszli samorządowcy. Skąd wiadomo, że oni właśnie wejdą do samorządów?

— Tego nikt nie wie. Te osoby po prostu się zgłosiły, bo są zainteresowane samorządem. Nie widzę w tym nic zdrożnego. Im więcej będzie kandydatów do pracy w samorządzie, tym lepiej dla samorządu, tym lepszy będzie wybór.

— Nie odpowiedział pan jeszcze na moją wątpliwość w sprawie pieniędzy. Wiadomo, że 70 procent dochodu z przemysłu oddajemy do centrum.

— A sami otrzymujemy za pomocą w zależności od potrzeb i od tego, ile zostało pieniędzy w centralnym budżecie.

— Tych zawsze jest mało. Jakże zatem proponujecie rozwiązanie?

— Jesteśmy za tym, aby podatki obrotowy i dochodowy — w 30 a może w 40 procentach — pozostały w Łodzi. Miasto musi mieć pieniądze, a przemysł lekki jest jedynym najbardziej dochodowym. Łódź musi stać się centrum przemysłowym. Musi tu przyjąć rodzimą i obcy kapitał. Jeśli stanie się tak, to miasto będzie na tym zarabiać. Zresztą musi nastąpić wymiana struktury przemysłu, to znaczy duża i mała restrytywizacja. Mała może nastąpić bardzo szybko. Natomiast z restrytywizacją dużych obiektów przemysłowych będą trudności i będzie to trwało znacznie dłużej, albowiem, jak dotychczas, nie ma dużego kapitału do wykupu tych przedsiębiorstw.

— Na co — zdaniem pana — powinni być wydawane te pieniądze? W pierwszym rzędzie, oczywiście, bo potrzeby są ogromne.

— W pierwszym rzędzie na człowieka. Na zatrzymanie ruin miasta i na polepszenie warunków życia. Jest to miasto pracujących kobiet. Te kobiety ciężko pracują i wiele z siebie dają i dają miastu. W ciągu roku, czy nawet dwóch lat ich położenie nie zmieni się radykalnie. Ale trzeba zacząć je naprawdę chronić. Liberalowie powiadają, że dla nich sprawa jest prosta — kto upadnie, niech leży, a my idziemy dalej. Tak nie może być. Miasto musi spłacić dług, jaki od tych kobiet zadługuje poprzez ich pracę dla miasta i to jest sprawa ruchu obywatelskiego. Partie jeszcze w społecznej świadomości nie zafunkcjonowały. Nie sądzę, aby one miały lepsze programy. Ruch obywatelski ma natomiast autorytet, bo wygrał wybory w czerwcu 1989 roku, a postawie wywodzący się z tego ruchu są aktywni w sprawach polityki społecznej i gospodarczej.

— Jaki będzie proces wylaniania kandydatów do samorządu?

— Są komitety dzielnicowe.

Jest też Łódzkie Porozumienie Obywatelskie. Dla wielu ludzi różnica między WKO a LPO jest zupełnie niezrozumiała. Wam na przykład zarzuca się dążenie do monopolizowania władzy, do zastąpienia jednego monopolu drugim.

— Jeśli komuś zarzuci się, że jest wielbiędem, to jak ma wszystkich przekonać, że nie jest? Dawna Regionalna Komisja Organizacyjna „Solidarności” w porozumieniu z Klubem Inteligencji Katolickiej i „Solidarnością” Rolników Indywidualnych zaprosiła około 80 osób do pracy przy przygotowaniu wyborów w czerwcu 1989 roku. Potem liczba osób w WKO zwiększyła się do 140. Nie powstała mimo to żadna szywna organizacja, nie było przewodniczącego. Były tylko komisja propagandowa i organizacyjna. Na zebraniach WKO przedstawiano kandydatów na senatorów i posłów. W pewnym momencie pojawiło się LPO. Było to porozumienie pięciu lub sześciu partii. I oni powiedzieli, że też chcą mieć swoich kandydatów. Stefan Niesiołowski był naszym kandydatem. Poprosili, aby wpiąć na naszą listę mecenasa Andrzeja Kerna z Ruchu Wolnych Demokratów.

— Później LPO rozrosło się o dalsze partie.

— I teraz chce uczestniczyć w wyborach do samorządu. Mają u siebie dynamicznych ludzi, którzy umieją krzyczeć. Powiedzieli, że chcą iść razem z nami. Spokaliśmy się więc z Zarządem Regionu „Solidarności” i LPO. Powiedzieli, że nie mają zastrzeżeń co do naszego programu.

— Skoro program was nie różni, to właściwie co?

— Jak widać nie — powtarzają ich słowa. Myśmy powiedzieli, że radni muszą być ludźmi kompetentnymi. To jest podstawowe kryterium. Czy to będzie Chińczyk, Turak, chrześcijanin, to nie ma znaczenia, chodzi o to, aby znał się na tym, co zamierza robić.

— A gdyby to był były członek PZPR?

— Oni z nami nie współpracują.

— No, ale gdyby zgłosił się człowiek kompetentny w swojej dziedzinie, ale był w PZPR. Co wtedy?

— Jeszcze to się nie zdarzyło. Nie mamy takiego doświadczenia. Ale wróćmy do rzeczy. LPO powiedziało, że chce 50 procent kandydatów i my mamy mieć 50 procent. No i mieli też swój pogląd co do kolejności na liście. Powiedzieliśmy na to, że tak nie może być. Naszym zdaniem musi być wyraźna zgoda obu stron na każdego przedstawiciela. To chyba nie jest zbyt duże wymaganie. Ale LPO powiedziało: — nie. I samo idzie do wyborów. Co na to możemy poradzić? My jesteśmy Komitetem Obywatelskim, oni są Porozumieniem Obywatelskim, chyba tylko po to, aby

i tyle. Czy to już jest pluralizm i demokracja?

— Już pan powiedział, że nie ma jeszcze pluralizmu.

— I z tego się nie wycofuje. Sytuację w Łodzi mamy taką. Pan prezydent Waldemar Bohdanowicz jest sympatykiem narodowych konserwatystów — jak sam to powiedział. Pan Grzegorz Palka jest ze Zjednoczenia Chrześcijańsko Narodowego, pan Benedykt Czuma też. Pan Marek Markiewicz jest grzeźny i jak mu każą występuje przeciw nam. Jak więc może być pluralizm skoro pan prezydent Waldemar Bohdanowicz sympatyzuje z narodowymi konserwatystami i wszystkie stanowiska obsadza swoimi przyjaciółmi politycznymi. A poza tym zarzuca się nam, że jesteśmy lewicą, co ma sugerować, że wywodzićmy się prosto z PZPR.

— Czy rzeczywiście jesteście lewicą?

— Jesteśmy w tym sensie lewicą, że na przykład chcemy, aby łódzkim kobietom dobrze było się w Łodzi. Prawica mówi — nie muszą żyć dobrze. Pan Janusz Korwin-Mikke powiada, że kto upadnie, musi zginąć. Ba! Podczas obrad Komitetu Obywatelskiego w Warszawie jeden z liberalów poszedł tak daleko, że domagał się, aby prawo głosowania mieli tylko ci, którzy płacą podatek wyrownawczy. My jesteśmy przeciwko temu. I w tym sensie też jesteśmy lewicą.

— Jak pan ocenia sytuację w Łodzi?

— Patrząc na to, co się dzieje, dochodzę do wniosku, że nie tyle waga racje partyjne, co względy personalne. No, bo co innego może zrobić członek partii chrześcijańskiej więcej dla Łodzi niż na przykład Komitet Obywatelski?

— Patrząc z hoku na poczynania WKO i LPO można dojść do wniosku, że LPO patrzy jakby bardziej w przyszłość, bo przyszłość — co byśmy nie mówili — należeć będzie do wielu różnych partii, które będą między sobą toczyć boje.

— Te partie jeszcze się nie zweryfikowały, jeszcze nie wiadomo, czego chcą. Wcale nie jestem przekonany, że oni wybiegają myślą w przyszłość. Kto dziś potrafi precyzyjnie przewidzieć, czy w tej przyszłości będzie osiem partii, czy nie będzie ich wcale? Lepiej nie mówmy o przyszłości. Oni — moim zdaniem — wzięli z jednej strony wzór z Zachodu, a z drugiej strony powtarzają wzorce przedwojenne. Bardzo by mi się podobało, gdyby każda z tych partii szła do wyborów pod własnym sztandarem. Wtedy zaistniałaby na politycznej mapie miasta. To byłoby w porządku. Ale żadna z tych partii tego nie chce. Chcą iść w bloku pod nazwą nie partyjną a obywatelską.

— Smutne są te spory.

— To jest tragiczne. Ale jest

umowa prezydenta z nimi. A ponieważ są to ludzie przyzwyczajeni do zmiany kursów, to zmienili kurs, ale nadal robią swoje.

— Jeśli jednak prezydent został wybrany, to mimo różnych animozji, należałoby z nim współpracować. W oświadczeniach WKO nie widać woli współpracy.

— Bardzo chcieliśmy, ale nie dano nam szansy. Pan prezydent Waldemar Bohdanowicz przyjął nas po dwóch miesiącach. Zadeklarowaliśmy współpracę. Raz czy dwa próbowaaliśmy się znów dostać do prezydenta, ale nie miał już dla nas czasu. Mamy trudności lokalowe. Powiedziano nam, że każdy jest samorządny i niech się sam stara o lokale.

— Stosunki WKO były nie- dobre nie tylko z LPO, ale i z Andrzejem Słowikiem, nim jeszcze został przewodniczącym Zarządu Regionu „Solidarności” Ziemi Łódzkiej.

— Nie mogli być dobre, gdyż pan Andrzej Słowik był przeciwnikiem „Okrągłego stołu”, miał zle stosunki z Lechem Wałęsą, a my wywodziliśmy się z ideologii wyznawanej właśnie przez Lecha Wałęsę.

— A jak jest teraz?

— Prywatnie bardzo dobrze.

— A między Zarządem Regionu i WKO?

— Do tej pory nie było punktów spornych ani stycznych. Kampania wyborcza dopiero się rozpoczyna.

— To może i byłaby szansa aby jakoś ułożyć stosunki z prezydentem Łodzi? A także z LPO?

— Z panem prezydentem Waldemarem Bohdanowiczem bardzo chętnie byśmy współpracowali. Nam jako WKO trudno jest dziś współpracować z tymi ugrupowaniami partyjnymi, które obecnie działają. A między innymi dlatego, że partia, aby zaistniała, musi mieć przeciwnika. Wobec tego, że nie ma już PZPR, przeciwnikiem dla nich stał się WKO. I taki jest partyjny sposób myślenia. My natomiast nie chcemy być związani z żadną partią. Chcemy, żeby nasz autorytet opierał się na tym, co już zrobiliśmy i co zrobimy dalej.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Zajrzeć poza horyzont

JULIAN BARTOSZ

Odwzorowywany się po wyborach 18 marca 1990 r. także w Niemieckiej Republice Demokratycznej zachodniemiecki model koalicji i większości rządowej złożonej przynajmniej nominalnie z tych samych sił politycznych chadeckiej i wolnych demokratów (liberałów) czyni — moim zdaniem — najbardziej prawdopodobnym taki sposób realizowania się procesu jedności niemieckiej, który będzie oparty na artykule 23 bońskiej Ustawy Zasadniczej z 23 maja 1949 roku.

Warto sobie uświadomić, że z takim postulatem, mianowicie, by unifikacja Niemiec dokonywała się na takiej podstawie niemieckiego prawa wewnętrznego występował w trakcie kampanii wyborczej zarówno kanclerz Helmut Kohl jak i działacze trzech wschodniemieckich uczestników „Niemieckiego Aliansu”: CDU (Lothar de Maiziere), DSU (Hans-Wilhelm Ebeling) DA (Rainer Eppelmann). Mniej zdecydowanie postulowali to przed wyborami liberalowie. Niemniej po 18 marca i oni to zaakceptowali. Można z tego wnioskować, że die deutsche Einigung dokonywać się będzie właśnie w oparciu o ów artykuł 23.

Postępując się językiem z lat pięćdziesiątych lub nawet jeszcze siedemdziesiątych, można by sens tego artykułu określić jako „polkniecie NRD przez RFN”. Poruszając się jednak w obszarze pojęciowym „wolnościowo-demokratycznego porządku społecznego”, czyli jak się to po niemiecku mówi „freiheitlich-demokratische Gesellschaftsordnung” większość spośród 11,5 mln głoszących ludzi w NRD optując za partiami bloku chadeckiego i liberalnego za takim „polknieciem” się opowiedziało. Była to suwerenna wola właśnie większości, którą trzeba respektować, podobnie zresztą jak należało pogodzić się z wynikami odbywających się formalnie w ramach systemu parlamentarnego wyborów z 5 marca 1933 roku, gdy partia hitlerowska NSDAP wraz ze stonacjonalistycznym blokiem „Czarno-Biało-Czerwonym” uzyskała prawie 52 proc. głosów.

Zdając sobie sprawę z tego, że samo zestawienie tych dwóch demokratycznych aktów wyborczych może być obecnie, w warunkach rozwijającego się polskiego pluralizmu, niemiłe widziane. Cokolwiek jednak byśmy na ten temat chcieli powiedzieć — fakty faktami pozostają i dyskutować z nimi jest po prostu bezpłodne. Zatem pozostaje ich — jak już powiedziałam — respektowanie.

Co zatem mówi ów artykuł 23 bońskiej Ustawy Zasadniczej? Brzmi on:

„Niniejsza Ustawa Zasadnicza obowiązuje na razie na terenie krajów Badenii, Bawarii, Bremy, Wielkiego Berlina, Hamburga, Hesji, Dolnej Saksonii, Palatynatu Reńskiego, Szlezewiku-Holsztynu, Wirtembergii Badańskiej i Wirtembergii Hohenzollern. W innych częściach Niemiec należy wprowadzić ją w życie po ich przystąpieniu”.

Zacytowałem ten artykuł w oryginalnym brzmieniu zachodniemieckiej konstytucji z maja 1949 roku (wedle „Dokumente des geteilten Deutschlands” opracowanych przez prof. Ingona von Muenchen) — a więc z wymienieniem dwóch landów wirtemberskich połączonych w jeden kraj w roku 1952. Również wymieniony tu jest land „Gross Berlin”, co w myśl zastrzeżeń 3 mocarstw zachodnich i ustaleń czterech mocarstw z 1971 roku jest prawie nieprawidłowe.

Jak to komentuje Richard Schmid w popularnym wydawnictwie „Unser aller Grundgesetz. Praxis und Kritik” (Frankfurt/M, 1971) artykuł 23 „opisuje terytorium Federacji i otwiera w drugim zdaniu możliwość przystąpienia dalszych terenów (Gebiete)”. Wyrazem chęci przystąpienia w powyższym rozumieniu są wedle mnie wyniki wyborów z 18 marca 1990 w NRD.

Jak się wydaje, rzecz cała nie ogranicza się jednak do tego, aby do jedenastu krajów RFN dołączyło pięć krajów, z których powstała w 1949 roku Niemiecka Republika Demokratyczna: Meklemburgia, Brandenburgia, Turynia, Saksonia Anhalcka i Saksonia. Notabene, struktura krajów została w NRD zamieniona na okręgi, ale powszechny w NRD postulat zmierza właśnie do odwrócenia tradycyjnych landów — między innymi jako formalnej przesłanki dla ujętego w formule artykułu 23, procesu unifikacyjnego. Jeśli wyczytamy się dokładnie w prace wybitnego poznańskiego prawnika, prof. Lecha Janickiego („RFN wobec terytorialno-politycznych następstw klęski i upadku III Rzeszy”, Poznań, 1982) to nawet bez lektury aktualnych politycznych tekstów publikowanych w RFN przez prawników, nacjonalistycznych autorów dość musimy wręcz do wniosku, że wobec faktu prawnodoktrynalnego interpretowania terytorium Niemiec jako obszaru w granicach z 31 grudnia 1937 roku ów artykuł 23. może być także intencjonalnie wymierzony w polską integralność terytorialną. W myśl obowiązującej wciąż doktryny prawnej RFN (podbudowanej licznymi aktami prawa wewnętrznego — od Ustawy Zasadniczej poczynając, a na wykładni Trybunału Konstytucyjnego kończąc) Niemcy to właśnie ten obszar — w granicach z 1937 roku.

Poza wszystkimi innymi względami natury politycznej próba realnego rozciągnięcia artykułu 23 także wobec polskich ziem zachodnich i północnych wymagałaby pewnej rewizyjności prawnej. Rzecz w tym, że nasze polskie ziemie nad Odrą, Nysą Łużycką i Bałtykiem należały do landu, który w myśl postanowień Układu Poczdamskiego z 2 sierpnia 1945 roku i zgodnie z ustawą Sojuszniczej Rady Kontroli z 25 lutego 1947 roku został formalnie rozwiązany. Landem tym były Prusy. Wielkie jubileusze Prus obchodzone w 1981 roku zarówno w RFN, jak i w NRD, podejmowana i tu i tam gloryfikacja ich tradycji przygotowały, jak się zdaje, psychologiczny grunt do tego, aby na fali zapoczątkowania znowu prawdziwej historii Niemiec własną suwerenną decyzją niemiecką przekreślić i postanowienie Poczdamu i ustawę okupacyjną odnośnie Prus. Ile z tym roboty? Rzecz jasna, próba taka musiałaby być przygotowana odpowiednimi aktami „demokratycznymi”. Myślę tu na przykład o jakimś plebiscytcie, przynajmniej na terenie Śląska. Czy to nie dżwone, że — jak donosi w tonacji prawie triumfalnej część polskiej prasy — więcej obecnie wraca ludzi na Śląsk Opolski i Śląsk Górny niż wyjeżdża?

Świadom jestem tego, że moje rozważania na temat ewentualnych prób rozciągnięcia w przyszłości sensu artykułu 23 bońskiej Ustawy Zasadniczej na obszary także byłych Prus należących dziś do Polski, a także jakiegosi w przyszłości plebiscytu wedle wzorca z 1921 roku przez większość Czytelników mogą być odrzucone jako czarnowidztwo czy nieodpowiedzialna spekulacja. Od czasu wydania mojej książki pt. „Mitologia okrzynionych dróg” (Ossolineum, 1977) przyzywająco jestem do takich posądzeń i ocen, co jednak nie zmienia i tym razem faktu, iż moje ówczesne „spekulacje”, niestety, obecnie na naszych oczach się sprawdzają.

Uważam, że każdy współczesny polski polityk, który zgubi ze swego pola widzenia zarysowane tu najbardziej ogólnie groźne możliwości, ewentualności na miano odpowiedzialnego polityka nie zasługuje — że ujmę to tak eufemistycznie. Dlatego absolutnie i całkowicie popieram rozpaczywe, zdeteminowane wysiłki premiera naszego rządu, Tadeusza Mazowieckiego, aby Polska była w pełnym zakresie swego bezpieczeństwa (a więc nie tylko w sprawie granic) obecna przy wszelkich rozmowach dotyczących jedności niemieckiej i roli, jaką to przyszłe zjednoczone państwo ma odgrywać w Europie.

Nie, to, co napisałem czarnowidztwem nie jest. Jest to jedynie próba zajrzenia poza widzialny dziś horyzont...

Pracownicy służb bezpieczeństwa działają w ukryciu. Nie lubią się fotografować, pozostają nieznani, nie występują publicznie. W USA na przykład istnieje formalny zakaz fotografowania szefów CIA i FBI. W innych krajach taki zakaz jest zbędny, gdyż możliwość spotkania szefów służb bezpieczeństwa, wywiadu czy kontrwywiadu jest raczej niska. Wielu z nich odchodzi w przeszłość jako ludzie anonimowi. Tylko nazwiska niektórych stają się powszechnie znane. Ale w encyklopediach i słownikach trudno znaleźć ich noty biograficzne. Trzeba ich życie i działalność odtwarzać z fragmentów, strzępków dokumentów, że śladów — nieraz niechlubnych, a często i zbrodniczych — ich działalności. Tak rzecz ma się między innymi z byłym pracownikiem NKWD — Iwanem Aleksandrowiczem Sierowem.

Pisałem niedawno, że urodził się w 1905 roku. Ukończył szkołę wojskową w Leningradzie, studiował na Akademii Wojskowej im. Michaiła Frunzego. W latach trzydziestych

rodność nadała prawa obywateli ZSRR.

W styczniu 1940 roku Józef Stalin przekazał Adolfowi Hitlerowi 150... niemieckich komunistów, którzy w pierwszym państwie zwycięskiego socjalizmu szukali schronienia przed faszyzmem. W marcu w Krakowie i Zakopanem odbyła się konferencja gestapo i NKWD na temat współpracy w likwidacji polskiego ruchu oporu.

Tu na chwilę wybiegnę nieco w przyszłość. Aczkolwiek akcja tych wydarzeń dzieje się niemal równoległe. Obozy w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku dla jeńców polskich utworzone w listopadzie 1939 roku. W Kozielsku był porucznik Henryk Gorzechowski, który został później zamordowany w Katyniu oraz jego syn podchorąży Henryk Gorzechowski, któremu udało się uratować z Kozielska i przez obozy w Pawliszewie Bor i Gruzowice dostać się do Armii gen. Władysława Andersa. Oficerowie polscy w obozach byli nieustannie przesłuchiwanymi. Podchorąży Henryk Gorzechowski tak opisuje jedno z przesłuchań:

Zanim gen. Iwan Aleksandrowicz Sierow został tajemniczym generałem Iwanowem.

Szły transporty na Wschód

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

rozpoczął pracę w radzieckiej służbie bezpieczeństwa i doszedł w niej do rangi generała-pułkownika oraz był szefem KGB.

W Polsce dał się poznać jako generał Iwanow.

W 1939 roku Iwan Aleksandrowicz Sierow był ludowym komisarzem spraw wewnętrznych Ukrainy. 17 września 1939 roku Armia Czerwona w porozumieniu z Wehrmachtem zaatakowała Polskę na całej długości wschodniej granicy. W wyniku tego ataku dokonano się — postanowiony 23 sierpnia 1939 roku w wyniku paktu podpisanego przez Joachima von Ribbentropa i Władysława Molotowa w Moskwie — czwarty rozbiór Polski. Ziemię Kresów na wschód od Sanu, Bugu, Narwi i Pisy znalazły się w granicach ZSRR. 28 września 1939 roku ZSRR i Trzecia Rzesza podpisały „Układ o przyjaźni i granicach” wraz z umową o zwalczaniu polskiego ruchu narodowego. 6 października 1939 r. Adolf Hitler powiedział w Reichstagu:

„Niemcy i Związek Radziecki zaznaczyły jasną linię obustronnych obszarów interesów postanawiając, że każdy na swojej części zastosuje się do spójności i porządku oraz przeskoczył wszystkim, co mogłoby przynieść szkodę partnerowi”.

I dalej mówił:

„Najważniejszym zadaniem jest jednak przekształcenie stosunków etnograficznych, to znaczy takie przesiedlenie narodowości, aby na zakończenie procesu rozwoju powstały lepsze linie odgraniczające niż ma to miejsce dzisiaj”.

Tego samego dnia Józef Stalin nakazał przeprowadzenie wyborów na zajętych ziemiach. Dzień wcześniej, 5 października 1939 roku Lwowski Zarząd Tymczasowy wywosił odezwę do takich samych zarządów w Stanisławowie, Tarnopolu i Łucku. W odezwie tej pisano:

„Nad naszymi ziemiami, nad ziemiami Zachodniej Ukrainy, weszła jasna zorza nowego życia. (...) Niezwyciężona Czerwona Armia przyniosła narodom Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi dawno upragnioną wolność, braterstwo i przyjaźń. (...) Otworzył przed nami świetlaną drogę do szczęśliwego, kwitnącego i radosnego życia, gdzie nie ma ani strasznych widm głodu, ani powodzi, ani ciemności, ani wreszcie niedoli i mroku”.

Dziś, gdy znamy niepełny szczebel rozmiar zbrodni epoki stalinowskiej, możemy w pełni zrozumieć przerażający cynizm tych słów. Ale nie uprzędajmy faktów.

1 i 2 listopada 1939 roku Rada Najwyższa ZSRR uległa prośbom Zgromadzeń Narodowych we Lwowie i Białymstoku i włączyła Kresy Wschodnie do ZSRR, a zamieszkałej tam

nowano na 26 czerwca 1941 roku i przeszkodziła w tym wojna z Niemcami. Deportacjami kierował zastępca Ławrientia Berii — generał Iwan Aleksandrowicz Sierow.

On też podpisał instrukcję dla tych, którzy zajmowali się wywózką. Wywożono „wrogów ludu”. Kim byli „wrogowie ludu”? Należeli tu przywódcy lokalni partii politycznych, stronnictw, ruchów społecznych, przywódcy związku Legionistów, ZHP, innych organizacji młodzieżowych, współpracownicy prasy wydawanych przez organizacje polityczne i społeczne „Polski burżuazyjnej”, urzędnicy aparatu administracyjnego, policjanci i ich rodziny, pracownicy wywiadu i kontrwywiadu i ich rodziny, prokuratorzy i sędziowie, rodziny i krewni tych, którzy zbiegli za granicę lub tych, którzy przyjechali z terenów zajętych przez Niemców i mogą być podejrzani o współpracę z wywiadem hitlerowskim, pracownicy PCK, członkowie stowarzyszeń religijnych, duchowni, działacze parafialni, szlachta, ziemianie, kupy, bankierzy, przemysłowcy, właściciele przedsiębiorstw, hoteli i restauracji.

Dia wysiedlenia tych niebezpiecznych dla ZSRR elementów szkolono, sugerując im podczas tego szkolenia, że „nie można wykluczyć możliwości zbrojnego oporu ze strony wysiedlanych”. W ogóle dużą uwagę przykładano do rekwizycji broni. „Niezależnie od tego — nakazywała instrukcja — czy zdano jakąś broń, czy też nie, należy przeprowadzić rewizję osobistą wysiedlanych, a potem rewizję całego zajmowanego przez nich lokalu w celu znalezienia ukrytej broni”.

Co deportowanym wolno było zabrać? Instrukcja wylicza 11 pozycji. A więc: odzież, obuwie, bielizna, pościel, przybory do jedzenia, naczynia do gotowania wody, naczynia kuchenne, żywność w ilości miesięcznego zapasu na rodzinę, posiadane pieniądze, walizki lub skrzynki do pakowania rzeczy. Chłopi mogli zabrać siekiery, piły oraz narzędzia rolnicze podręczne, z tym tylko że należało je spakować osobno od rzeczy osobistych, tak by mogły być załadowane do oddzielnych wagonów towarowych, no i musiały być specjalnie oznakowane, aby właściciel mógł je później wziąć.

Spotkanie z generałem Iwanowem.

„Grubo po 10 — napisał w „Wspomnieniach” Kazimierz Pużak — zrobił się rumor w przedpokoju i do kancelarii wtargnęło kilku wyższych oficerów z Iwanowem na czele. Przedstawił się — prosząc o wybaczenie, tak się niestety wszystko złożyło, że nie mogła dojść nasza rozmowa do skutku. Pora jest również późna i jutro sprawę na pewno załatwią. Mogłem uprządkować zapytać, co to za sprawa, dlaczego jestem sam, gdzie Delegat i Okulicki itd. — dałem jednak temu spokojnie słysząc łgarstwa Iwanowa i patrząc na jego fizjonomię — istna maska błagania.”

„zaczęły przymilnym głosem pytać o Partię i mój w niej udział. Odpowiedziałem, czy ze względu na późną porę i na jego ograniczony czas nie byłoby lepiej odłożyć tego tematu do jutrzejszej konferencji... Oczywiście, więc do milego zobaczenia — i wyszedł, żegnając się uściskiem ręki.”

Następnego dnia „Okolo wpół do 11 rozwarły się nagle drzwi i do pokoju wkroczyła cała gromada epoletowych oficerów, a na ich czele Iwanow na cywila w cyklistówce. Przytulawczy się z uśmiechem, zaznaczył, że niestety projektowana na dziś, tj. na środę, konferencja z naszym udziałem nie odbędzie się, gdyż jesteśmy w trójkę, tj. ja, Delegat i Okulicki, zaproszeni do Moskwy, gdzie z kim należy odbyć rozmowy. Sprawa więc naszego wyjazdu jest sprawą bardzo pilną i nagłą, dla szybkiej realizacji mamy do dyspozycji samolot, który już jest na lotnisku i na razie sygnałizowaną pogodę.”

Gdy Kazimierz Pużak nie zgadzał się na wyjazd i domagał się widzenia z Janem Stanisławem Jankowskim „p. Iwanow rznął rolę uprzedzonego szantażysty, twierdząc, że wszystko jest w porządku. Jedziemy do Moskwy, a wszystkie szczegółowe podróżeń będą załatwione ku naszemu zadowoleniu”.

Mimo to pozwolono Kazimierzowi Pużakowi na spotkanie z Janem Stanisławem Jankowskim i gdy po tej rozmowie obaj oświadczyli, że „odmawiamy naszego wyjazdu, nie-spokojni dodatkowo o Okulickiego i resztę członków konferencji. Na to Iwanow wybuchnął oburzeniem, że płacimy nową niuansacją za szczerą zamiarów, że nasi koledy przybędą za nami do Moskwy, a tam jest pewne, że dobijemy układu ku naszemu zadowoleniu.”

Pojechali do Moskwy, wylądowali na słynnej Lubiance i później odbył się proces szesnastu. Ale to już inna historia.

Chyba zimą z 1940 na 1941 rok: przeżyłem coś, co mogło być właśnie wysiedleniem. Nad ranem, gdy jeszcze było ciemno, ktoś gwałtownie załomotał w drzwi wujka Wincentego

Rzeczy dziwne, sily tajemne...

— Do szpitala im. Biegańskiego trafiłam w czerwcu 1989 roku w ciężkim stanie, to było jakieś straszne zatrucie, potem ostra żółtaczka — mówi Jadwiga Sosnowska, pracownica Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii w Łodzi. — Stan pogarszał się z tygodnia na tydzień, poziom bilirubiny we krwi wciąż wzrastał. Stałam coraz bardziej zaprzestaniem przyjmowania pokarmów, długo czas byłam na granicy śpiączki wątrobowej, mimo że podano mi łącznie siedemdziesiąt kropli, zrobiono setki zastrzyków... Pół roku pobytu w szpitalu, lekarze byli bezradni, czułam, że powoli umieram. Naprawdę. Tak bardzo chciałam żyć, a tu życie wyciekło ze mnie. Doszło w październiku do stanu krytycznego, nikt nie dawał mi nadziei na przeżycie, zostałam przeniesiona do izolatki. Pewnego wieczoru lekarz dyżurny na moje rozpaczliwe

wplywem pacjenci przerywają leczenie, całkiem odstawiając niezbędne im lekarstwa, burza więc ta dowodzi, jak ostry wciąż jest problem, zwłaszcza że medycyna tradycyjna, ignorując niekonwencjonalne metody, działa nie tylko na swoją szkodę, ale przede wszystkim na szkodę chorego. Bioenergoterapia jest bezspornym faktem, spór więc można tylko o jej metody i skutki. A tych nie da się ocenić czy doskonalić bez udziału lekarzy. Ci jednak — przynajmniej oficjalnie — stronią nas od jakiegokolwiek związku z bioenergoterapeutami. Co więcej, nawet nie chcą się wypowiadać na ten temat publicznie, o czym i ja się przekonałam zbierając materiał do reportażu. Wobec niemożności uwiarygodnienia zdarzeń i zjawisk, jakimi się zajmuję, nie miałem wyboru — sam wystąpiłem w roli królika doświadczalnego. Pełen dobrej woli, ale i — nie ukrywam — sceptycyzmu.

— Cierpię na sporadyczne migrenowe bóle głowy — powiadam. — Czy może pani coś na to poradzić? — Bóle głowy nękały mnie od dziecka, przywykłem do nich, jak i do innych dolegliwości, którym nie poświęcałem nigdy nadmiernej uwagi, najbardziej nawet dotkliwie nie potrafiły mnie zatrzymać nie tylko w łóżku, ale nawet w domu. Radziłem sobie dotąd i z bólami głowy za pomocą kawy i różnych medykamentów, tykanych ostatnio w sporych ilościach, bo i też w ostatnim czasie głowa bolała mnie uporczywie, całymi dniami, a ból udawało się usmierzyc na krótki tylko czas. — Marzena K. pochyliwszy głowę, spogląda na mnie. Wyciąga dłoń z lekko ugiętymi i rozwartymi palcami, stwierdza: — Migrena? — Zatoki też, niedoleczone od dzieciństwa. — Zgadza się, od dziecka miałem kłopoty z zatokami —

at do wieczora, kiedy to całą czaszkę spina mi raptowny ból, krótkotrwały jednak, puszcza wraz z dziwnym uczuciem, jakby ktoś pompował mi do głowy powietrze, które wdzierając się zawszą między mózg a sklepienie czaszki. Trwa to ponad pół godziny, kończy się wyraźnie odczuwalnym wrażliwieniem, że głowa rzeczywiście stała się lżejsza, a także — katar, tyle nagłym, co niezbyt zaskakującym, bo żadna to dla mnie nowość, a pogoda przecież kiepska.

wości. Otóż, w bioenergoterapeutów szukają pomocy przede wszystkim ci chorzy, których medycyna konwencjonalna kwalifikuje do kategorii nieuleczalnych — z jednej strony, z drugiej zaś — osoby nadmiernie dbające o swe zdrowie, nie rzadko ze skłonnościami hipochondrycznymi, którym — dla odmiany — medycyna konwencjonalna niewiele poświęca uwagi bądź też — po prostu — nie za bardzo może pomóc. Ci ostatni ściągają na zasadzie, że jeszcze tu nie byli, a potem

Ze starych ksiąg.

Co skreślała cenzura?

Włodzimierz Krzemiński („Odgłosy” nr 8) zwrócił uwagę na „Słownik prawdy i zdrowego rozsądku” Kazimierza Bartoszewicza, ogłoszony kilka miesięcy temu przez wydawnictwo „Epoka”. Osobliwy leksykon autorstwa cenionego niedługo satyryka i publicysty ukazywał się zrazu na łamach krakowskiego „Diabla” (1902—1903), formę książki nadała mu firma wydawnicza Jan Cotty w Warszawie tuż przed wybuchem rewolucji 1905 r. Dziełko Kazimierza Bartoszewicza przeszło już wprawdzie do lamusa historii, ale odkurzone po latach pobudza do uśmiechu i refleksji.

Miał Kazimierz Bartoszewicz z tym „Słownikiem” kłopotów co niemiarą, bo i cenzura austriacka zgłaszała pretensje i carska też czuła się w obowiązku to i owo wykreślić z rękopisu. „Diabeł” wprawdzie ogłosił parędziesiąt słownikowych haseł, ale i tam ingerował cenzorski otwódek. W zachowanych do dziś numerach „Diabla”, stanowiących niedługo własność Kazimierza Bartoszewicza widać wyraźnie różnice między wersją pierwotną a edycją książkową. Zresztą w 1919 r., już po odzyskaniu niepodległości autor zamierzał opublikować nowe, poprawione i uzupełnione wydanie „Słownika”, w którym miało się znaleźć około 150 haseł, wykreślonych przez obydwie cenzury. Zamiaru swego nie zrealizował, bo już wówczas niektóre hasła straciły swą aktualność, nie gwarantując szybkiego rozprzedażania nakładu, choć pierwsze wydanie rozszło się w ciągu kilku miesięcy.

Aby choć w części przypomnieć hasła, pominięte w edycji książkowej, podaję ich reprezentatywną próbkę: **Bismarck** — największy nasz przyjaciel, duchowy wkręśliciel państwa polskiego. Gdyby nie był wpoit w Niemczech szowinizmu, imperializmu, militarizmu, hakatyzmu i wielu innych równie szlachetnychizmów, nie byłoby wielkiej wojny 1914—1918 i na państwowe odrodzenie musiałaby Polska czekać jeszcze długo. Stąd też obalenie jego pomnika w Poznaniu jest dowodem czarnej niewdzięczności. **Burmistrz** — człowiek, któremu placą za to, że go besztają.

Naród polski tym się odznacza, że łatwiej niż inny daje się wodzić za nos karierowiczom. Poza tym rodzi się, żeni, umiera, popiera propinację, stawia na loterii, płaci podatki, oddaje młodzież na obronę trzech państw, a ludzi mówiących tym samym językiem nazywa obcojęzycznymi. Strój narodowy: chodzić boso. **Papier** — symbol ciepłoci, z którą wszystko zrobić można. Nie ma głupstwa i lajdactwa, których na papier wyłać by nie można. Szlachta miwa papiery rodowe: im mniej szlachty, tym więcej tych papierów. **Parodia** — rzecz spotykana najczęściej w Galicji. Posiadania parodie autonomii, parodie polityki, oświaty, przemysłu, handlu, parodie patriotyzmu, stronnictw, filantropii, parodie młodzieży, dziennikarstwa itd. Ostatnią głośną, parodią były tzw. wybory do rady miejskiej.

Samorząd czyli autonomia, w teorii rządzenie się własnymi prawami, w praktyce bardzo kosztowna zabawka udzielana przez rząd rządzącym dla zbycia się kłopotu z głowy. **Sejm** — miejsce popisu dia aktorów nie występujących w teatrze.

O dziwo, pewne hasła zweryfikowała historia, przesadzając o ich aktualności. I nam wpało różne imię (komunizm, internacjonalizm, werbalizm) a skończyło się na upadku pomników Bieruta, Dzierżyńskiego i Lenina. **Burmistrz** (prezdenia) też besztają poniekąd i może tylko ludzi mówiących i piszących po polsku przestano nazywać obcojęzycznymi.

ANDRZEJ KEMPA

W zasięgu trzeciego oka (1)

Uzdrowiająca energia

JACEK INDELAK



Foto: Grzegorz Galasiński

pytanie, czy coś się da jeszcze zrobić, zamalował ręce i powiedział, że chyba tylko akt zgony wypisać. I tak rzeczywiście zrobił, sądząc, że nie dożyje do rana. Kiedy lekarz wyszedł, poprosiłam pacjentki, żeby mnie doniosły do telefonu. Zadzwoiły mnie na krzeselku, zadzwoniłam do dr K... Wolam, żeby mnie ratowała, bo umieram, a ona po chwili miłczenia mówi, że już wszystko będzie w porządku, że bilirubina spada... Rano sama wstałam z łóżka, zjadłam po raz pierwszy od długiego czasu pół bułki... Najpierw uszyści myśleli, że to takie przesilenie przed śmiercią, a potem, że to cud, bo poziom bilirubiny rzeczywiście raptownie się obniżył, sześciokrotnie sprawdzano, czy nie ma jakiejś pomyłki. Kiedy zresztą opowiedziałam, jak się to stało, myśleli, że postradałam zmysły. A potem? Szybko wróciłam do zdrowia...

A jak to było, eo zobaczyłem i usłyszałem, czego doświadczyłem na sobie — opowiem...

Ulica Żwirki.

Zniszczyła kamienica czynszowa. Kamienne podwórko. Prawa oficyna. Mały ciemny korytarz na parterze z dwójgiem drzwi. Sufit splekany, tu i ówdzie odpadł kęs tynku, wystaje zmurzala trzcina. Ściany obsypujące się, odrapanie. Wzdłuż jednej — szeroka, nieheblowana deska, położona na starym żeliwnym zlewku i wielkim blaszanym pudle. Ma służyć za ławkę, nikt jednak na niej nie śląda, bo brudna, na domiar kupa piasku usypa na środku.

„Palenie zabronione” — głosi duży szyld na ścianie, a u mieszczone na drzwiach nr 9 spora tablica obwiesza czernowono na białym: „Przyjęcie na zapisy od 10.00 do 12.00 od 15.00 do 17.00 oprócz sobót i niedziel”

Nie jestem wprawdzie zapisany, ale pod drzwiami nikogo nie ma, ryzykuje więc, stukam. Usłyszawszy krótkie szczeknięcie, wchodzę do środka. Mały płowy psiaś nie oszczekuje mnie już, lecz wskakuje na stojący w głębi przedpokój fotel, gdzie siedzi czarnowłosa i ciemnooka młoda kobieta. Gestem wskazuje stojące naprzeciw krzesło. Domyślam się, że to Marzena Kaczmarek, przed którą odegram za chwilę rolę pacjenta.

Przedpokój służy za „gabinet”: fotel, krzesło, mały stolik z kilkoma banknotami na blacie. Drzwi po lewej do niewielkiego pomieszczenia, pewnie łazienki, dalej kuchnia. Obok — wejście do pokoju. Mieszkanie klasne i ciemne, na dnie przecięt kamienicznej studni, toteż w przedpokój pali się wciąż światło.

przytakuje, przyglądając się, jak wykonuje ona krótkie, urywane ruchy dionią, zastygając raz po raz i wznowiając znów niepojętą dla mnie czynność.

— Robi się głowa lżejsza? — pyta, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Zdaje mi się, że ból puszcza, głowa wciąż jednak nieswoja. Odczucia zresztą trudne do sprecyzowania, ile w nich faktycznych doznań, a ile sugestii? Nie dowierzam — z jednej strony, z drugiej jednak — nie odrzucam, gdyż moja wiedza o bioenergoterapii jest wprawdzie teoretyczna, na różne jednak sposoby zgłębiał ją od lat. A teraz, gdy próbuję ją sprawdzić na sobie, czy coś czuję?

— Czy mogę dotknąć głowy? — pytam. W odpowiedzi skinięcie głową, dłoń Marzeny K. zamiera, a ja dotykam głowy, po lewej stronie, gdzie od kilku dni miałem taką przeczulicę skóry, że nawet puchowa poduszka uwiierała, przysparzając dodatkowego bólu. Dotykam z naukowy delikatnie, potem silniej — Nie boli!

I znów dłoń wznowia swoje ruchy, łagodniejsze teraz, a zakończzone energicznym zawłajsem w powietrzu.

— To wszystko! Przez trzy dni mogą wystąpić bardzo silne bóle głowy — otrzymuję na odchodne instrukcję — że żadne próski nie pomogą, a drugiego dnia będzie pan wymiotował rapą, co zjedzie z zatok.

Składam swój banknot na stoliku i odchodzę, bardzo sceptycznie nastawiony do udzielonej instrukcji: co jak co, ale — przepraszam za naturalistyczną dostojnością — odruch wymiotny jest mi praktycznie obcy. Niemniej... głowa nie boli, co konstataję, wyszedłszy na powietrze, nie jest ona wprawdzie lekka, przeciwnie, ale na pewno — nie boli. Nie dokuca,

POZA MISTYKĄ I METAFIZYKĄ

W połowie XIX wieku Du Bois-Reymond udowodnił, że przez nasze nerwy przepływa prąd elektryczny, którego prędkość zmierzwił w niedługi czas późniejszy Helmholtz (35 m/sek.).

W 1924 roku Hans Berger odkrył elektromagnetyczny charakter fal mózgowych i przeprowadził ich pomiar. W 1973 roku Cohen dowiódł eksperymentalnie, że mózg ludzki wytwarza pole magnetyczne, które można wykryć skonstruowanym przez niego magnetoencefalografem z odległości kilku centymetrów od głowy.

H. S. Burr i F. S. C. Northrop wysunęli jako pierwsi — już w latach trzydziestych — elektrodynamiczną teorię życia. Harold Burr wykazał później niezbicie, że wszystkie organizmy żywe są organizowane i podtrzymywane przez pole elektrodynamiczne (elektromagnetyczne), nazywane przez niego „połem życia”, czyli „połem L” (od ang. life). Dowiódł także, że „poła życia” stanowią część większych „pól kosmicznych”, podlegając zarazem ich oddziaływaniu. Człowiek zatem stanowi nieodłączną część kosmosu i jest poddany jego nieublaganym prawom.

Pole L zwane też często biopolem daje się bez trudności wykrywać i mierzyć odpowiednio czułym woltomierzem, zasięg jego bowiem nie ogranicza się do powierzchni ciała, lecz otacza człowieka — jak i każdą inną żywą formę — czymś na kształt aury.

W 1949 roku Leonard J. Ravitz — uczeń Burra — odkrył, że stany umysłu człowieka znajdują odzwierciedlenie w polu L. Dalsze badania wykazały, że zmiany w polu L wyprzedzają symptomy fizyczne różnych stanów chorobowych, co pozwoliło na opracowanie metody — stosowanej z powodzeniem w licznych placówkach leczniczych na Zachodzie — wczesnego wykrywania raka, zwłaszcza nowotworów organów rodnych kobiet.

Drugiego dnia — zapowiedzianych sensacji ze strony żołądka nie mam, katar coraz większy, wieczorem niezbyt dokuczliwy ból głowy, a raczej silny ucisk na łuki jarzmowe i szczyty kości policzkowych. Zatoki! Od wczesnych natomiast godzin popołudniowych — narastające bóle korzonkowe.

Trzeciego dnia odwiedzam ponownie Marzenę Kaczmarek. Wcześniej niż poprzednio, pod drzwiami zastaję kolejkę. W moim notesie powiększają się zapisy kolejkowych dialogów:

— Nie, ja tylko koleżankę przyprowadziłam. Byłam tu rok temu, miałam kamienie w woreczku żółciowym. Pomogło? Nie wiem, ale przedtem bolało, a teraz nie boli.

— Mój brat się u niej leczył, dojeżdżał z Kalisza. Miał guza prostaty, ale operować nie chcieli, bo serce go zawalowało. Wczoraj dzwonił do mnie ucieszony, był na badaniach, guz się wycofał.

— Poradziła mi sąsiadka, że bym tu przyszedł. Jej pięcioletnia córeczka źle słyszała, a po jednej wizycie słuch się jej bardzo poprawił.

— Coś Marzena zła dzisiaj jak os... Nie dziwota, że coraz mniej ludzi do niej przychodzi, jeszcze jesienią stali tu dzień i noc, a ona przyjmowała bez przerwy... A teraz tak trochę sobie lekceważy i ciągle niezadowolona.

— Mówią, że jak taki uzdrawiacz pieniądze bierze, to moc traci, a i sam potrafi na zdrowiu zapaść.

— Mojej siostrze to bardzo pomogła, kręgosłup jej nastawiła za pierwszym podejściem. Dysk siostrze wyskoczył, z samochodu ją tu donieśli, a kręczyła, tak bolało. Marzena tylko ręką pomachała, dysk wskoczył na miejsce, bez bólu i po bólu.

— A mówią, że lepsza jest Stefaniakowa, tylko trudno się do niej dostać, terminy odległe... Ona dokładniej pracuje nad chorym, czasem godzinę i więcej. Istne cuda czyni, niemożem głos przywraca, paraliż znosi, nawet garb potrafi usunąć.

Nasłuchałem się takich wypowiedzi sporo, nabierając coraz lepszego rozeznania w klienteli bioenergoterapeutów, która jest nieporównanie bardziej różnicowana niż można by sądzić. Wiek, płeć, poziom intelektualny czy materialny, o których sędzić mogę tylko z wyglądu i zachowania — nie grają tu większej roli, chociaż więcej spotyka się kobiet, ale też przecięt i one przeważają w poradniach lub spółdzielniach lekarskich. Pewna prawdziwość daje się zaobserwować w rodzaju schorzeń i dolegli-

— co zdarza się często — przychodzą regularnie, bo wprawdzie wątroba już nie boli, ale przydałoby się jeszcze, żeby przestało strzykać w lewym kolanie... Zresztą, nie bez powodu złośliwi powiadają, że bioenergoterapeuci odnoszą największe sukcesy u psychoneurotyków.

Kolej na mnie.

— Korzonki? — zastanawia się Marzena Krawczyk, prawą dłoń ku mnie wyciąga, unosi ją powoli w górę. — Czuję pan?... To nie korzonki, to ropą z zatok zebrała się w żołądku. Jeśli pan jej nie zwymiotuje, bóle nie przejdą.

Cóż, ładna perspektywa, chociaż nic nie poczułem. Może więc ja mam rację?

Czwartego dnia — głowa nie boli, katar potężny, bóle korzonkowe przepilowują na pół.

Piąty dzień. Głowa w porządku. Katar bez zmian. Korzonki — jeszcze gorzej. Po południu zbierają mnie mdości. Sprawdzę się zapowiedź pani Marzeny? Sugestia? A może sugestia połączona ze wspaniałą fasolką po bretońsku, przygotowaną na niedzielny obiad przez moją arcyzdolną szwagierkę? Najadłem się tej wspaniałości w nadmiarze... Pod wieczór bóle korzonkowe łagodnieją. A więc? Może jednak sugestia? A jeszcze przedziel — zaczęły działać zastrzyki przeciwbólowe, do których musiałem się uciec, bo zawiananie sznurowadeł stało się już dnia poprzedniego prawdziwą torturą.

Dziesiątego dnia z samego rana wraca — po raz pierwszy — ból głowy, wywołany raptownym skokiem ciśnienia atmosferycznego. A zatem moja głowa — po krótkiej przerwie — spełnia znów rolę czulego barometru? Nie uciekam się tym razem do proszków przeciwbólowych, poprzestając na mocnej kawie, jestem już bowiem pod działaniem Aleksandry Stefaniak, do której rzeczywiście nie było łatwo dotrzeć, umawianie się na wizytę też przysporzyło pewnych trudności, bo tu zapisy prowadzone są z dużym wyprzedzeniem, a żeby znaleźć się w jej kalendarzu trzeba mieć coś na kształt referencji. Tak, wprost z ulicy podobno nie za bardzo się udaje.

Ale jakoś się udało...

C.D.N.

Trzymajmy się za kieszeń

KONRAD FREJDLICH

Chociaż inflacja powoli wygasa, trzymanie się za kieszeń, ściślej zaś sięganie do niej, aby raz jeszcze się przekonać, że banknoty gdzieś się rozeszły, a palce natrafiają na pióno, staje się codziennie udziałem ogromnej rzeszy Polaków. Uczucia niepewności doświadczają nie tylko przysłówiowi już emeryci starego portela, ale także ludzie do niedawna zamożni. Wszystkich ich proszę, aby tytułu mej publikacji, nie brali zbyt dosłownie: nie zapowiadam w niej jakichś nowych, szaleńczych podwyżek, które znów zachwieją budżetami domowymi. Przedstawiam tutaj za to parę najsurowszych uwag na marginesie arcyważnego dokumentu, jaki ukazał się w dodatku do dziennika „Rzeczpospolita” z 16 marca 1990 roku. Dokument ten to projekt ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych.

„Siła państwa zależy od obywateli”, zauważa „Rzeczpospolita”, organ na polu rządowym, wprowadzając nas w materię projektu, „którego jednym z podstawowych obowiązków w każdym kraju jest płacenie podatków”. Jest to oczywiście tylko półprawda, gdyż siła państwa zależy od poparcia obywateli. Jeśli się z nim użozsamiają, to wówczas i tę powinność, którą jest wnoszenie opłat na jego utrzymanie, traktują z pogodą ducha. Mają bowiem pewność, że poniesione przez nich wydatki zostaną godziwie wykorzystane: nie tylko na rozbudowę biurokratycznego aparatu, ale także, a może przede wszystkim na cele społecznie użyteczne, służące ogólnej pomocy.

Same podatki są niemal tak stare jak władza, która je nakładła, początkowo w formie naturalnej daniny, plodów lasów i pól, później zaś w postaci pieniężnego świadczenia. Niektórzy władcy wykazywali przy tym wyjątkową pomysłowość w nakładaniu na świątynię poddanych coraz to nowych ciężarów. Zapewne pod tym względem nikt w historii nie dorównał Piotrowi I, który zatrudnił nawet specjalnych urzędników: ich zadaniem było wymyślanie podatków. W Rosji płacono je od przywileju noszenia brody, od flości okien, drzwi i kominów w domostwie, uli w pastkach itp. Ale wszystkie te opłaty zastąpiono wkrótce jedną — tzw. pogłównym.

Pogłównie istniało także w przedrozbiorowej Polsce. Podatek płaciłi wszyscy, z wyjątkiem szlachty i duchowieństwa, niezależnie od stanu majątkowego, po prostu „od głowy”, stąd też jego nazwa. Siery wyższe wreszcie także obarczono ciężarami na rzecz państwa, nosiły one jednak stosunkowo elegancką nazwę: subsideum charitativum, co podkreślało ich dobrowlny i charytatywny charakter.

Kapitałizm, który ubóstwo uczynił czymś wstydlwym, a posiadanie i pieniądze podniósł do rangi cnoty, wprowadził jako narzędzie fiskalnej polityki państwa dwa podstawowe po-

datki: obrotowy oraz dochodowy. Ten system podwójnego obciążenia podmiotów gospodarczych, raz znajdujących się w obrocie kapitału, drugi raz efektu przyjął się we wszystkich nowoczesnych państwach i przeszedł z dobrodziejstwem inwentarza do ustawodawstwa PRL. Zgodnie jednak z doktryną komunizmu, podatki przestały być narzędziem polityki gospodarczej państwa, a stały się przede wszystkim sposobem walki z groźnym wrogiem klasowym. Zadaniem fiskusa stało się gnębienie „prywaciarza”, spychanie go do parteru, wysysanie z niego żywotnych soków, nakładanie bezprawnych domiarów. Przewodnia siła narodu okazała się pod tym względem równie pomysłowa jako poborca Piotra I. Dość wspomnieć oślawiony § 13 przepisów wprowadzonych pod koniec lat siedemdziesiątych, na podstawie którego, na podstawie najwykniejszego donosu, można było obciążyć obywatela znacznymi opłatami z powodu rozrządnego trybu życia. Znaltem ludzi głosunkowo mających, których mieszkanie przypominało obskurny hotel robotniczy; obawiając się wezwania do wydziału finansowego (prowadził niewielki warsztat rzemieślniczy) całymi latami nie zmieniali mebli. Trzeba zresztą przyznać, że pomysłowość fiskusa szła w parze z pomysłowością tzw. prywatnej inicjatywy, która z tych zmagających się wychodziła zwycięsko i w nie najgorszej kondycji. Sądzę, że i dzisiejsze, alarmistyczne dane na temat likwidowania zakładów rzemieślniczych bądź zawieszania działalności trzeba by mimo wszystko skorygować o wspólny czynnik przedsiębiorczości Polaka zaprawionego w bojach z komunistycznym fiskusem — wypracowane metody walki mogą się sprawdzić również w zmaganiach z planem gospodarczym wicepremiera Leszka Balcerowicza, chociaż ma on na celu akurat odejście od komunizmu.

Celowi temu służyć ma zapewne również przygotowywana przez ministerstwo finansów ustawa o podatku dochodowym od osób fizycznych. Zdaniem projektodawcy wprowadzi ona „jednolite i powszechne opodatkowanie dochodów osób fizycznych”, zlikwiduje więc dzisiejszą różnorodność w traktowaniu podmiotów, a za jednym zamachem wyeliminuje wszelkie stosowane dotąd ulgi bądź nawet zwolnienia. Jest to więc, przynajmniej w założeniach, nawiazanie do koncepcji wprowadzenia „podatku osobistego”, o której mówił się przy okazji wprowadzania w życie różnych faz reformy gospodarczej spod znaku PZPR kończących się, jak wiadomo, nakreśnieniem spirali inflacyjnej. Czy projekt obecny stanowi opracowanie zupełnie oryginalne, czy też wykorzystuje pomysły wcześniejsze, złożone w sejmach przez poprzednich gospodarzy ministerstwa — nie wiadomo. Nie jest to zresztą tak istotne: ostatecznie konstrukcja prawna podatku dochodowego jest niezwykła prosta: można obciążać dochody cząstkowe albo

całkowicie, albo jedne i drugie oddzielnie i wprowadzać jeszcze dodatkową korektę na przykład w postaci podatku wyrównawczego, który w PRL wprowadziła ścisła gomułkowska bodaj w roku 1957 w celu ograniczenia aspiracji finansowych osób osiągających przychody wyższe niż to przewidywała sierniejsza norma. Jak się zresztą okazało później, był to haracz oszczędzający płatnikowi ostatnią groszule, skoro górnym progiem progresywnej skali było 40 procent od nadwyżki dochodów uznanych za dopuszczalne (w tzw. sektorze społecznym) oraz 60 proc. w sektorze prywatnym. Ekipy późniejsze potrafiły zabrać nawet 85 procent nadwyżki dochodów, co rzecz jasna odbierało wszelką motywację do pracy.

Jak się wydaje istotne novum obecnego projektu ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych sprowadza się głównie do tego, że wszystkie normy znalazły się w jednym akcie prawnym, mamy więc do czynienia ze swoistą kodyfikacją. Niestety, nie uczyniło go to przez to bardziej przejrzystym i czytelnym: język tego aktu jest mało zrozumiały, znajduję w nim żywcem przeniesione pojęcia i sformułowania z dotychczasowych przepisów podatkowych nastroczających kłopoty interpretacyjne nie tylko płatnikom, ale co gorsza także urzędnikom z izb skarbowych. Jest tajemniczą poliszynela, że dziś niemal w każdym urzędzie dzielnicowym stosuje się rozmaite podejście do tych przepisów. Nie świadczy to wcale o głupocie czy wygodnictwie zatrudnionych tam osób, choć oczywiście nierazko mamy do czynienia także z najwykniejszą ignorancją: powodem tej dowolności jest wadliwy język niektórych aktów prawnych, pozbawionych finezji gramatycznej i elegancji lingwistycznej.

W porównaniu z dotychczasowymi rozwiązaniami w projekcie uderza daleko posunięty fiskalizm: opodatkowaniu podlega każdy właściciel dochód, niezależnie od jego wysokości i źródła. Nie ma więc wyjątków nawet dla studentów i emerytów, choć projektodawca stara się udowodnić, że nie jest całkowicie pozbawiony skrupułów i serca: nie będziemy więc płacić podatku od dodatków rodzinnych i pielęgnacyjnych. Posiadanie na utrzymaniu dzieci również będzie pewnym argumentem na rzecz fiskusa: od podatku zostanie odliczona kwota stanowiąca 1 proc. wysokości zależności z górnej granicy pierwszego przedziału skali podatkowej i to na każdą potęgę. Piszę tak nie zrozumiałe, ale niestety inaczej nie da się opisać normy blankietowej, bowiem projekt przyjął jako zasadę nieokreślenie kwoty dochodu — punktem wyjścia jest potraktowana jako niewiadoma przeciętna płaca z poprzedniego roku podatkowego, zaś wysokość skali znajdzie się każdorazowo w ustawie budżetowej państwa. W przypisie do projektowanego art. 23 Ministerstwo Finansów poczyniło uwagę:

„Pierwszy szczebel skali zaproponowano w wysokości czterokrotnej przeciętnej płacy rocznej, a to w celu ułatwienia obliczenia podatku przez zakłady pracy, gdyż przeważająca część pracowników znajdzie się w tym przedziale skali”.

Od takich dochodów podatek wyniesie 20 procent.

Wolne od haraczu będą odsetki od wkładów na książeczkach oszczędnościowych i kontaktach osobistych, a także odsetki od obligacji i innych papierów wartościowych emitowanych przez skarb państwa. Zwolnienie to nie doty-

czy jednak odsetek z rachunków bankowych prowadzonych w związku z działalnością gospodarczą. Fiskus ma także wględy dla wygranych z gier losowych i loterii. Tak uzyskane dochody nie zostaną obłożone żadnym podatkiem.

Myślenie prospołeczne widoczne jest w art. 27 ust. 1 lit. b projektu. Przewiduje on bowiem, że od podstawy obliczenia podatku odliczone zostaną wszelkie darowizny na cele społecznie użyteczne do wysokości nie przekraczającej 10 procent dochodu. Takie rozwiązania przyjęte są w większości państw cywilizowanych, dzięki nim tworzone są rozmaite fundacje na rzecz kultury, nauki i oświaty. W porównaniu z dzisiejszym podejściem fiskusa do tych spraw jest to więc postęp znaczący, jeśli oczywiście znajdują się podmioty gospodarcze prosperujące na tyle dobrze, aby miały z czego płacić. Czyżby więc, przy znanej niemożności budżetu, miało się w końcu zapalić zielone światło dla kultury? Twórców mogą zresztą uspokoić dodatkowo: w zasadzie zostaną zachowane konta „W”, choć prawdopodobnie ulegną zmianie zasady i tryb przekazywania przychodów na ten specjalny rachunek bankowy. Minister finansów zapowiada bowiem uregulowanie tej kwestii w drodze rozporządzenia.

Zastanawiam się, czy w przedstawionym nam projekcie ustawy o podatku dochodowym bierzemy górę myślenie prospołeczne i podażowe czy też raczej fiskalne? I sądzę, że nie można dać na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Choć nie czyni się właściwie żadnych wyjątków, nawet w stosunku do biedaków, to górna granica podatku nie przekracza jednak w końcu 40 proc. dochodu: to w sumie mniej niż płacono do niedawna podatek wyrównawczy, który spłaszczył dochody i zachęcał do oszustw podatkowych — podobno 50 proc. jest tą granicą odporności psychicznej, którą łamię opory moralne, gdyż nikt nie lubi być nabijany w butelkę. Ale prawdziwe intencje fiskusa zrozumieć dopiero wówczas, gdy poznamy do końca pakiet ustaw gospodarczych i podatkich, którymi obciążone będą osoby prawne. Samotni przedstawiciele wolnych zawodów, pracownicy najemni, rzemieślnicy prowadzący jednoosobowe swoje firmy, renciści i emeryci nie decydują o dochodach skarbu państwa, chociaż ich wpłaty do budżetu stanowią w nim pozycję bardzo znaczącą. Nie tylko w postaci podatków, ale także rozmaitych opłat skarbowych, których w ostatnim okresie namnożyło się bardzo wiele, a chociaż nie mają działania powszechnego, pełnią również funkcje fiskalne.

Jedno jest pewne: znając konsekwencję w postępowaniu wicepremiera Leszka Balcerowicza, który wykazał się na polu finansowym uporem i konsekwencją, można powiedzieć jedno — obywatele, trzymajmy się za kieszeń.

Niesłychane! We Francji podatek sam oblicza sobie podatek i sam... go płaci w terminie!

U nas ciągle balagan w finansach

Rozmowa z wicedyrektorem Izby Skarbowej w Łodzi — **LECHEM MALAGIEM.**

— Znalazł się pan w składzie ekipy, która przez kilka tygodni „podglądała” organizację aparatu finansowego Francji oraz tamtejszy system podatkowy. Czyżby najlepszy wzór w okolicy?

— Przed wojną obowiązywał u nas podatkowy system na wzór francuskiego stworzony i teoretycznie dziś obowiązujący nadal jest na nim oparty, ale — powiedzmy — z późniejszymi, „wschodnimi” zmianami i udoskonaleniami. Chcąc zaś być partnerem Europy czy w sferze gospodarczej partnerem EWG — musimy przejść na systemy podatkowe czy rodzaje podatków, które oni stosują. Mają choćby taki VAT — czyli podatek od wartości dodanej.

— Ma on przecież i u nas wejście w życie, nieodwołalnie, od pierwszego stycznia 1991 roku i zastąpić wystużony podatek obrotowy.

— Zgadza się, drugi — podatek od dochodów osobistych, zastąpi kilka innych — między innymi dochodowy, wyrównawczy, od wynagrodzeń. Wrócimy jednak do francuskich doświadczeń.

— Generalnie francuski system podatkowy — wierzę, że i nasz taki będzie — jest deklaracyjny, powszechnie akceptowany, a tym samym bardzo szczerzy.

— To znaczy, że Francuzi deklarują swoje dochody?

— Do 12 marca każdego roku Francuz składa bardzo szczegółową i wręcz trudną deklarację podatkową za rok ubiegły, w której przede wszystkim wykazuje wszystkie swoje dochody. Sam wylicza sobie podatek dochodowy i sam go płaci.

— Fiskus się tylko przygląda?

— Niezupełnie. Kontroluje i sprawdza podatnika. A wspaniale działający, oddany do użytku organom fiskusa system komputerowy błyskawicznie wychwyli, że monsieur X wykazał tylko dochody w Paryżu, a „zapomniał” o małej restauracyjce w Grenoble, a jego małżonka...

— I oni to powszechnie akceptują?

— Co gorsza: oni twierdzą, że utrzymanie państwa to prawo i szlachetny obowiązek!!! Ale to nie wszystko, powiem teraz zupełną herezję: we Francji społeczeństwo pomaga fiskusowi, przestępuje podatkowego ścisła całe społeczeństwo, wskazuje go palcem...

— To już przesada.

— Dlaczego? Każdy chce płacić jak najniższe podatki, tymczasem jeśli oszustów podatkowych będzie więcej, to on, przeciętny Francuz zapłaci wyższą kwotę, bo summa summarum budżet musi się zgadzać. Inaczej — wszyscy muszą na ten budżet się złożyć, im więcej — tym mniejsze indywidualne

obciążenia. U nas — jest dokładnie przeciwnie.

— Wyłowiona przez ponad czterdzieści lat mentalność każe nam podatkowego cwaniaka ukryć, przedawicielel fiskusa ośmieszyć a rząd — oszukać. Mam to zakodowane!!!

— Dokładnie tak jest! Za chwilę panu udowodnię, ile na tym tracimy, sami siebie oszukując w starym stylu! Ale przecież teraz, powiedzmy wyraźnie — pracujemy dla siebie. Tylko wąski margines ludzi żeruje na demokracji, że ją pojmując. To już nie są słogany: przecież my nawet budżetu nie umiemy zaplanować.

— A we Francji?

— Jest robione z głową. Najpierw radni w danej miejscowości liczą, jakie będą mieli wpływy z podatków w danym roku. Dopiero później „podkładają” to pod planowane potrzeby, wydatki. Gdy nie wystarczy — mogą podwyższyć jakieś lokalne podatki, mieszkaniowy, od zawodu czy inne. Może się więc zdarzyć i jest to rzeczą normalną, że w tym roku podatkniczy placą, powiedzmy, 20 franków od metra powierzchni (aktualnie budują szkołę), a w przyszłym roku będą płacić 5 czy 10 franków, bo już tę szkołę zbudowali.

— U nas techniki planowania jakby inna całkiem.

— Tak jest. Najpierw radni zastanawiają się, co by się chciało zbudować, ile wydat-

pieniędzy, na samym końcu debatuja, skąd je zdobyć? I zawsze brakuje, więc wykonuje się różne dziwne manewry: tu obetnie jakąś inwestycję, tam zmniejszy zakres remontów, a gdzie indziej coś znacznie, licząc później na cud...

— Zmienimy temat. Rozpelniam się, to chyba właściwe określenie, handel uliczny. W Łodzi, jak i w wielu innych miastach kraju, w niektórych rejonach nie sposób przecisnąć się między szpalierami ludzi handlujących dosłownie wssytkim.

— To smutne, ale powstało jakieś nienaturalne zwyrodnienie tak zwanej zdrowej konkurencji. Miała ona rozbić monopole, w efekcie — obniżyć ceny i koszty. Liczono, że te molochy — monopole rozbią i przejmą ich działalność drobni, operatywni kupey i wytwórcy, tymczasem okazało się, że często kupcy czekają w pustych sklepach, natomiast rej w interesach wiodą cwaniacki, nie zgłaszający żadnych obowiązków podatkowych, nie płacący żadnych podatków. Nidzie na świecie nie ma tak pojętego „luzu”; w czasie mojego pobytu w Paryżu opowiadano mi o akcji na grupę egzotycznych młodzieńców usiłujących handlować na placu Pigalle.

— I???

— Przyjechali inni „młodzieńcy” z długimi pałami, sprzedawców rozpędzono, oprócz kar lekko nadwierając im zdrowie, towar oczywiście przepadł.

— Marzy się panu taka akcja w Łodzi?

— Nie tylko w Łodzi. A do wspólnego uderzenia musi się zjednoczyć policja, organy wydające zezwolenia i aparat skarbowy. Taka właśnie kolejność, bo najpierw powinno się sprawdzić, czy towar nie pochodzi z kradzieży, potem wypadałoby sprawdzić, czy delikwent posiada jakiegokolwiek zezwolenie. My jesteśmy tylko spe-

cjalistami od podatków... A to są przecież pieniądze, które miastu, jego władzom przesięwają się przez palce...

— Pachnie mi tu utracaniem wszelkiej przedsiębiorczości i inicjatywy. Wiadomo wszem i wobec, iż wielu rzemieślników zawiesiło swą działalność, wiele firm prywatnych zlikwidowano.

— Zaraz, zaraz, rozsięwa pan jakieś mistyczne opowieści, które trzeba natychmiast skontrować. Likwidacja faktycznie jest naturalną rzeczą w każdym biznesie, trzeba się z nią zawsze liczyć, z tym że jedna firma ogłasza plajtę, a zwykle w jej miejsce powstaje inna. Oto fakty: w ciągu dwóch pierwszych miesięcy tego roku zlikwidowało się w województwie łódzkim 1700 zakładów prywatnych (produkcyjnych, handlowych, usługowych), ale w to miejsce powstało — uwaga: 2444 zakłady.

— Wiele osób, niepewnych przyszłowiego jutra, głównie podatkowego — zawiesiło działalność firmy.

— I te w większości przy-padków mistyfikacja, trzeba dziś z całą stanowczością od-słonić. Do końca lutego 1990 r. w naszym województwie zawiesiło swą działalność blisko 6 tysięcy zakładów prywatnych. Tymczasem nasze kontrole wykazują, że to teoria tylko, te zakłady pracują oczywiście „na lewo”, nie płacąc podatków, a swe wyroby sprzedają w drugim końcu Polski na rynku czy ulicy, korzystając z ogólnego, handlowego balaganu. I nie ukrywam, że nasze uderzenie skierowane jest głównie na sprawdzenie rzetelności informacji i zawieszanie działalności rozmaitych firm.

— Sytuacja, myślę, powinna stopniowo wracać do normy.

— Ale jest wręcz przeciwnie i stąd nasze wzmożone działania. Wystarczy jeśli powiem, że w jednej tylko dzielnicy, Łódź — Górna, do końca lutego

1990 r. zawiesiło działalność 910 podmiotów gospodarczych, a dokładnie od 27 marca 1990 r. — w sumie już 2276. Proces narasta i musimy ten „niepodatkowy” rynek rozbić. Jakże się potem dziwić, że budżet za dwa miesiące jest nie wykonany? Nikt w tym kraju, w tym miesiącu nie troszczy się o pieniądze?!

— System karania we Francji, że wróć jeszcze na moment do interesujących porównań, nieuczciwych podatników jest równie ostry, jak wspomniane przez pana akcje przeciętnego handlarza?

— Trzeba zaznaczyć, że tam nie opłaca się oszukać fiskusa, bo kary, jak by ich nie nazwać, błyskawicznie doprowadzą do likwidacji zakładu, ruiny podatnika. Jak zresztą wszędzie na Zachodzie nikt nie oszczędza takiego nieuczciwego podatnika w procesie egzekucyjnym — sprządaże, licytacje, blokady kont bankowych to szara codzienność.

— Silny aparat skarbowy to szalenie niepopularny pomysł.

— Niestety, wciąż tak u nas jest, od lat. A przecież nareszcie, choć brzmii to znów jak slogan — nareszcie pracujemy dla siebie. Kiedyż my zrozumie-my, że taki aparat działający przy wsparciu terenowych władz i społeczeństwa — to przede wszystkim gwarancja zdobycia finansów na budowę choćby dróg, ulic, szkół i żłobków...

— To jeszcze lata pracy nad zmianą naszych przyzwyczajeń, fatalnych skojarzeń i odruchowych reakcji. Wiele nauki przed nami. A na razie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: **DARIUSZ DOROŻYŃSKI**

ciwie, zaledwie na niecałe 5 miliardów złotych...

Mityczna, sztandarowa budowa — wciąż przecież nie dokończona — posiada na swym koncie kwotę 400 milionów. I teraz pcha się na usta faktycznie „sztandarowe” pytanie: ile jeszcze miliardów potrzeba i skąd je wziąć, kto ma finansować zakończenie budowy?

2.

Indagowani przez mnie inspektorzy bardzo operatywnej łódzkiej delegatury Najwyższej Izby Kontroli — przyznają że zgrozą, że delikatnie nadeptnięty przez nich grzyb pod tytułem „Pomnik Matki Polki” zaczął wydawać dziwnie nieprzyjemne zapachy. Uściślijmy — nie sam szpital, ale jakby działalność różnych ciał otaczających samą budowę. Ot, choćby Rada Obywatelska Budowy Szpitala Pomnika. Sprawowała państwo nad całością przedsięwzięcia. Praktycznie zbierała się rzadko-

mieniać, bo to przecież zwykła, szara powinnost i nie ma powodu pchać się na afisz... — Oto jeszcze w 1984 roku Prokuratura Rejonowa dla Polesia przekazała w darze dla szpitala blisko 8,5 kilograma srebra najwyższej próby 998/1000. Ktoś w Politechnice Łódzkiej to kiedyś odzyskał, za co miał jeszcze grube nieprzyjemności... Leżało srebro w bankowym depozycie, aż nagle w lutym 1990 roku ktoś wpadł na pomysł, by wyprodukować zeń około 5 tysięcy pamiątkowych znaczków-cegiełek, które po sprzedaniu zasilały w sumie konto budowy szpitala.

Pojawia się jakaś warszawska spółka „Patra”, która podejmuje się tego zadania, choć żadnej umowy nie sporządzono. Tajemniczy jegomość pobiera 37 sztabek i dwa kawałki srebra, a według jedynego „papierka”-zlecenia, „Patra” ma wykonać owe znaczki, połowę srebra zatrzymując... jako zapłatę za usługę. Warunki nie są złe, nie więc dziwnego, że — znaczków nie ma do dziś...

dodają — a prasa niechże weszty tym tropem.

To przede wszystkim tajemnicza sprawa przerobu srebra, ale także zadziwiająca beztrością historia dotycząca sprzedaży okolicznościowych monet za granicą. Napiszmy tylko, że przewidywane wpływy miały sięgać ponad 14 tysięcy dolarów USA i ponad 80 tysięcy marek DM, tymczasem zainteresowanie Sekretariatu i jego dyrektora tą sprawą najkrócej określa zarzut NIK: — zignorowanie interesu społecznego.

3.

— Dary rzeczowe? Generalnie rzecz ujmując: ich zagospodarowanie wymaga osobnej, szczegółowej kontroli, a temat to drażliwy.

— Jest jeszcze trzecia sprawa sygnalizowana prokuraturze. — mówią inspektorzy NIK, — My ją nazywamy umownie: nieujawnione konto. Ale po kolei. Otóż nadszedł taki moment: w niewątpliwie efektywnej działalności dyrektora Sekretariatu RO, kiedy poczuł się

te wpływy i wydatki. W Sekretariacie nie księgowano milionowych transakcji...

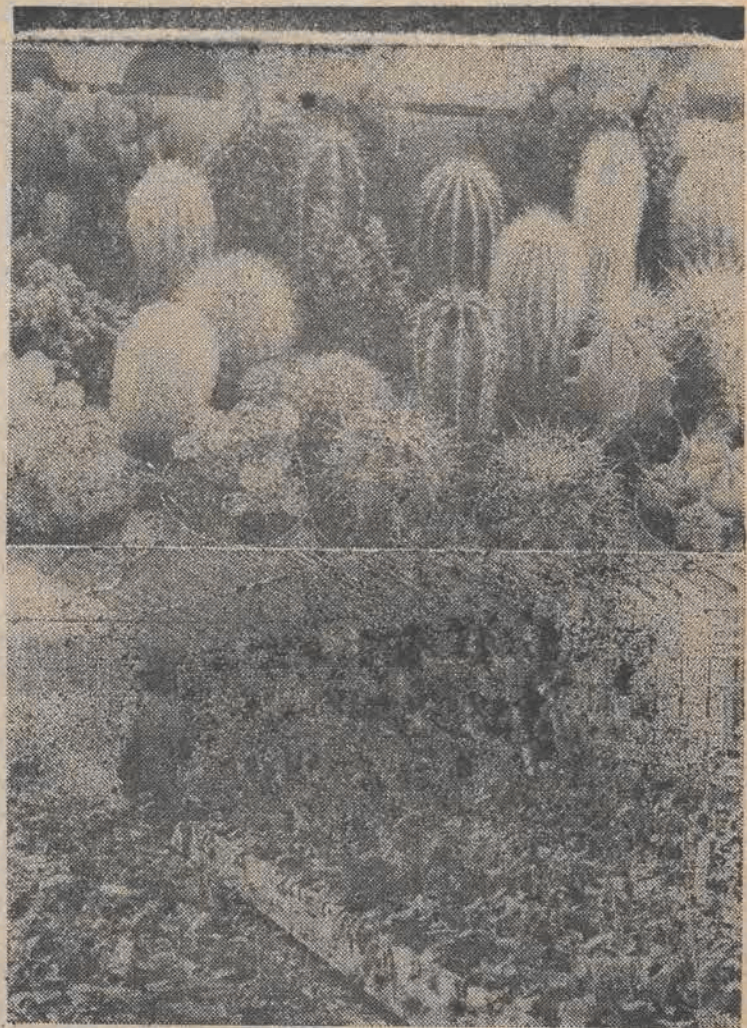
W marcu 1989 roku na rachunek bankowy Sekretariatu przekazano 672 miliony złotych z rachunku bankowego Rady Obywatelskiej.

— Rzecz absolutnie kuriozalna — inspektorzy NIK wydadają się być szczerze przerażeni — ze względu choćby na kompletną ignorancję dobrej woli ofiarodawców, niech pan bowiem napisze wyraźnie, że te 672 miliony to była całoroczna, społeczna zbiórka z poprzedniego, osiemdziesiątego ósmego roku!!! Na przelewie dotyczącym tych nieszczęsnych 672 milionów istnieje zapis: „zasilanie działalności gospodarczej w ramach Sekretariatu”. To się w naszym, nikowskim języku określa decyzją samowolną. Bo wiem ci dwaj panowie — przewodniczący RKO i jej sekretarz generalny — nie mieli prawa decydować o przeznaczeniu pieniędzy z rachunku Rady Obywatelskiej na cel inny niż budowa szpitala.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:



Kwiaty



Kombinat Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych w Klawerowie

Szpital będzie — pomnik zniknął

Znaleźli się w niej rzutcy promieni, więc i rozszady personalne były spore. No i przyszedł moment, że w Radzie pozostał praktycznie pan Zenon Komender i sekretarz generalny — Józef Niewiadomski. A i jego siła przebicia zmieniała się jak w kalejdoskopie: najpierw jest prezydentem, potem ministrem, jeszcze potem — pierwszym sekretarzem, aż nagle — emerytem... Na szczęście istnieje jeszcze Sekretariat Rady Obywatelskiej (powołany decyzją Prezydenta Miasta), który będąc jej organem wykonawczym, zatrudnia oczywiście pracowników etatowych, a przede wszystkim ma gromadzić i przekazywać rozmaite środki finansowe i dary rzeczowe płynące z różnych stron na budowę Pomnika.

— Niektóre przedsięwzięcia i pomysły Sekretariatu oraz jej dyrektora Henryka Andrzejewskiego wprawiły nas w lekkie osłupienie — opowiadają inspektorzy NIK, skromnie prosząc, by ich nazwisk nie wy-

NIK trafił do szpitala praktycznie w efekcie interwencji komisji zakładowej NSZZ „Solidarność CZMP. Ich to bowiem pomysłem był oryginalny raport „Sytuacja w Szpitalu-Pomniku”, którym zainteresowali posłankę — Marię Dmochowską. Niecodziennie opracowanie trafiło do prezesa Najwyższej Izby Kontroli, a potem — ruszyła kontrolna machina. Ponad trzy miesiące specjalistyczne zespoły z Warszawy i Łodzi kontrolowały szczegółowo działalność: Wydziału Zdrowia Urzędu Miasta, Szpitala-Pomnika, Dyrekcji Budowy CZMP i Sekretariatu Rady Obywatelskiej. Długa lista zarzutów trafiła wkrótce, choć w odmiennej nieco formie, do zainteresowanych rzecz jasna, ale także do — Izby Skarbowej, Prokuratury Wojewódzkiej i prezydenta Miasta Łodzi.

— My zasadniczo skierowaliśmy tam tylko trzy grupy spraw, w formie informacji — tłumaczą inspektorzy NIK i

prawdziwym bankierem. Zaczął udzielać milionowych pożyczek. Łącznie pięciu tak zwanym podmiotom gospodarczym — a rozrzut był spory: od prywatnego zakładu rzemieślniczego po Łódzką Fabrykę Mebli i warszawską Akademię Sztuk Pięknych (sic) — pożyczono ponad 1 miliard złotych. Tłumaczenia, poza całą stroną moralną (to były fundusze wyłączone na budowę...) że chodziło o pomnażanie kapitału, nie znajdują, niestety, najmniejszego uzasadnienia. Prosty rachunek wykazuje, że złożenie takich kwot — na rok powiedzmy w Powszechnym Banku Gospodarczym lepsze przynosi dochody. A więc nie o ten szczytny cel chodziło...

Sekretariat nie miał w ogóle prawa prowadzić działalności gospodarczej, pomijając obowiązek zgłoszenia takowej w Izbie Skarbowej. Jeśli chciał zasyłać kasę na jakiś zbożny cel, to od zamierzonych czasów wiadomo, że trzeba prowadzić dokumentację, księgować

Ciekawostkami to możemy pana i Czytelników zasypać. Pierwsza z brzegu: do czasu zakończenia naszej kontroli (21 marca 1990 r.) ze wspomnianej działalności gospodarczej ani jedna złotówka nie wpłynęła na rachunek Rady Obywatelskiej! I zaraz następną zagadką: oto w czerwcu 1989 roku Sekretariat pożyczka 100 milionów bogatej „Weście”, na rewalacyjnie niski procent. Zapewne przypadkowo w tym samym czasie firma ta zleca Sekretariatowi... wykonanie dla nich pewnych prac księgowych, przekazując na tę robotę 12 milionów złotych. I znów „drebliasz”: pracownikom wykonującym te prace wypłacone 2 miliony 700 tysięcy. Dodajmy tylko, że pieniądze przekazano na specjalnie utworzone konto w Łódzkim Banku Rozwoju SA...

4.

Faktycznie — dosyć na dziś, na jeden raz — wystarczy. Jeszcze będzie okazja do odbrawionego pomnika wrócić. Wierzę, że Prezydent Miasta Łodzi i Prokuratura Wojewódzka dostarczą nam jeszcze po temu wielu materiałów.

Na zakończenie chciałbym tylko od siebie dodać jeden szczegół. Znajdują się bowiem jeszcze na koncie Rady Obywatelskiej dewizy: ponad 1 milion 320 tysięcy dolarów USA i 377 tysięcy rubli. Uważam, że nie powinny one pojsć na cegłę, cement czy kafelki, ale być pewnym kapitałem wyjściowym zabezpieczającym prawidłową eksploatację szpitala, jego wyposażenie w specjalistyczną aparaturę medyczną. Bo najważniejszy jest SZPITAL.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński



Seks i polityka

JERZY KWIECIŃSKI

Niewiele wiadomo o polskim epizodzie w tak licznych wojach i przygodach Giovanniego Casanovy — awanturnika i szalbierza, sławnego uwodziciela, który przebywał w Polsce na przełomie lat 1765/66, a więc w samych początkach panowania Stanisława Augusta, na kilka lat przed pierwszym rozbiorem.

W Warszawie, dokąd przybył w celu niewyjaśnionym, via Petersburg, zawarł wiele znajomości, pojedynkował się z osławionym Ksawerym Branickim, w czym miała odegrać rolę stara znajoma Casanovy, primaballerina królewskiego baletu Anna Binetti, żona pierwszego tancerza, a zarazem kochanka Branickiego.

Na kanwie tych nielicznych faktów Jerzy Żurek osnuł swą zgrabnie skomponowaną sztukę, o wybitnym zacięciu komediowym, postużył mu też ona za pretekst do namotania wątku politycznego. Domniemana misja polityczna Casanovy, wymuszona na nim przez car-

ską policję, przenika więc z wydarzeniami z życia osobistego.

Casanova, którego zalety pióra znane są z jego pamiętników, jawi się nam tutaj jako człowiek o błyskotliwej inteligencji i lotnym dowcipie, rozbrajające cyniczny w sprawach erotycznych, w których ten czterdziestolatek odnosi stale jeszcze oszołamiające sukcesy, a przy tym nie pozabawiony skrupułów moralnych i bezinteresownych odruchów, gdy w grę wchodzi zagrożenie ogólnoludzkie, wolnościowych ideałów.

Dużo inwencji wykazuje autor zderzając z sobą dwie współczesne, ale mocno odmienne mentalności i obyczajowości — zachodnią swobodę obyczaju z zaściankowym sarmatyzmem. Przytakujemy bohaterowi, gdy wykrzykuje w osłupieniu: „Co za kraj, co za ludzie!”, zwłaszcza gdy odnosi się do karierowiczostwa i służalczych skłonności.

Nasz bohater, mistrz nad mistrze w lózkowych harcach, zawdzięcza te swoje samce osiągnięcia — według świadectwa autora sztuki — okazałemu, że tak powiem, rymsztunkowi, wzbudzącemu podziw jednych i zazdrość drugich oraz imponującej „wydańności” seksualnej. Po prostu nie człowiek, lecz „przyrzad”...

I tu, gwoli edukacji męskiej młodzieży, która oby zawsze ochotnie i skutecznie — wzorem przodków — występowała w służbie Pani Wenus, upomnielibym się o inne jeszcze zalety, którymi musiał się odznaczać Casanova. Na-

prawno miał on też dar pobudzania erotycznej wyobraźni partnerki („nikt przecież prozę panów, nie jest pulkiem ulanów”). Warto o tym wiedzieć, skoro już znajdujemy się w popiesznym marszu ku Europie, która cení sobie różne finanse.

No, ale najważniejsze, iż nasz sceniczny Casanova czynił „tę rzecz” z upodobaniem i ku ukontentowaniu partnerki, dam często wpływowych, co mu torowało drogę, ku innym, pozalóżkowym celom. Bo chyba rzeczywiście nie odwiedził nas tylko po to, by zakosztować wdzięków polskich niewiast.

Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem swobodną i brawurową grę, z szelmowskim wdziękami prowadzoną przez BRONISŁAWA WROCŁAWSKIEGO w roli tytułowej, jak zawsze bardzo też sprawnego fizycznie. Porażająca brutalność carskiego Oficera, który zaspokaja niskie instynkty nadgorliwym wypełnianiem rozkazów, sugestywnie przekazał JACEK PAWLAK. Zimną dygnitarską układność Starszego Oficera, który nie musi się fatygować wykonywaniem brudnej roboty konsekwentnie przedstawił PIOTR KRUKOWSKI. Jeśli do tego wspomniemy, że i pozostali wykonawcy wywiązali się ze swych zadań, to stwierdzić musimy, iż przedstawienie wyróżniało się dawnym w tym teatrze niespotykanym poziomem aktorstwa.

Reżyser zadbał o dobre tempo akcji, natu-



Na zdjęciu: Teresa Makarska, Bronisław Wrocławski, Mariola Kukula, Jan W. Poradowski. Foto: Aleksander Błosiński

ralność sytuacji i komediowy styl całości. Myślę że „Casanova” nieprędko zejdzie z affisza...

Jerzy Żurek: „Casanova”. Reżyseria — Bogdan Tosza, scenografia — Andrzej Witkowski, opracowanie muzyczne — Teresa Stokowska-Gajda. Prapremiera 24 marca 1990 r. w Teatrze Nowym. (pisane z przedstawienia w dn. 29 marca).

„Czas i pokój”

DANUTA KONIECZNA-MALATYŃSKA

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru przez polskie sceny przetoczyło się wiele premier. Teatr Studyjny prezentował po raz pierwszy najnowszą sztukę BOTO STRAUSSA „CZAS I POKÓJ”. Ten intrygujący — uznawany za najciekawszego współcześnie piszącego dramaturga europejskiego — Botho Strauss dostarczył teatrowi doskonałego materiału do przedstawienia, które zostało bardzo dobrze opracowane.

Była to polska (i wschodnioeuropejska) prapremiera, którą śmiało można uznać za wydarzenie kulturalne. Prapremiera światowa miała miejsce w Schaubühne w Berlinie Zachodnim w 1989 r.

Czysta przestrzeń mieszkania, okna, świat wewnątrz i ten poza oknami — w środku człowiek i jego sprawy. Zachowania ludzi w wnętrzu determinują świat zewnętrzny: pogodę,

nastrój, klimat. (Bo czyż nie jest tak, że świat odbieramy zgodnie z naszym samopoczuciem, nastrojem?). Dwaj mężczyźni toczą dialog, lecz brak między nimi porozumienia. Przybywa Maria S. — zagubiona, chora, odrzucona. Dwa razy podejmowała próbę samobójstwa. Z każdym mężczyzną, który się pojawia, chce znaleźć nł porozumienia. Jednak nic się nie układa.

Inna kobieta, rwana Niecierpliwa jest bardziej wzywająca, bardziej bezpośrednio narzuca i oferuje siebie. Ale to też nie przynosi sukcesu. Mężczyźni przeżywają swoje frustracje. Przybywają na przyjęcie, by coś załatwić, bądź dla zabicia czasu. W ogóle pojęcie czasu jest tutaj szczególnie ważne. Mężczyzna, który zgubił zegarek przyszedł go odnaleźć, ale ktoś zauważył, że „jest to zegarek szczególnego czasu dla szczególnych godzin”. Olaf należy do Klubu Obojętnych, inny Mężczyzna uratował kobietę z pływającego hotelu. Kobieta śpi snem zdrowym, nieprzerwanym i on nie wie czy nie jest jego snem. Botho Strauss ukazuje ciekawe spojrzenie na relacje męczyzna — kobieta.

Maria S. wciąż na nowo podejmuje próby przypadkowych kontaktów — jej tak niewiele potrzeba do szczęścia. Ale nikt spośród spotkanych mężczyzn nie potrafi się domyślić, co może stanowić szczęście dla Marii. Czasami

chodzi o 5 minut, o które ktoś za późno przybył na lotnisko lub o to, aby ją przytulił. Maria czuje się samotna. Żyje pośrodku miasta, na skrzyżowaniu dudniącego ruchu, lecz w kompletnie pustym mieszkaniu. Maria chce wyjechać, zmienić coś w swoim życiu. Ale oto zjawia się mężczyzna który ma wynająć jej mieszkanie. Ona zrobi wszystko, by zostać razem z nim. „Zauważ, życie jest tak urządzone po to, byś po raz drugi nie nudził się na świecie”.

Ten niezwykle „esej dramatyczny” jawi się jako collage myśli, doznań i snów towarzyszących współczesnemu człowiekowi. Jest to świat pełen niepokoju, zagrożeń, obojętności, braku porozumienia i samotności, ludzi pogrążonych w depresji, dla których tak ważne jest czyjeś pozdrowienie, zwykła pamięć o nas. Te napięcia i emocje są bardzo powszechnie odczuwane w cywilizacji zachodniej, choć coraz częściej dotyczą ludzi i w tym obszarze kulturalnym, do którego my zostaliśmy przypisani. Człowiek, umieszczony w konkretnym czasie i przestrzeni. Czas jest wszechobecny a przestrzeń nie zawsze przyjazna. Niemniej pocieszające jest to, że Maria nieustannie próbuje załudnić swą przestrzeń. Czy szczęśliwie? Zawsze ma nadzieję, że któraś z prób przyniesie szczęście. „Być może będziemy z czasem wszystkimi mineralami, wszystkimi

zwierzętami, wszystkimi ludźmi, ale szczęśliwie nie wiemy tego. Szczęśliwie wierzymy w życie osobowe”.

Oto na lódkich scenach ujrzelśmy niekonwencjonalną sztukę, ciekawie omyloną przez reżysera — wiele tu zaskakujących pomysłów, ruch aktorów ma coś z pantomimy, niebanalnie opracowane dialogi, często prowadzone z dowcipem, mimo nie najwyższego tematu. Jest to sztuka pełna problemów egzystencjalnych, filozoficznych, pełna bogactwa myślowego o dużym ładunku emocjonalnym.

Na wyróżnienie zasługuje rola Marii S., którą w kilku wcieleniach znakomicie wykreowała EWA SOBIECH. Sądzę, że nie tylko męskiej publiczności podobać się może MARIA RAIFF w roli Niecierpliwej. Kreacje męskie interesujące na wyrównanym poziomie. Do tego scenografia współgrająca z doskonałą grą światła — powodują, że spektakl jest udany pod wieloma względami. I pomimo, iż trwa on prawie trzy godziny, przez cały czas przyciąga uwagę i jest naprawdę godny obejrzenia.

BOTO STRAUSS: „Czas i pokój”. Reżyseria i przekład — MICHAŁ RATYŃSKI. Scenografia — PAWEŁ DOBRZYCKI. Kostiumy — ELŻBIETA IWONA DIETRZYCH. Prapremiera w Teatrze Studyjnym w Łodzi — 30 marca 1990.

Zakończenie obchodów

Uroczyste obchody 75-lecia Państwowej Filharmonii im. A. Rubinsteina w Łodzi były m. in. okazją do zbliżania działalności tej placówki. Trzy tygodnie, które minęły od uroczystości, pozwalają natomiast na podsumowanie samego jubileuszu.

Relacjonowany przeze mnie szczegółowo koncert inauguracyjny obchodów (przypomnę raz jeszcze, że patronowała im minister kultury i sztuki Izabella Cywińska) stał się pięknym sukcesem kapelmistrzowskim związanego przez długie lata z Łodzią Henryka Czyży. Kolejne zaś dwa wieczory symfoniczne prowadził zna dyrygenckiego pulpitu obecny szef artystyczny Łódzkiej orkiestry — Tomasz Bugaj. I oba te spotkania również okazały się w pełni udane pod względem artystycznym, przygotowane a pletyzmem.

Muzykę współczesną. Mogło to nawet trochę zaskoczyć bywałych koncertowych, gdyż dzieła awangardowe stanowiły zawsze ledwie zauważalny margines w repertuarze filharmoników. 23 marca, poza nie grywaną już właściwie nigdzie, romantyczną I Symfonią g-moll Wasyla Kalinnikowa (wziewględona w programie z tego powodu, że figurowała na afiszu pierwszego występu Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej pod dyr. Tadeusza Mazurkiewicza 75 lat temu), zabrałm nie odzwyczajony wcześniej w naszym mieście, napisany niedawno, I Koncert fortepianowy Witolda Lutosławskiego. Partie solowa realizował Piotr Paleczny. Wiza znakomitego utworu współtworzona przez tego artystę zaprawiała wiele zarówno z punktu widzenia dramaturgii formy, jak i walorów czysto wirtuozowskich.

30 marca wykonane zostały utwory Henryka Mikołaja Góreckiego oraz Iodziniana — Jerzego Bauera. „Beatus vir” Góreckiego na baryton, chór i orkiestrę jest nasyconym mistycznym pasmem skomponowanym z okazji 900-lecia męczeńskiej śmierci św. Stanisława Szczepanowskiego. Szlachetny baryton Adama Kruszewskiego harmonizował w modlitewnym nastroju z chórem, który w dramatycznym tutti z pewną trudnością przebiegał się wprawdzie przez masę dźwiękową orkiestry, lecz we fragmencie a cappella zachwyił urodą brzmienia. Klimat kontemplacji towarzyszył też „Jubilate e la danza polacca” Bauera — szczególnie początkowo, inspirowany chórem gregoriańskim sekwencjom tego interesującego, orkiestrowego dzieła.

Solistą zamykającego jubileuszu wieczoru był ponadto słynny pianista amerykański, Malcolm Frager. W nawiązaniu do pamiętnego występu w Łodzi Artura Rubinsteina w 1975 r. interpretował on V Koncert Es-dur Ludwiga van Beethovena. Artysta zaimponował wirtuozowską maestrią techniczną, temperamentem i wzorowym pano-

waniem nad stroną dźwiękową, sprawnie towarzysząca orkiestra winna może tylko w troszkę jeszcze wolniejszym tempie, a dzieki temu z większym uduchowieniem, rozpocząć środkowe Adagio.

Dodam, że wspomniane koncerty przedzielone zostały imprezami zorganizowanymi w Muzeum Historii Miasta Łodzi: projekcje filmów o A. Rubinsteinie, komentowana ze swadą przez Zdzisława Sierpińskiego, a także recitalami Tatiany Szabanowej (utwory Mozarta, Beethovena i Schumanna) i Tadeusza Chmielewskiego (w programie — Chopin, Paderewski, Szymanowski). Miłośnicy muzyki fortepianowej mieli więc szczególnie wiele powodów do zadowolenia. Ale — sądząc z frekwencji — usatysfakcjonowani obchodami byli chyba wszyscy łódzcy melomani.

Na następne dziesięciolecie wypada zatem życzyć filharmonikom samych sukcesów artystycznych i — wreszcie — długo oczekiwanej, nowej siedziby.

JANUSZ JANYST



„NIE STÓJ, NIE CZEKAJ”
— PRZECIEŻ JESTEM WŁASNYM DOMU

Rys. Sławomir Łuczajski

Dowody tożsamości

— Rozmowa z doc. dr hab. ANDRZEJEM MIKOŁAJCZYKIEM.



„Idea ochrony naturalnego środowiska człowieka zdobyła już na szczęście uznanie szerokiej kręgi społecznych, czas najwyższy aby podobne zrozumienie i uznanie znalazła ochrona środowiska kulturowego”. — Ta mądra uwagę wypowiedział dyrektor Łódzkiego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, doc. dr hab. Andrzej Mikołajczyk. I rzeczywiście. Mimo najrozmaitszych zawirowań społecznych, historycznych naród trwa,

zaś świadectwem jego istnienia, trwania jest to, co zdołał zostawić po sobie najcenniejszy. Zniszczenie czegośkolwiek z tego dorobku — bywa nieodwracalne.

— Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi powstało 1 stycznia 1931 r. z zadaniem ochrony dóbr kultury narodowej w szerokim rozumieniu, a więc zarówno cywilizacji pradziejowych jak i ludowych, tego co jest solą tej ziemi, co stanowi o tożsamości kulturowej — mówi dyr. Andrzej Mikołajczyk. — Owszem, raz były czasy cięższe, raz cięższe, lecz sam fakt, że to muzeum zdołało zgromadzić największą w mieście kolekcję przedmiotów świadczących o tym, jak żyli nasi przodkowie, czy też do niedawna mieszkańcy wsi — jest dostatecznie wymowny i do czegoś zobowiązuje. W pierwszym rzędzie do rzetelnego wypełniania obowiązków w sposób publiczny. Wyrazem tego są wydawane od 1956 r. nasze publikacje naukowe w trzech tomach rocznie. Jeśli warunki na to pozwoliły w tym roku dorobimy się łączną 70 tomów prac z zakresu archeologii, etnografii, a ostatnio z dziedziny numizmatyczno-konserwatorskiej. Jest to nie innego jak nasza odpowiedź, na co przeznaczane są środki publiczne. A nie są to „sprawozdania utrudzone” lecz publikacje przedrużające niejako życie tych skarbów, których nie jesteśmy w stanie — z braku możliwości — prezentować w salach wystawowych. Nasze publikacje docierają do kilkudziesięciu państw świata, do kilkuset instytucji naukowych, i nie tylko. Dzieki temu tak wspomnianie rozwinęła się w ostatnich latach nasza biblioteka fachowa, stanowiąca niezwykle ważny instrument naukowy. Mamy już dziś 40 tys. tomów literatury fachowej, nadających się do różnych zakątków świata — od Stanów Zjednoczonych po Chiny. Nie kosztuje to nas ani kopiejki, ani pen-

zujemy środki konserwatorskie z innych województw po to, żeby prowadzić badania terenowe, a zdobyte skarby przywozić do muzeum; więcej, w roku ub. udało nam się pozyskać środki za granicą na badania początków kultur rolniczych w neolicie... Oznacza to, że nawet w ramach tak skromnych możliwości jesteśmy w stanie funkcjonować. Jednakże wszystko ma swoje granice. Nie można stworzyć realnego programu ochrony zabytków etnograficznych i innych, dotyczących tego miasta, tego regionu Polski, czy w szerszej skali, jeżeli nie ma środków na opłacenie poczty, która w tej chwili musi być ściśle pokrywać z własnej kieszeni. Jest to uwaga trochę żorzka, lecz nie o to tu idzie. Jest to przecież kwestia ochrony i przechowywania przeszło 200 tys. obiektów, które to muzeum zdołało zgromadzić w ciągu 60 lat. Jeśli nawet przyzobry je zamknąć to i tak te 200 tys. obiektów — od wyrobów drewnianych, glinianych po srebro i srebro w numizmatyce — tu, w tym mieście, Polskę pozostanie i podlegać będzie ochronie. Ty — że, może bez wyjątków...

— Co przysparza najwięcej kłopotów? — Stan techniczny budynku, w którym się znajdujemy. Został wzniesiony w XIX w. na cele szkolne, potem, w okresie międzywojennym mieścił się tu magistrat. Dłd jego stan jest katastrofalny. Dowodzą tego wszelkie możliwe eksperyty nakazujące, po wielu latach przeciągania sprawy, zamknięcie wystaw. Musimy przystąpić jak najszybciej do generalnego remontu tego obiektu, który pełni w tej chwili różne funkcje — poza nami, na dół mieści się archiwum, na górze uniwersytet... Przez wiele lat występowałyśmy ze skromnymi projektami, mając na względzie właśnie dobro filharmonii, Muzeum Sztuki i wiele innych instytucji, lecz teraz, ze względu na pewne nieodwracalne procesy nie możemy być niemi. Tu nie chodzi tylko o remont obiektu, lecz o coś więcej...

— O co? — Proszę zauważyć: prowadzamy np. działy archeologiczne, w których gromadzone są zabytki pozyskiwane w wyniku badań wykopaliskowych; działy etnograficzne, pozwalające nam zrekon-

struować jak to ongiś bywało, bowiem w przeszłości odnajdujemy naszą tożsamość. Teraz, proszę popatrzeć: młodzież, dzieci, a i dorośli, jadąc do lasu nie potrafią rozróżnić gatunków drzew, gatunków rosnących na polach zbóż... Czy zatem mamy także żyć w izolacji kulturowej, nie wiedząc np. skąd się to miasto wzięło? To miasto nie wzięło się z księżycem! Tu nie przyjechali Pigmeje z doliny rzeki Kongo, tylko ludzie, którzy tę Polskę w XIX i XX w. zaludniali. Problem muzeum nie sprowadza się więc tylko do archeologii, etnografii, numizmatyki czy konserwacji, lecz kultury w najszerszym znaczeniu, do tego czynnika, który kształtuje humanistyczny rozwój człowieka...

Od lat współpracujemy — i to z dobrymi wynikami — z młodzieżą. W ten sposób wypełniamy nie tyle białe plamy, co luki istniejące w naszym systemie edukacyjnym. Dzieci i młodzież ludzie chodzą do szkoły, lecz jutro pójdą do urn wyborczych głosować za tym, jak to miasto ma wyglądać w przyszłości. Bariera między ignorancją a zrozumieniem jest bardzo płynna, niekiedy przebiegać zaczyna właśnie w wieku kształtowania się osobowości, wrażliwości...

— Czy nie należy wielką rolę wyznaczać placówce muzealnej? — Nie wyobrażam sobie placówki muzealnej nieorientowanej, nie otwartej wobec społeczeństwa. Przecież my nikomu innemu nie służymy jak społeczeństwu. Oczywiście, postępujemy się specjalistycznym warsztatem naukowym, gdyż taka jest procedura pozyskiwania naszych zbiorów. Robimy to najtańszym kosztem, jaki można sobie wyobrazić, za to efekty są całkiem przyzwoite. Z ponad pięciuset muzeów w Polsce — a tylko połowa pełni de facto funkcje muzealne gromadząc, konserwując, badając, wystawiając i publikując — wyodrębniona została nieliczna grupa muzeów o specjalnym znaczeniu dla kultury polskiej. Wśród tych czterdziestu paru muzeów są trzy muzea łódzkie: Muzeum Sztuki, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne i Centralne Muzeum Włókiennictwa. To oczywiście lechże naszą dumę lokalną, lecz winno także zobowiązywać, w innej perspektywie ustawiać przyszłość i dzień dzisie-

Najpierw frazka A. Woolf... Najpierw frazka A. Woolf w tłumaczeniu Jakuba Rożenka:

„Wszystko, co w życiu pociągające jest niemoralne, lub nielegalne, względnie tużce...”

W Kostaryce i innych krajach Ameryki Łacińskiej, kler żąda wprowadzenia zakazu tańczenia lambady i wypowiada się przeciwko szkodliwym lesbijkom i homoseksualistom.

Jeśli idzie o lambadę, przypomina mi się sfera z kankaniem — też go wyklinano z ambon i zakazywano, a jednak trwa.

U nas „Rzymianka” wywołała „masę protestów” skoitunionych kleryków i strażników moralności... Co dzieci i młodzież robią przed telewizorami po „Wiadomościach”?

W Francji nastąpiła zmiana bardzo istotna: zamiast cenzury powstał ma tam „skuteczna ochrona”. Komisja zmienia nazwę. Staje się Komisją Kwalifikacyjną, a nie Komisją Kontroli Filmów.

Wypowiadałem sobie kilka wypowiedzi różnorodnych ludzi:

„Każdy mówi co innego, a dla mnie jest to Bardziej anarchia, niż demokracja. Porównujemy to do wozu ciągniętego przez trzy bawoły. Jedną idzie w prawo, drugą w lewo, trzecią stoi w miejscu. Czy taki wóz pojedzie? (PHOUMI YONGVICHIT — urzędnik prezydenta Laosu).

„Trzeba założyć tam Hotel „BOLSZEVIK”, s czerwonymi latarniami na dachu, a na dole otworzyć największy bar McDonalda w Europie Wschodniej”. (Aleksander Kwaśniewski, minister ds. młodzieży w kwestii zagospodarowania budynku dawnego Komitetu Centralnego w Warszawie).

Mieczysław Rostropowicz, dyrygent światowej sławy urodzony w ZSRR, przygotowując się do pierwszej — po 16 latach wygnania — podróży do domu: „Kapitalizm, komunizm — to wszystko nic nie warte”.

„Uważamy, że słowo przebudowa, da szczęście naszemu narodowi”. (Daszyn Byamasuren, kandydat na członka mongolskiego politbiura).

ANDRZEJ GRUN

PS. Zdradzony kochanek z hrabstwa Worcester w środkowej Anglii znalazł oryginalny sposób zemsty na dziewczynie, która go porzuciła i wyjechała z innym na urlop. Dostał się do jej mieszkania, wykreślił numer zegarynki w Nowym Jorku i położył słuchawkę obok aparatu. Gdy niewierna Amy wróciła w czterdzieście dni później, otrzymała rachunek telefoniczny na przeszło 10 tys. dolarów.

U nas taki numer jest nie do pomyślenia. Polski rogacz zapewne by się do zegarynki nie dowodził. Jeśli już — wyłączałaby się ona po 5 minutach. A o połączeniu z Nowym Jorkiem, czy chociażby z jakimś innym miastem w Polsce, w ogóle przecież nie ma mowy. I takie są dobre strony źle działających telefonów. Cieszymy się tym, co mamy.

(AG)

Rozmowa z TADEUSZEM GIGGIEREM.

— Jubileusz, czy się tego chce, czy nie, prowokuje do podsumowań, do przyjrzenia się zbiegłemu zbył szybko — na ogół — latom.

— Nie czuję się jubilatem, traktuję to jak datę w kalendarzu. Ale jeśli trzeba, spróbujmy.

— Zadebiutował pan w 1948 r. w wieku 21 lat, wierszem zamieszczonym w owianej legendzie antologii pt. „Różnie idąc”.

— Była to antologia młodych poetów łódzkich (m. in. Braun, Woroszyński, Pogonowski, Miller), wydana przez Koło Polonistów UL, ze wstępem Stefana Skwarczyńskiego. Podzielono ją na trzy działy: poetów marksistowskich, poetów katolickich i poetów niezależnych. Mój wiersz otwierał działy trzeci. Wyraziłem w nim, że byliśmy prekursorami dzisiejszego pluralizmu. Okres uznawania różnorodności, nie tylko w sztuce, nie trwał jednak długo. Wszyscy wiemy, jak było później.

— Później pracował pan w łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia.

— Popołonem tego okresu, a także 6-letniego okresu biostockiego, są trzy książki reportażowe, a tytuł trzeciej: „Pasjonaci”, najlepiej charakteryzuje kierunki moich poszukiwań. Tropiłem ludzi interesujących, niezwykłych, a poprzez ich dzieje i losy starałem się przedstawić zmiany zachodzące w świadomości społecznej. Interesowały mnie, poza tym, w reportażach tropy literackie, związki pisarzy z ziemią łódzką i biostocką. Szedłem śladami Jerzego Szaniawskiego, Antoniego Kasprowicza, J. I. Kraszewskiego, A. F. Ossendowskiego, Tuwima, Ejsmonda, Konopnickiej, Orzeszkowej i Dąbrowskiej.

— W łódzkim radiu stałem się niewygodny i jedynym miejscem, gdzie chciało mnie zatrudnić bez zadawania dodatkowych pytań, była rozgłoszka biostocka. Tam poznałem zupełnie inny świat, inną mentalność i tradycje. Spotkałem się z żywiołowością i otwartością ludzi. Poza tym, człowiekiem miasta jest wyjątkowo uczulony na przyrode.

„Odgłosy” proponują:



Propozujemy dziś amerykański film pt. „Zdradzeni”. Reżyserem filmu jest Costa-Gavras. Zdradzeni przybysza z zewnątrz stać, jak się okazuje, na chłodne i wnikliwe spojrzenie na problemy z jakimi boryka się współczesna Ameryka. Z całą otwartością pokazuje amerykański rasizm jako problem nadal istniejący w życiu Ameryki.

Młoda agentka FBI otrzymuje polecenie rozpracowania grupy białych rasistów, kierowanej przez farmera Gary’ego Simmonsa, podejrzanej o dokonanie morderstwa. Zawierając znajomość z farmaceutką, jako kontaktowa traktorzystka, stopniowo ulega fascynacji mężczyzną. Jej nastawienie się do uczucia jest nie do pogardzenia z misją, którą ma do spełnienia. Ukrywa bowiem, że ukochany poza wszelką wątpliwością bierze czynny udział w przestępczych działaniach najbardziej agresywnych i obskurantkich organizacji amerykańskiego Południa. Ich skomplikowany związek, z góry skazany na tragiczny finał, uświadamia jej, że jest wykorzystywana i oszukiwana przez swoich przełożonych.

Tytuł „Zdradzeni” odnosi się zarówno do Gary’ego — zdradzonego przez kobietę, którą kochał, jak i samej Catherine, wykorzystywanej przez kolegów z FBI i ostatecznie zdradzonej. Zdradzone zdaje się być całe społeczeństwo amerykańskie, ulegające często zabiegom polityków walczących o władzę.

Wykonawcy: Debra Winger, Tom Berenger, John Heard, Betsy Blair i inni.

franski i aforyzmy. Pomieszczone je w licznych antologiach: „Mała maza od Reja do Leca”, w antologii aforyzmu polskiego „Zadanie i młód mądrosć” i wielu innych.

— Jestem autorem krótkich form, tak siebie widzę, nawet najdłuższa moja powieść pt. „Człowiek na peronie” liczy sobie za ledwie 68 stron. Po doświadczeniach życia literackiego, choć nie tylko, mogę z dystansem spojrzeć na to, co się dzieje. Właśnie dystans jest sprawą ironicznych, żartobliwych tekstów. Ironia przywraca sprawcom właściwe proporcje.

— Prozę racystowa kilka, pana zdaniem, najciekawszych swoich frazsek i aforyzmów.

— „Wśród wszystkich ciutów tego świata Najłatwiej jest uciutać lata”.

„Najczęściej gubi To, co się lubi”.

„Satyra skrzywiona w ułkonie Własną przybliża agonię”.

„Apologeta, to nie poeta”.

„Dąb się powalił, a trzcina została. Wielka to mądrosć, tyle, że coś mała”.

„Mądrosć życiowa: umieć się wyrzekać i nie wyrzekać”.

„Wszystko gra, nawet polskie radio”.

— Co dalej? — Od 1977 r. piszę „Notatnik sporadyczny”, który chcę nazwać „Innym”. Jest to rodzaj dziennika, pisanego nieraz w dzień. Przymierzam się do wydania go, ale pracę kontynuuję, nie zamynam niczego. Tak jest, zresztą, z całą moją twórczością. Uważam, że pewna treść się pozamykała, ale gatunki nie. Do każdego z nich mogę jeszcze wrócić.

— Czego życząc, dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: MAREK KOPROWSKI

Tadeusz Giggier został Laureatem Nagrody m. Łodzi '89 za wybitne osiągnięcia w dziedzinie literatury. Mimo iż „Odgłosy” gratulowały już Laureatowi, z przyjemnością czynimy to powtórnie.

Z okazji uroczystych obchodów 70-lecia diecezji łódzkiej, Uniwersytet Łódzki przygotowuje sesję naukową poświęconą tej doniosłej rocznicy. Odbędzie się ona w dniach 27-28 kwietnia br. w auli UL. Obok pracowników naukowych, wezmą w niej udział liczni przedstawiciele duchowieństwa.

Na łódzkim rynku prasowym pojawił się nowy tygodnik — „Solidarność Ziemi Łódzkiej”. Jego naczelnym redaktorem jest znany działacz podziemnej łódzkiej „Solidarności”: Stefan Myszkiewicz-Niesiołowski. Zyczymy redakcji wielu zawodowych satysfakcji i pozyskania licznych czytelników oraz współpracowników.

Największe emocje na Łódzkiej Aukcji Antykwarycznej (4-5 kwietnia br.), organizowanej corocznie przez Antykwariat Naukowy PP. Dom Książki przy pl. Wolności 10/11, wzbudziła licytacja szesnastowiecznego starodruku z 1571 roku — dzieła Leonharda Fronspersgera „Kriegssbuch, Erster Theyl...”. To bogato zdobione drzeworytami i miedziorytami kunsztowne dzieło (cena wywoławcza 2 mln złotych) poszło spod młotki licytacyjnego w ręce prywatnego kolekcjonera aż za 11 mln 300 tys. złotych. Cała różnorodna i atrakcyjna oferta aukcyjna zawierająca 1097 pozycji — znalazła co się rzadko zdarza — nabywców.

W Galerii Bałuckiej łódzkiego BWA (Stary Rynek 2) 10 kwietnia br. otwarta została interesująca wystawa grafik jednego z czołowych naszych artystów plastyków — Edwarda Dwurnika. Ekspozycja czynna będzie do 13 maja br. Polecamy! Dla uświetnienia otwarcia Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina, 21 kwietnia br. w Kościele Ewangelicko-Augsburskim św. Mateusza w Łodzi odbędzie się Koncert Symfoniczny Orkiestry FE. Dyrygować będzie Zdzisław Szostak. Jako solista wystąpi Krzysztof Jabłoński (fortepian). W programie Koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina i IX Symfonia e-moll „Z nowego świata” Antoniego Dwořaka. W Szlagierem czytelnicy nad szlagierami stała się wydana nakładem warszawskiego wydawnictwa „Fakt” (Zarządzenie i Bankowości, Spółka z o.o.) książka Janusza Rościckiego pt. „Przerwana dekada” — wywiad-rzeka z byłym i sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem. Cena jej u łódzkich bukinistów dochodziła już do 60 tys. złotych. Sprowadził ją on z Warszawy, w Łodzi zaś miała się pojawić po świętach w „empiku” — z dwustutysięcznym nadrukiem (pierwszy raz, który błyskawicznie rozszedł się w stolicy, wynosił 100 tys. egz.). Tymczasem zaczęła zagaśniać się nad tą rewelacyjną publikacją atmosfera skandalu. Były prezes ZLP Wojciech Zukrowski poczuł się zniechęcony jedną z wypowiedzi Edwarda Gierka — jakoby powszechnie sądzono iż jego piórem napisane zostały „Barwy walki” Mieczysława Moczała. Kilka dni temu Sąd Wojewódzki w Warszawie, do którego wpłynęło powództwo Wojciecha Zukrowskiego przeciwko Januszowi Rościckiemu, Edwardowi Gierkowi i in. zobowiązał Wydawnictwo „Fakt” do wstrzymania rozpowszechniania książki do czasu prawomocnego orzeczenia. Zanosi się więc na niecodzienną sprawę sądową. A bukinieści podbili jej cenę do 150 tys. złotych.

Największa w naszym kraju kolekcja malarstwa europejskiego od XV do XX w. fundacji Janiny i Zbigniewa Karola Porczyńskich — udośćwieczona została publiczności 11 bm. w nowo otwartym w stolicy Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II. W Reprezentacyjnym łódzkie kino „Iwanowo” przeszło w ręce prywatne. Jego właścicielką stała się dotychczasowa kierowniczka tego przybytku X Muzy — Halina Warchulska-Karolczak. Zapowiada ona bardzo atrakcyjny repertuar, m.in. taki przebieg jak „Pracująca dziewczyna” (szlagier tegorocznych „Konfrontacji”) — Przewodzony przez Siawomira Małachowskiego i Jacka Szczecińskiego chór akademicki UL wyjeżdża w tym miesiącu z koncertami do RFN. Przed wyjazdem, 28 bm., wystąpi z przeglądem swojego repertuaru w Muzeum Historii Miasta Łodzi. 8 kwietnia br. w sali Liceum Muzycznego w Łodzi przy ul. Sosnowej odbył się uroczysty koncert w wykonaniu uczniów absolwentów PSM I stopnia — z okazji 40-lecia tej wielce zasłużonej placówki oświatowej dla propagowania kultury muzycznej. 5 Jeszcze w tym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukaże się książka Jarosława Dietla „Szpital na peryferiach”. Tak pamiętamy, dużą popularnością cieszył się w naszym kraju serial pod tym samym tytułem, zrealizowany według scenariusza autora tej bardzo poczytnej w Częstochowiej książki. 4 Duet fortepianowy „The 20. Fingers”, który tworzy dwójka młodych pianistów: Joanna Hajn i Cezary Saneczkiewicz, asystenci Akademii Muzycznej w Łodzi — pomimo krótkiego okresu działalności (powstał w 1989 r.) odniósł już pierwsze sukcesy artystyczne. Nagrał kilka utworów dla Polskiego Radia, a także wystąpił z wieloma koncertami poza Łodzią, w większych miastach Polski. W Białymostku u inicjatywy Stanisława Staniekiewicza, ukaże się pierwsza w Polsce czasopiśmie poświęcone historii i kulturze Cyganów. Pismo pt. „Rrom P-O Drom” („Cygan na rozstaju dróg”) wydawane będzie przypuszczalnie jako dwutygodnik w dwóch językach polskim i rom. Redakcja stawia sobie za główny cel przyczynianie się do integracji społecznej cygańskiej w Polsce — szacowanej na ok. 5-20 tys. osób. 4 Na aukcji karykatur w Galerii „M” w Warszawie, karykatura Wojciecha Jaruzelskiego autorstwa Macieja Dworaka i Tadeusza Mazowieckiego — rysowana przez Eryka Lipińskiego, osiągnęły w trakcie licytacji cenę miliona złotych każda. 4 Wdarzeniem artystycznym dużej rangi jest otwarcie 10 bm. w salach Zamku Królewskiego w Warszawie wystawa „Opus sacrum” — na której prezentowana jest część wspaniałych zbiorów, zgromadzonych przez Barbarę Płasecką-Johnson. 4 Dużym sukcesem artystycznym zespołu łódzkiego Teatru Wielkiego stało się prapremiery przedstawienie, 4 bm. w Ankarze, opery Stanisława Moniuszki „Straszny dwór”. Galowe przedstawienie tej opery w wykonaniu artystów TW, przyjęte zostało przez turecką publiczność wielką owacją.

Opracował: JAK

Jej nauka o takcie rodziców jest bez granic.

Z głową na młoc udach przepowiadała mi wielką przyszłość. Z moją prewencją i znakomitą (wszystko we mnie jest dla niej znakomite) angielskim — mrurowaną. Role amantów będę grał. Kiedyś słyszała mnie rozmawiającego z jakimś Anglikiem. Ta moja arystokratyczna wymowa. — Och, Ad, ty jako Hamlet... — Przymknęła oczy. — To be or not to be... widownia oszalała z wrażenia.

— Nie dosłyszałam. Co mówiłaś?
Cheryl — o moim angielskim mowa — jest tego samego zdania. Jeszcze nie spotkała obok krajowca, który by po krótkim pobycie na Wyspie mówił tak wytwornym językiem jak ja; jest za mnie dumna. Powinienem tylko wytrącić pretensjonalny oksfordzki nalot, a nikt nie pozna we mnie obcego.

— To be...
— Zostaw to! Ile ty właściwie masz lat?
— Mówiłam ci, Ad.
— Pytam ile?
— Ile mam lat? — powtórzyła niechętnie.
Może wyprowadzić z równowagi świętego. Lata — ich wieczny problem: albo mają ich za dużo, albo za mało. — Tak, ile?
— Osiemnaście.
— Skończono?
— My tylko tak młodo wyglądamy. To rodzinne. Mama też nie wygląda na swoje lata. Zdejmałem ją z kolan.

— Skończono osiemnaście?
Niezim dziewczynka schwytała na zakazanej zabawie oczami zbiegła ze mnie na sufit pomalowany przez poprzednik jeszcze użytkowników mieszkania senną, już przybladła ochrą. — Czy to w tej chwili ważne? — odparła pytaniem.

Diabło przekretnęła stworzonko, ta mała.
— Ważne! Chcę wiedzieć, kiedy je skończyłaś?
— Skończyła.
— Kiedy?
— Za... — nie zdejmowała oczu z sufitu — rok.

Podjeżdżając smarkate rozmawianie, że też nie zwróciłem na to uwagi. — Ile wtedy będziesz miała? Żądam prawdy!
— Ad, Kocham cię. — Objęła mnie za szyję.
— Czy to ważne?
— Ile?
— Siedemnaście.

— Czyli, że w tej chwili masz... — Spochem się jak mysz w potrzasku. — Szał by was jasny trafił! Te twoją matkę... — Brakowało mi słów. — Te twoją matkę winno się oddać w ręce prokuratora!

Przyzywa się faceta do gabinetu na rozmówkę przy kasie. O wszystkim i o niczym. Najczęściej o sprawach rodziny, o krewnych i znajomych w kraju zazdroszczących szczęśliwcowi stanowiska za granicą. To prawda, pensje tutaj nie są wysokie, ale na dobry samochód można odłożyć. Po dwóch natomiast czteroletnich kadencjach wraca się do domu milionerem. Marzenie: odpakać za granicą dwie kadencje. A przecież nie jest to niemożliwe...

Perspektywa odesłania do kraju szybko łamie; ludzie są nerwowo tak nieodporni.

Sprzedajni imperializmowi pismacy kłamią. Oddany socjalizmowi malują jako potworów z debilnymi, chytrymi oczkami. Prawda jest inna. Człowiek jest wredny, łapczywy na pieniądze. Czujności nigdy nie jest za dużo. Stugusi międzynarodowego kapitalizmu tylko czyhają, aby tę ludzką słabość wykorzystać. Nieokrepiły jeszcze ustrój postępu i sprawiedliwości społecznej musi się bronić. Każdy pracownik zagranicznych filii Polcaru ambasadorem ludowej ojczyzny. Zasadę tę dyrektor Osterwa egzekwuje z żelazną konsekwencją. Jego hasło w autokratycznym kierowaniu podległymi mu przedsiębiorstwami pokrywa się z naczelnym hasłem partii: „Centralizm demokratyczny fundamentem społeczeństwa wysoko rozwiniętego socjalizmu”. Zapewnia mu ono dyktatorską, przez nikogo z zewnątrz nie kontrolowaną władzę nad oddanymi w jego ręce majątkiem narodowym i pracownikami.

W sprawach służbowych mój stary jest zasadniczy. Mówienie tak o własnym ojcu traci złośliwością, ale taki on jest. W sprawach dużej wagi — bydlę lubi popisywać się nonszalancją — chętnie posługuje się przymiotnikami „lapidarny” Lapidarny — słowo plewa, normalnie puszcza się je mimo uszu, kiedy jednak pada z wysokości jego wpływu w sytuacjach podbramkowych dla dalszego bytu któregoś z jego podwładnych, nabiera ono całkowicie innego znaczenia. To samo można powiedzieć o tym słówku odniesionym do pryncypów ustrojowych, jak na przykład do centralizmu demokratycznego.

Jedną z jego lapidarnych wykładni tej zasady:

Fabryka mebli „Sierp” potrzebuje gwoździ wyrabianych przez fabrykę drutu „Młot”. Obie fabryki mieszczą się na tej samej ulicy, przez tak zwaną miedzę. Są sąsiadkami. Ale dyrektor „Sierpa” nie może zwrócić się do dyrektora „Młota”. Zamówienie musi złożyć na piśmie do Zjednoczenia, któremu organizacyjnie podlega. Zjednoczenie przekazuje je na piśmie o szczebel wyżej — do ministerstwa branżowego, ministerstwo do Głównego Urzędu Planowania (GUP). GUP wciągnie je do planu zbiorczego na dany rok i jeżeli suma zapotrzebowania zbliżuje się z krajową produkcją gwoździ — w danym asortymencie, oczywiście! — o przydzieleniu ich „Sierpowi” zawiadomi jego ministerstwo branżowe, ministerstwo — Zjednoczenie, i dalej tą drabiną w dół aż do „Sierpa”. Nic w poziomie: robotnik bezpośrednio z robotnikiem, fabryka z fabryką, wszystko w demokrację scentralizowanym pionie — poprzez urząd i tak ze wszystkim. Skończyło się kapitalistyczne bezholowie w gospodarce narodowej.

Zagrożeniem dla pionu jest poziom: człowiek bezpośrednio z człowiekiem. Wymiana myśli między ludźmi była zawsze zarzewiem buntu. Zaraza rozszerza się poprzez dotyk. Poprzez dotyk przechodzi z jednego człowieka na drugiego, może w ten sposób ogarnąć całe społeczeństwo, zwalczyć konstrukcję, na której system władzy się opiera. Poziom śmiertelnym wrogiem pionu. Jednostka myśląca samodzielnie, myśl swoją przekazująca bezpośrednio innym — bakteria wirusa, na którego nie ma szczepionki. Każde samodzielne myślenie jest groźne,

Wielkie myślenie naprawcze dla zdegenerowanych komórek systemu. Jednostką taką należy wyłuskać ze społeczności i bez względu na przyszłość jej intencje zniszczyć jak tyfusową gnidę. Mój stary zna się na tej robocie, widywałem go przy niej wiele razy, ale czemu odmówić sobie nowego przedstawienia.

W tryby maszyny Państwowego Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego Polcar z siedzibą w Londynie wdario się ciało wroga jego przyczynemu działaniu. Wyobrażam sobie przebieg narady w gabinecie dyrektora Zajaca, mającej na celu wykrycie tego ciała. Wciążam czapkę-niewidkę, siadam w kąci i, niewidzialny, słucham.

Z rękami na plecach ojciec krąży wzburzony po dywanie. Co sobie myśli, wiem.

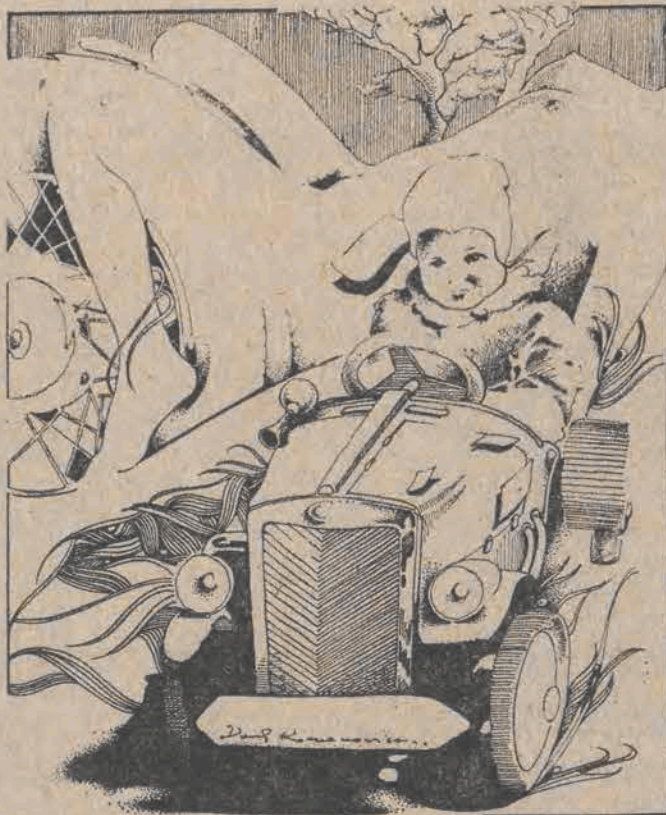
Któryś z tutejszych pracowników pogwałcił zasadę pionu, on chciałby dostać tego łotra w swoje ręce.

Przepięte oczy kryje za ciemnymi okularami. — Ma pan już coś? — pyta retorycznie Brode, jednoosobową komórkę do spraw kadrowych i bezpieczeństwa filii.

Pyta Ikara bez skrzydeł. Wiesz zdolną do wślizgnięcia się pod każdy kombinezon. Pod względem wierności ludowej ojczyźnie sprawdzoną na licznych placówkach za granicą.

Ojciec gardził nim. Dyrektor generalny wielkiej centrali handlu zagranicznego kompetencjami równy ministrom, będący za pan brat z

(2)



Rys. Dariusz Romanowicz

premierem wątpli jednak, czy jego władza rozciąga się także na tę wtykę służby bezpieczeństwa.

Zachód jest dżunglą. Młode pokolenia Polaków wychowane zostały na anglosaskich filmach, których akcja rozgrywa się w złotych kąpiących palcach. Feeria światła wielkich miast, drapacze chmur, piękne kobiety, Niagara pieniędzy. Produkcji filmów nie sprwadzało się. Ten gatunek filmów zożydził pracę; była to jedynie dobrze odstawiona robota u nas. Patos pracy synonimem głupoty. Reszty dokonały niezgodność hasła z praktyką, rezultatem zaś degrengolada, z jakiej naród nie wygrzebie się za wieki.

Stalin wiedział, co robi. Wszystkie dyktatury operowały na represji, żadna jednak nie rozciągnęła strachu na cały, absolutnie cały naród, na jego maluczkich i wielkich — z jednakowo konsekwentną brutalnością. Stalin nie szastał słowami. Człowiek słowo wobec otchłani milczenia? Stalin zbudował system terroru, potem już tylko pociągał za sznurki swoich manekinów. Totalna władza, totalne postuszeństwo. Ludzkość dręczona jest wieczystym nienasyceciem. Odruchy warunkowe Pawłowa: dany głodnemu chleb wywołuje w nim żądze kielbasy. I odwrotnie: zawieszanie nad człowiekiem widmo śmierci, a odda wszystko za obietnicę życia, choćby niewolniczego. Za samą obietnicę tylko. Na tej prostej zasadzie oparł Stalin swój system. Osterwa stawał zawsze na siłę. Nad wniosła hasła zawsze wyżej stawał. Ale wiedział też, że stosowanie zastraszenia zdaje egzamin na narodach wychowanych w respekcie dla władzy; warcholów z dżungli pradziada, rozkojarzonych marzycieli, jakimi są Polacy, może tylko chwilowo porazić, aby po opamiętaniu się wywołać w nich bunt, bez względu na jego cenę. Błąd konstrukcyjny. Pan Bóg stworzył ten naród chyba we śnie i zapomniał o uczuciu go na potrzeby dostosowania się do realiów życia, nie więc dziwno, że metody Stalina nigdy nie odniosły nad Wisłą pełnego sukcesu, a ich efemerydalna polowiczność osłabiła nie rozwinięty w nim do końca instynkt samozachowawczy. Na beczce prochu znowu zaczęto bawić się zapalkami. Jeszcze trochę niezdecydowania, a lawina runie nie oszczędzając żadnej świętości.

Myśl o katastrofie przyprawiała go o ból w pierś. Zbudował imponujący gmach. Imperium wręcz, rządzone jedną ręką. Nie dla siebie budował. Był hojny, aż nadto hojny, w przypadku jednak nieszczęścia wszystko zwał się na niego. On firmował koncepcję swoim nazwiskiem. On zapalił do niej ministra, ten polecił z nią piętrowyżej, tam zaś tylko czekano na takie fajerwerki. Dla sceptyków na tym szczeblu dobrany odpowiednio zespół naukowców opracował podkładkę uzasadniającą opłacalność przedsięwzięcia i jego polityczną celowość, reszta poszła jak z platka. Rachunkiem końcowym się nie przejmowano. Sprzedają na Zachodzie swoje samochody Czesi, Rosjanie, nie

jesteśmy gorsi. I stało się. Nasze nieśmiertelne „jakoś to będzie” zatrumfowało raz jeszcze.

Za jego osobistym przyłożeniem ręki za-trumfowało. Osterwa pamiętał entuzjastyczną atmosferę panującą wtedy w Polcarze. Dynamizna ekspansja. Nowa filia za granicą. Włoska trasa służbowych wyjazdów wytarła się, wschód i południe Europy wielkich profitów nigdy nie przynosiły, wszystkie te trasy razem wzięte nie równały się atrakcyjnością Londynu. A jaką korzyść niewymierną, obcywano sobie w gabinetowych dyskusjach, wypięsiał nasz przemysł motoryzacyjny z bezpośrednich kontaktów z Anglikami.

Odezwały się także głosy sprzeciwu. Jak zwykle na tyłach się odezwały. Niecałe pół roku temu najdonioślejszy z nich oddelegowany został właśnie do Londynu.

Rafał Broda dyskretnie przeszukał biurka personelu. Zatrudnionych Anglików nie tykał: bariera językowa była dla nich nie do pokonania, a krecie kopanie przeciwko pracodawcy nie w ich stylu. Zmudna praca nie przyniosła rezultatu. Ten donos to robota kogoś doskonale zorientowanego w naszych stosunkach, kierującego się jakimiś osobistymi motywami: Angli-cy i szeregowi urzędnicy filii odpadają. Pozostają więc...

Tej myśli nie wypowiedział. Nie miał niezbi- tego dowodu. W każdej innej głowie mogła zakrawać na absurd, na niebezpieczne szalen-

tyczna wobec swoich, przede wszystkim tych ze starszego pokolenia, żyjących wciąż na dawnych imperialnych wyżynach. I sama namawia mnie do odplacania się im pięknym za nadobne. Śmieje się. Czy to aż tak bolesne, żeby zaprzętać sobie tym głowę?

Wielka dojrzałość cechuje tę dziewczynę.

Tym różni się od innych: jest jedyna, z którą po stosunku odczuwam potrzebę rozmowy. Obojętnie o czym. Przetrawiać doznana rozkosz — też, z niej nie wysiada się jak z tramwaju na przystanku końcowym. W niej się trwa bez końca, w zmienionej tylko formie. Dwie odrębne istoty pozostają splecione ze sobą duchem. Stają się słowniako liryczny, wiem, ale z żadną nie było mi tak dobrze, żadna nie wyzwalała we mnie tyle czułości, tyle podziwu, i tyle uznania dla swojej inteligencji. Już dawno chwyciłem się na tym, że nie mówię wszystkim-go tylko z obawy przed jej zobojętnieniem na moje słowa. Kobieta jest kobietą. Tyle się o nich naczytałem, nasłuchałem, a kiedy patrzy Cheryl w oczy, nie o niej nie wiem. Niepodobne do mnie: pierwszy raz w życiu stałem się zazdrosny o kobietę.

Ona jest bardziej spontaniczna. Miłość — wypowiada to z ogniem przeczącym wszelkim bajdom o chłodzie Angielki — czy jest coś piękniejszego w życiu? Nie przysgodnie zawieruszona noc, żadne chwilowe oszołomienie, te rzeczy w dwudziestym wieku są tylko potwierdzeniem równości płci. Odbieram to jak smagnięcie batem. Równość płci — filozofia kobiet wyzwolonych. Jeszcze mi daleko do tego etapu, ale czyż to nie utrwiczone od naszych zakłęć? I nie wypuszczając leje rozpedzonego pojazdu ze swoich rąk, nie zostawia mnie już na pożarcie myślom. Czy wierzę w miłość? Czy jestem gotowy zaakceptować bez reszty jej formułę miłości? Czy jest mi dobrze z taką, jaka jest? — tysiące pytań padających ze skrzywionych cierpieniem ust, z każdym bodźcem gorętszych. Cudowna Cheryl. Kobieta nie ma być obiektem, czyli przedmiotem miłości. Ma dawać miłość na równi z mężczyzną. Żadnej dyskryminacji!

Napisała na ten temat swoją pracę dyplomową. Miała stworzyć jej najtoporniejsze drzw. na Fleet Street, „Jaskiniowcy w melonkach”. O pozycji kobiet w Wielkiej Brytanii. Ciekawość. Gdy się czyta w ciszy czterech ścian, z dala od zgiełku ulicy, nie daje się wiary, że dotyczy dramatów i tragedii mających miejsce w ko-lebce feminizmu. Nie pisała z głowy. Tutejszą zurnalistyka cenę wyobraźnię, lecz pierwszeństwo daje udokumentowanym faktom. Pracę podpierały wywiady przeprowadzone z kobietami z wszystkich warstw społecznych: pracującymi, bezrobotnymi, z pogardzanymi przez nią, paniami „przy mężu”, udało się jej nawet nagrać wypowiedź słynnej z ekstrawagancji i kobiecej przekory lady Caroddagan. Przeczyta-łem, pochwaliłem, bo rzęsą aż kipi dynamitem, i prozono o komentarz, zauważyłem, że wcale się nie dziwię, iż została przez redakcję odrzu- cona. Dlaczego? Bo brak w niej najważniejszego. Temat dyskryminacji kobiet w pięknym świecie równości płci białego człowieka winna zacząć od wywiadu z pracującymi Polkami. Tymi w Polsce.

Spojrzała na mnie jak na Marsjanina. Szybko się opamiętała. Nie szkodził, powiedziała. Obojętnie skąd pochodzą i tak nie przestanie mnie kochać.

Podczas naszego weekendu w Paryżu nie wy-kluczałem ożenku z nią. Angielskim władam, jakieś zajęcie, z pomocą jej wpływowego ojca znajdzie się, może nawet spróbowałbym sił w jej redakcji.

Wykluczyłem natomiast wszelki kontakt ze smarkatą „Peggy”.

Wykreśliłem ją z pamięci. Definitywnie!

Myśli zakochanych są zmienne jak wiatr.

Dzwoniłem o pierwszy, dzwoniłem o drugi, o pół do trzeciej przerwałem kolejne nakreca- nie numeru. Balwan za mnie. Powinienem okazać jej więcej zaufania.

Po lampce u naczelnego na cześć udanego startu zaprosiła kolegów na drinka. Fajno było, w dwóch lokalach ucztowali. Stanley, boss jej działu, jest zachwycony artykułem. Dwa egzemplarze przyniosła.

Podzielałem jej radość.

— Jak ci się podobam na tym zdjęciu?

Trzy pełne rolki wytrzaszaliśmy, musiela wy- dać masę pieniędzy. Każdą skończoną wrzuca- łem do jej torby, zupełnie o nich zapomnia- łem. Sięgnąłem przez nią po portfel.

Zerwała się na kolana.

— Zostaw mi też miejsce na udział. Nigdy nie będę twoją utrzymanką!

Fifty-fifty — jej zasada. Nigdy nie pozwoli mi regulować rachunku samemu. Ona też za- rabia. Oczywiście nie tyle, co sekretarz przed- stawicielstwa wielkiego producenta samocho- dów. Nie ma wypadku, aby nie sięgnęła po to- rebkę. Imponuje mi tym, Polki pod tym wzglę- dem są daleko do tyłu. Konsekwentna rów- ność nie tylko w łóżku, nie przywykłem jeszcze do tego. Ale taka ona jest. Sporo wysiłku mnie kosztuje, abym w końcu zgodził się na jej choćby symboliczny udział. Skutek wychowa- nia. Jesteśmy podobno rozmiłowani w kołnierz. W najbezsmyślniejszych zwierzętach. Piękne i nam służące opiewamy w balladach, zużyte po- syłamy do rzeźni na karmę dla psów.

— A na tym?

Pstryknąłem ją na Placu Zgody. Stolica Francji, w pełni upałów, nie jest taka ludna, ma się więcej swobody. Paryżanie rozkochani są w górach i morzu, latem oddają nagrane słoncec chodniki obcy. Głównie Niemcom i Japończykom. Jest ich wokół pełno. Idących ze swoimi kobietami, łakomie pożerających ją wzrokiem. Koszulowa bluzka zawieszona w pa- sie na węzeł, w rozpiętej spódnicy uda do nie- ba, w rękę biała irchowa worko-torba, wzros- tem prawie równa mijającym ją mężczyznom. Moja Cheryl!

CDN.



WOJCIECH MALAJKAT: — Jestem pewny tego co robię!

Najważniejszy jest teatr!!!

WOJCIECH MALAJKAT — uważany za jednego z najlepszych aktorów młodego pokolenia, studiował w PWSFTiIT w Łodzi, obecnie aktor Teatru Studio w Warszawie. Filmy: „Stan strachu”, „O rany, nic się nie stało”, „Zad wielkiego wieloryba”. TV: „Świat umykający”, „Smak miodu”, „Zeglarz”. Rozchwytywany przez reżyserów, dziennikarzy i kobiety. Umawiając się z nami na spotkanie zaznaczył, że rozmowa ma być szalona. Wobec tego:

- Czy jesteś szalony?
- Jestem strasznie szalony.
- Na czym polega szaleństwo?
- To może ja nie jestem szalony.
- Jesteś. Przecież powiedziałeś, że jesteś.
- No może. Ja myślę, że jestem szalony dlatego, że podjąłem się rozmowy z wami.

- Nie lubisz udzielać wywiadów?
- Nienawidzę.
- A udzielasz.
- Był okres, że nie miałem chwili wytchnienia, potem się zbuntowałem i nie udzielałem. I teraz znowu dajem się nabrać.
- Czy szaleństwo pomaga w twoim zawodzie?
- Tak. Myślę, że jest ono częścią tego zawodu. Trzeba z tego tylko umiejętnie czerpać korzyści. A czy mi się to udaje? Zapytajcie o to publiczność.
- Daleś anons do gazety: młody aktor poszukuje mieszkania. Czy trudności z jego wynajęciem spowodowane były tym, że jesteś aktorem?
- To, że jestem aktorem nie było decydującym argumentem. A z tym anonsem to nie

było tak. Ja go nie dawałem. W „Przeglądzie Tygodniowym” i „Teleexpressie” podano taką informację, żeby mi po prostu pomóc. Ale nie pomogli.

- Zagrałeś już Don Juana?
- Nie.
- A chciałbyś?
- W szkole grałem Don Juana.
- Jak zagrałeś?
- Cha, cha — źle. Ponieważ wtedy nie jeszcze nie wiedziałem o kobietach.
- A teraz?
- No — jeszcze chwilę i będę mógł go zagrać.
- Czy też grywasz taką rolę w życiu prywatnym?

— Jestem ostatnią „ofiara”, która jak się zabierze do rzeczy, to okazuje się właśnie, że najbliższy kolega już od dawna jest z tą dziewczyną. Różne gafy popełniam. Np. pytam się kolegi: Co tam słycać u Kaśki? A okazuje się, że on od 3 lat nie ma z nią już nic wspólnego. W ogóle się w tym temacie nie orientuję...

— Niektórzy porównują cię do Zbyszka Cybulskiego.

— Dzięki Bogu nie do Zbyszka Zamachowskiego. Bo jakby to padło dzisiaj z waszych ust...

— Chciałbyś zdobyć taką popularność jak Zbyszek Cybulski?

— Chciałbym, żeby ludzie cieszyli się, gdy mnie widzą na scenie lub na ekranie. Żeby mówili: Ojej! Znowu Malajkat! Hura!

— Czy błyskotliwa kariera, rozliczne sukcesy bardzo cię zmieniły?

— Nie chciałem, żeby sukces zmienił mnie w kabotyna, kretyna, pewnego siebie ciemięniaka.

— A sukces podobno demoralizuje?

— Podobno tak, ale to w... Ameryce. Zresztą, to wy tak powiedzieliście. Ja nie na ten temat nie wiem.

— Co chciałbyś jeszcze osiągnąć?

— Strasznie chciałbym jeszcze kiedyś w życiu podróżować. Tzn. mieć tyle pieniędzy, żeby móc to robić.

— Ale wtedy nie mógłbyś być aktorem.

— Dlaczego? Przyjeżdżałbym tu od czasu do czasu na rolę.

— To znaczy — dla przyjemności?

— Chciałbym wszystko zrobić dla przyjemności. Tak już gdzieś jest na świecie. Tylko my sobie to tak jeszcze mgliście wyobrażamy. Podobno oni tam strasznie ciężko pracują. A ja tak bardzo chciałbym się urodzić w jakiejś królewskiej rodzinie i nie mieć tych wszystkich kłopotów. Tak sobie nieraz marzę...

— Nie marzysz czasami o Hollywoodzie?

— Słuchajcie, ten Hollywood to podobno też jest strasznie zdemoralizowane miejsce. Nie, nie marzę o nim.

— Co jest dla ciebie najważniejsze?

— Najważniejszy jest teatr. I mam nadzieję, że tak już będzie zawsze. Potem jest jeszcze kino, radio.

— A telewizja? Ostatnio pojawiłeś się w kilku programach dla dzieci.

— Dla dorosłych i dla dzieci... U nas nikt nie wie, jak należy grać dla dzieci. Wciąż najlepiej robi to Kaczor Donald. Jest zły, chodzi po tym ekranie i najchętniej by komuś przyłożył. I okazuje się, że dzieci go uwielbiają. U nas autorzy bajek wyobrażają sobie, że mają do czynienia z debilami. A przecież dzieci swój rozum mają. W programach dla dzieci, w których gram — usiłuję pokazać, udowodnić, że trzeba z nimi po prostu normalnie rozmawiać.

— Czy łatwo cię rozbawić?

— Tak. Szczególnie na scenie, przy dużej koncentracji. To jest tak jak w szkole, kiedy pani z linką chodzi i gdy ktoś zacznie chichotać to strzela po łapach — chlast! Wtedy trudno się powstrzymać od histerycznego śmiechu. Starasz się myśleć o czymś innym, nie śmieszym, np o słońcach, a kiedy o nich pomyślisz — wybuchasz śmiechem. Podobnie jest w teatrze. Nie wolno się śmiać — Boże broń — ja patrzę a tam w kulisie ktoś drapie się po nosie i ziewa. To właściwie nie jest śmieszne, ale gdy się zobaczy w momencie największego skupienia nie można się powstrzymać. A już jak się ktoś przewróci na scenie, albo zapomni tekstu — to tarzamy się ze śmiechu. Tak, zdecydowanie łatwiej mnie rozśmieszyć niż na przykład wzruszyć.

— Czy dobrze wspominasz Łódź i czasy studiów?

— Okres studiów — fenomenalnie. Teraz tak się składa, że rzadko do Łodzi przyjeżdżam. Mam tam co prawda sporo przyjaciół, ale odwiedzam to miasto bez specjalnego sentymentu.

— Jak siebie widzisz za 30 lat?

— To pewnie będę już...

— Dziadkiem?

— Tak? Nie. Myślę, że będę po 7 Czernobylu. Będzie miał 8 rak, 6 nóg, 2 głowy.

— Największy sukces?

— Rola Hamleta w Teatrze Studio w Warszawie.

— Porażki?

— Nie umiem do tej pory dobrze jeździć na nartach.

— Za pół godziny rozpoczynasz spektakl. Masz tremę, przecież to premiera?

— Nie. Ponieważ jestem pewny tego, co robię.

Rozmawiała:
ANNA GRONCZEWSKA
MARZENA MROZ

Pochodził z Polski i uważał się za Polaka. Jego dzieło uznano za szczyt techniki inżynierskiej połowy XIX wieku. Został niezasłużenie zapomniany.

Bolesław Statkowski — budowniczy wojennej drogi gruzińskiej

RYSZARD BADOWSKI

W połowie ubiegłego stulecia na dwu przeciwnych krańcach globu ziemskiego powstały arterie komunikacyjne, uznane za szczyt techniki owych czasów. Na Kaukazie Bolesław Statkowski przebiegał nad przepaściami Wojenną Drogę Gruzijną. W Andach Ernest Malinowski wznosił ponad chmurami najwyższą w świecie trasę kolejową.

Droga Bolesława Statkowskiego miała 208 km długości i prowadziła z Władzkaukazu (dzisiejsza nazwa: Ordżonikidze) do Tyflisu (Tbilisi). Kolej Ernesta Malinowskiego ciągnęła się na szlaku 218 km z Callao przez Limę do wybrzeża Atlantyku.

Ernest Malinowski figuruje we wszystkich polskich encyklopediach. Jego nazwisko zdobi „Słownik polskich pionierów techniki”, wydany pod redakcją znanego historyka inżynierii dokonań Polaków na wszystkich kontynentach, profesora Bolesława Orłowskiego. Bolesław Statkowski miał mniej szczęścia w ojczyźnie. Pamiętali o nim jedynie Grażyna i Andrzej Miłoszowie w monografii „Kaukaz”. Pisząc o opiewanym przez poetów szlaku łączącym Kaukaz z Zakaukaziem wspomniano w kilku zdaniach o Polaku, który go tworzył. Serpentyne drogi wykuli w niemal pionowej ścianie saperzy, zawieszani na linach nad przepaściami. W 1861 roku droga była gotowa. Ernest Malinowski dopiero w 1866—68 roku zaprojektował linię kolejową przez Andy. Nie wiadomo czy korzystał z doświadczeń Bolesława Statkowskiego Droga obiegu informacji była wówczas dłuższa niż dzisiaj Bolesław Statkowski w czasie prac na Wielkim Kaukazie pisał wszakże dzieła naukowe, poświęcone lawinom skalnym i zawałom śnie-

gowym. Służą one wielu budowniczym dróg wysokogórskich do dziś.

W historii i legendach.

Na Wojennej Drodze Gruzijną zapoczątkowano stały ruch w końcu XVIII wieku. Gruzja zaczęła wówczas ciążyć ku Rosji, szukając w niej pomocy i oparcia przeciwko odwiecznym muzułmańskim wrogom — Persji i Turcji. Pierwsza wzmianka o szlaku przez Wielki Kaukaz pochodzi z początków naszej ery. Zapoczątkowali go bowiem tutaj już legioni rzymskie. Później wspominał o trakcie kaukaskim kronikarz arabski. Wielokrotnie opisują go historycy armeński i gruziński.

W XI i XII wieku, gdy rozwinął się handel między Gruziami i ludami zamieszkującymi Przedkaukazie, trakt ten, bardzo trudny do przebycia, nabrał szczególnego znaczenia. Po najeździe Mongołów w XIII wieku regularna komunikacja przez masyw Wielkiego Kaukazu zanikła i odrodziła się dopiero w XVIII wieku. Tędy w 1801 roku armia rosyjska wkroczyła do Gruzji.

Piękno dzikiego szlaku, prowadzącego przez Przełęcz Krzyżową (2400 metrów nad poziomem morza) wielokrotnie opiewali poeci. Puszkina napisał: „Kaukaz podo mną, a ja na wysokościach stoję nad śniegami na przepaści skraj”. Lermontow patrzył stąd na niebotyczne góry oczywa Demona leżącego nad Kaukazem. Wstępując na Wojenną Drogę Gruzijną tuż za Diabelskim Mostem, znajdującym się poza rogatkami Władzkaukazu, ujrzał mury dawnej twierdzy i przypomniał związaną z nią legendę:

„W głębokim wąwozie Darjalu, Gdzie pieniać się Terek gna z gór.

Wznosiła się wieża na skalach Czerniejąc wysoko wśród chmur.

Caryca Tamara mieszkała w tej wieży spowitej we mgłach.

Jak anioł niebiański wspaniała,

Jak demon podstępna i zła”.

Według Lermontowa tutaj właśnie piękna caryca wabiła żołnierzy i kupców, aby w jej ramionach znaleźli i miłość, i śmierć. Historyczna gruzińska Tamara panowała wszakże w latach 1184—1213, a znawcy przedmiotu twierdzą, że nigdy w Darjalu nie mieszkała. Baszta pochodzi z innych czasów.

Lehici na Przełęczy Krzyżowej.

Jednym z pierwszych Polaków, który przejechał konno w pobliżu tej murów, był jezuita ks. Tadeusz Krusiński, który w początkach XVIII wieku odwiedził Gruzję. Dyplomata, orientalista, podróżnik i historyk, wybitny znawca Wschodu. Jego dzieło „Więści o ostatniej rewolucji perskiej” zawiera cenne dane o Gruzji. Praca Krusińskiego ukazała się w 1727 roku w Rzymie, w języku łacińskim. W 1729 roku wyszła w Paryżu po francusku, w tym samym roku przetłumaczono ją na turecki, w rok później na perski. Po polsku wydrukowana została w lipcu 1731 roku. Dzieła Krusińskiego miały również przekłady na język niemiecki, angielski i holenderski.

Po nim tą samą trasą dotarli do Gruzji znany podróżnik i pisarz Jan Potocki (ten od „Rekopisu znalezionego w Sa-

ragossie”). Pochylił w 1805 roku czoła przed majestatem i niepowtarzalną pięknnością kaukaskich gór. Opisując najwyższy szczyt Kaukazu Elbrus wymienił go pod gruzińską nazwą Mkinwari.

pocztowych czekały wymienne konie. Nocleg przypadł w połowie drogi. Dziś można dojechać samochodem z Ordżonikidze do Tbilisi w ciągu 4—5 godzin.

Szacunek współczesnych.

Po zbudowaniu w oparciu o dawny historyczny szlak nowej arterii Bolesław Statkowski uczestniczył w budowie kolei Zakaukaskiej. W latach 1899—1898 był naczelnikiem kaukaskiego okręgu drogowego. Oprócz pracy o przyczynach lawin w górach i możliwości zabezpieczenia przed nimi drog napisał studium naukowe, zatytułowane „Zadanie klimatologii Kaukazu”. Opublikowane w 1878 roku w Petersburgu, wydane zostało w Paryżu. Pisał też artykuły i rozprawy o powodziach, rekultywacji lasów górskich, zamieszkał szkie na tematy inżynierskie w pismach technicznych.

Jego życiorys zamieściła wydana w Petersburgu w 1901 roku rosyjska encyklopedia Brockhousa i Efrona Po gruzińskiej stronie Kaukazu, w pobliżu Mechety, na skale zwróconej do rzeki Aragwi przykuta jest tablica na cześć budowniczego Wojennej Drogi Gruzijną inżyniera Bolesława Statkowskiego. W 1959 roku, w czasie obchodów pierwszych w historii Dni Kultury Polskiej w Gruzji, zawieźli mnie w to miejsce, z drogi prawie niewidoczne, moi gruzińscy przyjaciele. W Gruzji pamięta się bowiem, że Bolesław Statkowski pochodził z Polski i uważał się za Polaka.

A w Polsce?

Miejmy nadzieję, że nota biograficzna o nim znajdzie się w Polskim Słowniku Biograficznym, który uwzględnił postać Ernesta Malinowskiego. Obaj tworzyli wielkie dzieła inżynierskie poza krajem. Obaj znaleźli się daleko od Polski po ukończeniu w kraju szkół średnich. Swą wiedzę inżynierską zdobywali w obcych stolicach (Ernest Malinowski w Paryżu). Obaj wszakże byli polskimi pionierami techniki.

Ci z nich, którzy działali na wschodzie, uważani są często za Rosjan. Należy sprostować ten błąd.





Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia - podaj
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporter-
skiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników,
którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcyj-
nuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czy-
telnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które
utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:
19 kwietnia — RYSZARD BINKOWSKI — go-
dzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

Z PRASOWEGO RYNKU

Pojawiły się nowe pisma w Łodzi. Najpierw ukazał się pierw-
szy numer „Tygodnika Łódzkiego” — pismo porozumień obywa-
telskich. Na ładnym papierze w formie zbroszowanego, stron
16. Cena: 1600 + 200 złotych. Redaktor naczelny Agnieszka Woj-
ciechowska.

Następnie ukazał się pierwszy numer „Solidarności Ziemi
Łódzkiej” — pisma, które ukazywało się już w 1980 roku i po-
wraca po 9 latach przerwy. Pismo to wychodzi w formie
„Expressu Ilustrowanego”, kosztuje 500 złotych i ma 8 stron.
Redaktorem naczelnym jest Stefan Myszkiwicz-Niesiolowski.

Na łamach „Expressu Ilustrowanego” poza forum myśli po-
litycznej „Poza Parlamentem” od dwóch tygodni ukazuje się
niepełna kolumna jako „Forum Wojewódzkiego Komitetu Oby-
watelskiego dawniej WKO „Solidarność” pod tytułem „V edn
4 VI.89, 27.V.90...”.

W „Dzienniku Łódzkim” od dłuższego już czasu ukazuje się
raz w tygodniu pełna kolumna „Nie tylko przed wyborami —
Cotygodniowa Niezależna Kolumna Przedwyborcza Łódzkiego
Porozumienia Obywatelskiego”.

Jak z tego widać zrobiło się w łódzkiej prasie pluralistycz-
nie. Nowe spojrzenia, inne punkty widzenia, kontrowersje, po-
lemiki. Zjawiska te traktujemy jako pozytywne dla prasy w
Łodzi. Może to się przyczynić tylko do jej właściwego rozwoju.
Życzymy powodzenia!

WITOLD B.

FAKTY

Z inicjatywy Łódzkiego To-
warzystwa Gospodarczego zo-
stanie w naszym mieście po-
wołana Izba Przemysłowo-
Handlowa, która będzie między
innymi łącznikiem między mi-
astem a kapitałem zagranicznym.
Do współpracy zaproszono:
Łódzkie Towarzystwo Przedsię-
biorców, Stowarzyszenie Prac-
odawców oddział w Łodzi, Sto-
warzyszenie Menedżerów, Łódz-
ką Radę Dyrektorów. W Izbie
będą reprezentowane wszystkie
podmioty gospodarcze.

Zakłady Przemysłu Wełnianego
im. Andrzeja Struga są
pierwszymi, które zwróciły się
o pomoc z Funduszu Restruk-
turyzacji Przemysłu i mają
szansę ją uzyskać.
Stanisław Żalobny jest prze-
wodniczącym Społecznego Ko-

mitetu Przeciwalkoholowego,
który zgłosił akces do Łódzkiego
Porozumienia Obywatelskie-
go.

Związek Ochotniczych Straży
Pożarnych zarząd w Łodzi zrze-
sza 17 zarządów terenowych,
229 ochotniczych straży pożar-
nych w woj. łódzkim i ponad
7 tysięcy członków.

Wydziałowi Przemysłu i
Urzędowi Miasta Łodzi podlega
około 30 przedsiębiorstw, które
w ramach tego wydziału
będą wkrótce prywatyzowane.

Gotowość przejścia siedziby
Związku Socjalistycznej M-
łodzieży Polskiej — „Pałacyku”
przy Piotrkowskiej 262 dekla-
ruje Zarząd Regionalny NSZZ
„Solidarność”. ZSMP deklaruje
gotowość oddania.

JDT

JACY KANDYDACY

Nad kandydaturami do sa-
morządu lokalnego obradowa-
no niemal całą dobę bez przer-
wy. Lista nazwisk, która póź-
niej zawisła w witrynie lokalu
Łódzkiego Porozumienia Oby-
watelskiego jest — zdaniem
Jerzego Kropiwnickiego, człon-
ka osiemnastoosobowej Komisji
Promocyjnej LPO — wynikiem
kompromisu między sprzeczny-
mi interesami.

„Startowały” 232 osoby, zo-
stało 80 i gdyby z nich utwo-
rzył radę narodową, to byłaby
gwarancja, że wszystko co by
czyniła, byłoby zgodne z praw-
em — 12 kandydatów jest
prawnikami. Gospodarzo też
rada dalałaby sobie radę — 15
inżynierów i 6 ekonomistów.
Ale na przykład ze sprawami
żywienia byłoby już problemy
— tylko jeden rolnik, jak pod-
kreślano — indywidualny. M-
łodych obywateli kształciłoby
pięciu nauczycieli. Gorzej było-
by ze zdrowiem, bo tylko trzech
lekarzy. Także trzech jest rz-
emieślników. Poza tym —
dwóch aktorów (Jerzy Janczyk,
Artur Majewski) jedną śpiewa-
jącą poetką — Elżbieta Ada-
miał. Jest dwóch profesorów
wyższych uczelni, stopnie dok-
torskie ma osiem osób. Kandy-
datów na przyszłych naukow-
ców jest sześć, tyle samo, co z
wykształceniem średnim.
Wykształcenie zawodowe repre-
zentują trzy osoby.

Półowa kandydatów jest bez-
partyjnych. Zrealizowano też uch-
wałę LPO o delegowaniu pię-
dziesięciu procent kandydatów
przez dzelnice porozumienia
obywatelskie. Pozostali kandy-
dati rekrutują się z szeregów,
wśród których prym wiodą
dwie: Zjednoczenie Chrześcijań-
sko-Narodowe, Konfederacja
Polski Niepodległej — po 15
osób. Sronnictwo Pracy prze-
ferowało siedmiu kandydatów.
Polska Partia Zielonych — 2.
Ruch Narodowych Liberalistów
tylko jednego.

Srednia wieku waha się
między górnymi strefami m-
łodości a dolnymi wieku średnie-
go i wynosi 44 lata.

BAMaK

ZA 50 LAT, JAK WSZYSTKO DOBRZE PÓJDZIE

Propozycja „Westy”. Teraz
wpłacasz 10 000 złotych. Teraz
— to w 13 miesięcy po zawar-
ciu ślubu, a za 50 lat „Westa”
placi ci 25 000 000 złotych, je-
śli doczekasz z tą samą mał-
żonką „Złoty godów”. Jak
nie — tracisz pieniądze.

Tracisz je teraz, gdy wiesz,
kto ma wartość. A co za 50
lat będzie warte 25 000 000 z-
łoty? Kto to może wiedzieć?

T.D.

Dla miłośników wideo.

Dla kogo katalog?

Na początku roku spółka wydawnicza „Com-
fort” zaproponowała zainteresowanym lekturę
katalogu filmów wideo. Reklamując publika-
cję, zaznacza na okładce, że zawiera ona
opisy 2315 filmów, które nakręcono do roku
1990, co brzmi zachęcająco. Szata graficzna i
ostrość druku nie budzą zastrzeżeń. Jednak już
we wstępie autorzy przeproszają czytelników
za usterki techniczne katalogu, ponieważ za-
stosowano korektę komputerową, która prze-
puściła wiele błędów zecerki. Choć plano-
wano wycenić książkę na 30.000 zł, katalog
sprzedawany jest za 45.000 zł.

Katalog zawiera krótkie streszczenia wraz z
oceną wartości filmów. Jest to pierwsza tego
typu pozycja na polskim rynku wydawniczym.
Mimo że tytuł brzmi „The Best of Video”
(Najlepsze z filmów wideo), katalog zawiera
głównie opisy filmów rozpowszechnianych już
w Polsce w kinach i telewizji. Nie ma więc
przeciwko uzupełnianiu oferty filmów wideo,
o te filmy, które jakiś czas temu wyświetla-
no w kinach czy w telewizji, jeśli zachowane
będą proporcje i równie rzetelnie czytelnik zo-
stanie poinformowany o filmach dostępnych w
Polsce wyłącznie na kasetch. Niestety, pro-
porcje te są zachwiane ze stratą dla głównego
objektu zainteresowań potencjalnego posiada-
cza magnetowidu, czyli filmów wideo. Niewie-
le jest opisów nowości. Niekompletne są in-
formacje dotyczące popularnych serii, których
bohaterami są np. Mad Max, Conan czy stu-
denci Akademii Policyjnej. Opisano tylko dwa
filmy wyprodukowane w 1989 r. Za to dwu-
krotnie, na tej samej stronie, pojawił się
film Johna Carpentera „Rzeź” — raz przy-
mano mu dwie, drugim razem trzy gwiazdki
— według czterogwiazdkowej skali ocen. Spo-
ro uwagi poświęcono filmom starsym, nawet
przedwojennym.

Katalogowi brak świeżości. Znaleźć w nim
można informacje dotyczące tylko co kilko-
goś filmu spośród dostępnych na kasetchach w-
ideo. Nabywca książki może być rozczarowany,
ponieważ opracowano ją zbyt pochopnie. Nie
znajduje tam czego szuka, za to zdenerwuje
się czytając o „Szklanej pułapce” czy „Kosmi-
cznych jajkach”.

IWONA MARZANNA KNYPL

Czy jesteśmy krajem katolickim?

Autorytet Kościoła w naszym kraju i de-
klarowane przez przytaczającą większość Pol-
aków przywiązanie do tradycyjnych wartości
chrześcijańskich zdają się sugerować, że
tak postawione pytanie jest po prostu nietak-
tem. Wartości te — to miłość bliźniego, mi-
siodzi, współczucie dla ludzi dotkniętych
nieszczęciem, pomoc okazywana słabszym.
Tymczasem z całego kraju dochodzą niepokoj-
ące sygnały o mnożących się aktach grupo-
wego okrucieństwa, bezwzględności, a nawet
nienawiści okazywanej nosicielom wirusa HIV
i chorem na AIDS. Kawęczyn, Legionowo,
Głogów, teraz zaś podwarszawski Konstanc-
jin. Oto topografia pogardy dla osoby ludzkiej,
sprzecznej z etyką Chrystusa. Czy jesteśmy
więc krajem naprawdę katolickim?

Kof.

Rozmyślania pani woźnej.

Szkoda tej czarownicy na stos

1. Zwrot: „polowanie na czarownicę” ostatnio
się spopularyzował. Lewica wola, że się na
nie poluje, prawica oświadcza, że skądże, bo
jak można w demokracji i pluralizmie polo-
wać, a ja, której podobają się Zieloni, spró-
buję tu dziś wywieść genezę owego zwrotu.

2. A sięga on, moim zdaniem, czasów Inkwi-
zycji. Tej z dużej litery, z przymiotnikiem Świę-
ta. Bo przed Świętą była zupełnie zwykła,
zajmująca się heretykami. Alfons II Aragoń-
ski w 1192 r. wydał edykt w sprawie kacerzy,
obchodząc się z nimi łagodnie; jako wrogowie
państwa podlegali wypędzeniu; król Pedro II
poszedł dalej; wprowadził karę stosu, a papież
Grzegorz IX bullą wprowadził oficjalnie ink-
wizycję do Aragonii, Kastylii i Nawarry.

3. Dwieście lat później sąsiadujące z Hiszpanią
Włochy rozkwiły pełnią Odrodzenia mimo
własnej Inkwizycji, bo ta włoska to miała
pesta w porównaniu z hiszpańską. Tam bo-
wiem, w Hiszpanii, objawił się brat Tomasz
de Torquemada, Wielki Inkwizytor. Za jego
zycia spłonęło podczas autos da fe ponad 16
tys. osób; ponad 7 tys. spalono „in effigie”;
uwięziono i stracono 100.000, innymi ka-
rami objęto 200.000, a w tzw. Wielkim Ruchu
wypędzono poza granice milion Żydów i przy-
gotowano następny milion, Maurów, do kolej-
nego exodusu. A że ludność Hiszpanii za pa-
nowania Izabelli i Ferdynanda wyniosła og-
olem osiem milionów, Torquemada dokonał
zaiste wielkiego dzieła zniszczenia narodu.

4. Torquemada czystości wiary sprowadził do
czystości krwi. Rasy, mówiąc językiem współ-
czesnym. Zrobił to sześćset lat przed Adol-
fem Hitlerem. „Limpeza de sangre, czystość
krew, to czystość i jedność idei” — brzmiała
podstawowa wytyczna Centrali, zorganizowa-
nej przez Torquemadę w zamku Triana, w
słynącej z przepięknych ogrodów Sewilli. U-
stawa o ochronie rasy — taką również wy-
dano; chrześcijańscy rodzice i przodkowie, ba-
dani do czwartego pokolenia. Z tego miał się
wyłonić „hombre nuevo”, nowy człowiek. Czy-
sty człowiek. Oczyszczony przez ogień i cier-
pienie.

5. Torquemada rozbudował Inkwizycję w sy-
stem, kontrolując każdą działalność człowie-
ka. Kartoteki, spisy, listy proskrypcyjne, o-
bejmujące miliony nazwisk, więzienia jawne
z podziemiemi do tortur; więzienia tajne, do
których wstępu nie mieli nawet urzędnicy
królewscy, wielotysięczna sieć espartadecios —
donosicieli; donos ujęty w prawo: „donos jest
zaszczytem i honorem, każdy chrześcijanin ma
obowiązek zapisywania w ciągu tygodnia
wszystkiego, co wie o swoich sąsiadach”; i do-
kładny instruktaż, co ma zapisywać: jakie o-
brazy, jakie książki u „sąsiada”, skąd otrzy-
muje listy, ile razy się modlił w ciągu dnia.
Spowiednicy otrzymują dyspensę: nie muszą
dochowywać tajemnicy spowiedzi, wręcz prze-
ciwnie; a „grzesznik”, który popełnił występ-
pek, jeśli w ciągu 40 dni zgłosi sam na siebie
(lub sąsiada) może liczyć na łaskę trybunału.
Centrala rozrosła się w mołoch, z urzędami do
badania spraw: przemysłu, handlu, rzemiosła,
nauki, prawa, sztuki, rolnictwa. Literatura jest
wrogiem — niech płoną i książki na stosach.
Filozofia, nauka, wszystko to zniszczyć. Bez-
cenną bibliotekę Salamanki na stos. Zająć się
drukarniami, Gramatykami. Architektami. Ma-
larzami. Palić ich płótna. I nie tylko płótna.
Zabierać ludzi wprost z ulicy, w jasny dzień,
na oczach innych, terror strachu. Zamykać
ludzi w ich domach bez zezwolenia na wyj-
ście. Innym zamurowywać i okna. I dzieł
zabierać też. Według Konstytucji Inkwizycji:
„odpowiednie do przestępstwa i stosu dzieci
nie mogą mieć mniej niż 14 lat”. Bo: „dzieci
duzo wiedzą i potrafią niejedno powiedzieć o
swoich rodzicach”. Zająć się wszystkimi, któ-
rzy nie myślą tak jak my. „My, Torquemada”.

Więc dla Świętej Inkwizycji w Hiszpanii
rolę czarownic wypełniał wszyscy, którzy
myśleli inaczej, niż sobie tego Święta Inkwi-
zycja życzyła. Tak „zagadnienie „czarownic”
można by ująć.

6. Można je też spić, sprymityzować. Bo
były przecież prawdziwe „czarownice”. Te od
czarów i spółek z szatanem. Na początku XIII
w. wzięto się za takie we Francji, potem w
Niemczech, w Szwajcarii, no i u nas. U nas
jednak, w przeciwieństwie do Zachodniej Eu-
ropy, predko uznano, że wiara w gusia jest
głupota. Głogier podaje, że na Sejmie w roku
1776, na wniosek kasztelana Wojciecha Klu-
czewskiego uchwalono osobną Konstytucję,
zabraniającą dochodzenia czarów i zniesiono
karę śmierci za nie, a „dla upamiętnienia te-
go zwycięstwa cywilizacji wybito medal z od-
powiednim napisem i w czasopiśmie uwiel-
biano triumf światła nad mrokami zabobonu”.

7. Stąd rozmyślałem, że jeśli już się dziś
kogoś poluje, to nie na takiego (taką), co uro-
ki czyni, trzy razy spływając przez lewe ra-
mie. Ale rozmyślałem też, że nam, Polakom,
wpisanym tak piękną kartą przeciw głupocie
świata i ludzi, nie godzi się polować na za-
dne, ani na te od gusek, ani na te od innego
myślenia.

EWA OSTROWSKA

Kilkanaście sposobów wykręcania się od odpowiedzi.

Liczy się upór rzecznika praw obywatelskich

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Polskie urzędy administracji państwowej
zdążyły już się przyzwyczaić do instytucji
„ombudsmana” i, pomijając balagan często w
nich panujący, czyńska kulturę administrowa-
nia nauczycy się go lekceważyć. Profesor
EWA LETOWSKA nie da się jednak łatwo
wykiwać i choć jej działania mają tylko dwa-
jaki charakter — perswazyjny: wystąpienia o
niewłaściwym charakterze, działające siłą per-
swazyj i argumentu, wymagające ustosunkowa-
nia się adresata w ustawowym miesięcznym
terminie — i proceduralny: np. wnioski o
uchwlenie orzeczenia kolegium, rewizja nad-
zwyczajna, wnioski do Trybunału Konstytu-
cyjnego — to aby osiągnąć efekty musi się
angażować w działalność postkontrolną.

W Polsce rzecznik praw obywatelskich musi
pilnować, aby na wystąpienia w ogóle odpo-
wiadano. W innych państwach, gdzie istnieje
„ombudsman”, ma on tylko obowiązek przygo-
tować wystąpienie. U nas niedotrzymanie mie-
sięcznych terminów odpowiedzi jest regułą.
profesor EWA LETOWSKA musi monitorować
niezrządki 4—5 razy, aby wreszcie otrzymać
odpowiedź wymiającą i nie na temat. Często
reakcją na wystąpienie rzecznika praw oby-
watelskich jest zniecierpliwienie. Na szcze-
blach centralnej drabiny rządowej unika się
bezpośrednich kontaktów z rzecznikiem, nawet
wtedy kiedy sprawa bardzo ważna, wymówka
jest najczęściej brak czasu.

Zupełny brak reakcji na wystąpienie rzeczn-
nika jest rzadkością, niemniej OPZZ czyni to
nagminnie. Także Rada Nadzorcza RSW „Pra-
sa-Książka-Ruch” zachowała całkowicie milcz-
nie w sprawie prenumeraty prasy.

W przypadku, gdy miesięczny termin jest
nie dotrzymany, ponaglenia dokonuje się po
dwóch miesiącach. Do tej pory najdłuższy czas
oczekiwania na odpowiedź, która miała na-
dejść z Urzędu Rady Ministrów wynosił 12

miesiący. Bardzo opieszale i „byłe zbyć” od-
powiada resort zdrowia. W 1989 pogorszyła się
terminowość odpowiedzi z Ministerstwa Spraw
Wewnętrznych, często nie reagującego na kil-
kukrotne monity.

Wśród polskich urzędów wykształcił się już
cały szereg technik „odpychania sprawy”. Po-
пулярna „metoda” jest odpowiedź „na raty”.
Najpierw informuje się, że sprawa będzie zba-
dana i rzecznik praw obywatelskich będzie
poinformowany o wynikach. Tymczasem dru-
ga odpowiedź albo wcale nie nadchodzi, bo
liczy się, że „sprawa przyschnie”, albo nad-
chodzi po wielu miesiącach, wielu monitach.
Równie częstą metodą na odepchnięcie sprawy
jest udzielenie bardzo obszernej odpowiedzi,
streszczającej stan prawny lub stan faktyczny
znany rzecznikowi. Nie ma jednak ustosunko-
wania się do zgłoszonego problemu. Takie me-
tody często stosuje PZU, minister transportu
żelazny i łączności. W przypadku sprawy pro-
gramu likwidacji ponad dziesięcioletnich opó-
źnień w przyznawaniu abonamentów telefoni-
cznych oraz tajemnicy korespondencji tak
właśnie postępowano.

Zdarza się, że próbuje się metody „czekaj
łatko łatka” — obiecuje się zajęcie problemem
przy okazji zmiany lub nowelizacji prawa, gdy
tymczasem potrzebne są działania praktyczne,
a nie zmieniające prawo.

Metodą podobną do „czekaj latko...” jest
zmuszanie polskiego „ombudsmana” do „wy-
szarpiania” ustępstw na rzecz jego słusze-
go stanowiska. Bardzo charakterystyczna jest
postawa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych,
które często zmusza do takiego właśnie dzia-
łania. Bywa, że są urzędy, które chcą być ma-
drzejsze od rzecznika praw obywatelskich do
każdej sprawy przygotowującego się bardzo
pieczołowicie i występującego tylko wtedy,
gdy sprawa jest „pewna”. Wśród nich często

POLEMIKI



LISTY OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

GDZIE POWINNA BYĆ ULICA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO?

W związku z pismem przewodniczącego Rady Narodowej m. Łodzi prof. dr. hab. Andrzeja Grabskiego z 2 marca 1990 roku, Społeczny Komitet Pamięci Józefa Piłsudskiego w Łodzi uważa za stosowne przedstawienie dotychczasowych działań zmierzających do przywrócenia ulicy Wschodniej przedwojennej nazwy Marszałka Józefa Piłsudskiego, ewentualnie nadanie tej nazwy lanesi, położonej w centrum miasta ulicy.

1. Społeczny Komitet Pamięci Józefa Piłsudskiego w lutym 1988 roku rozpoczął akcję zbierania podpisów pod wnioskiem obywatelskim o przywrócenie ulicy Wschodniej przedwojennej nazwy ulicy Marszałka Józefa Piłsudskiego.

We wniosku stwierdzono między innymi, iż: „Każdy Polak niezależnie od orientacji politycznej musi przyznać, iż Marszałek Józef Piłsudski był jednym z głównych twórców Polski Niepodległej” oraz że „Zbliżająca się 70 rocznica odzyskania Niepodległości stanowi doskonałą okazję do uhonorowania pamięci tego Wielkiego Polaka i przeoczenie tego faktu w perspektywie najbliższej przyszłości mogłoby okazać się niewybaczalnym błędem”.

Podkreślono również, iż przy ul. Wschodniej 19 Józef Piłsudski zamieszkiwał przed aresztowaniem przez władze carskie i tu drukował „Robotnika”. Na ul. Wschodniej 19 znajduje się tablica poświęcona Jego pamięci, ufundowana przez Społeczeństwo miasta, staraniem Społecznego Komitetu. Przed wojną w domu tym mieściło się Muzeum J. Piłsudskiego, a ulica Wschodnia nosiła Jego imię. Przypomniano, iż Józef Piłsudski jest Obywatel Honorowym m. Łodzi.

2. W dniu 4 maja 1988 roku Społeczny Komitet Pamięci Józefa Piłsudskiego przekazał na ręce przewodniczącego Rady Narodowej m. Łodzi wniosek obywatelski, do którego załączono 170 arkuszy z podpisanymi i adresami. 4.305 obywateli popierających naszą inicjatywę.

3. W dniu 6 lipca 1988 roku dostarczono kolejne wnioski z 5.399 podpisami.

4. Nasza inicjatywa, jako jedna z pierwszych w Polsce, spotkała się z zainteresowaniem środków przekazu. O sprawie donosiło radio „Wolna Europa” i „Głos Ameryki”, pisała prasa podziemna, ukazały się artykuły m.in. w „Prawie i Życiu”, „Przeglądzie Tygodniowym”, „Rzeczwiści” i „Odgłosach”. Milczały jedynie łódzkie gazety, milczała również Rada Narodowa m. Łodzi, zaś w artykule pt. „Reinterpretacja” zamieszczonym w „Przeglądzie Tygodniowym” ujawniono, iż przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi w ogóle odmawia jakiegokolwiek rozmów w tej sprawie.

5. W dniu 1 września 1988 roku skierowano do przewodniczącego Rady Narodowej m. Łodzi kolejne pismo, w którym pisaliśmy między innymi:

„Do dnia dzisiejszego, mimo upływu 4 miesięcy od daty złożenia wniosku, nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Pozwalamy sobie przypomnieć, iż zgodnie z obowiązującym w PRL prawodawstwem, władza ma obowiązek odpowiedzieć na pismo w terminie 1 miesiąca. Gdyby nawet pominąć terminy przewidziane przez prawo, to i tak dobre obyczaje nakazują ustosunkować się do wniosku, popartego w dodatku przez blisko 10.000 obywateli. Tym bardziej, że grzeszność nie nie kosztuje. Nie chcąc rozumieć milczenia w tej sprawie jako gestu arogancji władzy i dania przez nią w ten sposób do zrozumienia, iż nie liczy się zupełnie z postulatami obywateli miasta — oczekujemy na rychły tym razem odpowiedź”.

6. W dniu 10 września 1988 roku otrzymaliśmy jedyną odpowiedź z Biura Rady Narodowej m. Łodzi, w której poinformowano nas, iż „sprawa została przekazana do Komisji Budownictwa i Gospodarki Komunalnej, która po urzędniowej sesji wytyczy plan pracy i w nim określi terminy rozpatrzenia oczekujących spraw, w tym także wniosków dotyczących nazewnictwa ulic”.

7. Ponieważ w toku przeprowadzanych w międzyczasie konsultacji społecznych, Obywatele miasta zgłaszali zastrzeżenia dotyczące ulicy Wschodniej, jako mało reprezentacyjnej, podnosząc także, iż nazwa ta ma długą historyczną tradycję — i przychylając się do tych opinii — 22 stycznia 1990 roku skierowaliśmy kolejny wniosek sugerując zmianę nazwy ulicy Armii Czerwonej oraz części al. Mickiewicza (na odcinku od al. Kościuszki do ul. Piotrkowskiej) na aleję Józefa Piłsudskiego.

8. Na wniosek ten odpowiedział 2 marca 1990 roku przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi informując nas, iż 11.11.1988 r. Rada Narodowa m. Łodzi Uchwałą nr VI/22/88 nadała projektowanej ulicy na projektowanym osiedlu mieszkaniowym w obrębie ulic: Rokicińska, Hetmańska, Przybyszewskiego — nazwę ul. J. Piłsudskiego.

Sprawa niniejsza stanowi jaskrawy przykład arogancji władzy, powołanej w minionym okresie, która nie tylko wówczas, gdy pierwszy wniosek został złożony 4.V.1988 roku, ale i obecnie, do końca swojej kadencji — dje wyraz zupełnego nie liczenia się z postulatami obywateli.

Z wnioskodawcami, reprezentującymi udokumentowaną wolę tysięcy obywateli miasta nie przeprowadzono ani jednej rozmowy, nie odpowiadano merytorycznie na wnioski i pisma, a nadto pismem z 10.IX.88 r. wprowadzono nas w błąd, stwierdzając, iż wniosek oczekuje w kolejności na załatwienie. Nie powiadomiono nas również o Uchwale Rady Narodowej, która zechciała nadać nazwę Marszałka Piłsudskiego ulicy nieistniejącej, na nieistniejącym osiedlu. Pierwsza informacja w tym przedmiocie otrzymujemy 2 marca 1990 r. czyli 1,5 roku po podjęciu Uchwały i to też dlatego, że skierowaliśmy kolejny wniosek.

Być może większość radnych nie lubi Marszałka J. Piłsudskiego i być może nie lubi w ogóle historii Polski, jeżeli jest inna, niż komunistyczna. Jednakże nawet wówczas obowiązująca procedura prawna, która nakazuje odpowiadać na pisma

i wnioski oraz informować, jak wnioski te zostały załatwione. Nie wiemy, jakie motywy kierowały radnymi, gdy zdecydowali się usytuować ul. Marszałka Piłsudskiego na dalekich periferiach miasta, na projektowanym osiedlu, które istnieje jedynie na mapach. Przy obecnej recesji gospodarczej w ogóle nie wiadomo, kiedy osiedle to zostanie wybudowane.

Intencje te są przejrzyste, ale nie odpowiadają one ani Społecznemu Komitetowi, ani 10.000 obywateli miasta, którzy poparli nasz wniosek, ani większości łódzian, którzy nie podpisali wniosku tylko dlatego, że zakończyli zbieranie podpisów po uzyskaniu takiego poparcia, jakie uznaliśmy za reprezentatywne.

Mogliśmy skierować nasze pismo do nowych władz, które niebawem zostaną wybrane. Sądźmy jednak, iż przynajmniej część radnych dotychczasowej Rady zauważyła już, że żyjemy w innej epoce i że nie ma nadziei na powrót dawnych czasów, dawnych metod działania i sprawowania władzy. Wnosimy zatem, aby Rada Narodowa zechciała uchylić swoją Uchwałę z 11.11.1988 r. i podjęła Uchwałę nadającą nazwę alei Marszałka Józefa Piłsudskiego dotychczasowej ulicy Armii Czerwonej i części al. A. Mickiewicza, zgodnie z naszym ostatnim wnioskiem z 22.01.1990 r.

ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY
(prezes)

INNE SPOJRZENIE NA SPRAWY ZLP

W relacji Konrada Frejdlicha („Odgłosy” nr 13) Nadzwyczajny Zjazd Związku Literatów Polskich jawi się jako forum bardzo podejrzane, na którym grono uzurpatorów, a nie w sposób demokratyczny wybranych delegatów, co chwila podejmowało bezprawną decyzję. Konrad Frejdlich był także „delegatem zjazdu poprzedniego”, nie złożył mandatu na znak protestu, nie tylko obserwował nadzwyczajny zjazd chłodnym okiem reportera, ale także kilkakrotnie zabierał głos w ważnych dla zjazdu i Związku sprawach, i nie wyjawiał chyba jakiegóż nadzwyczajnej tajemnicy, jeśli dodam, że kandydował do Zarządu Głównego. Nie rozumiem zatem, skąd ta nonszalancja wobec Zjazdu?

Partykularną sprawę oddziału katowickiego podnosi K. Frejdlich do rangi zjazdowego wydarzenia. I nieprawda jest, że poeta Stanisław Gola musiał się „przedrzeć” ze swoim protestem. Prezydium obrad udzieliło mu zwyczajnie głosu i Stanisław Gola, świetny poeta, swobodnym krokiem, acz z miną groźną podszedł do mównicy. Co więcej, lektką ręką złożył mandaty katowickich delegatów, ale swój zatrzymał. Natomiast nie wspomina ani słowem K. Frejdlich o tym, że następnym mówcą Nikos Chadziniokoulas, prezes oddziału poznańskiego zapytał, jakim to prawem, na zasadzie jakiego wyjątku, czy może w oparciu o ciche porozumienie zawarte w kuluarach Sejmu między posłem Tadeuszem Kijonką a panią ministrem Izabellą Cywińską, Ministerstwo K. i Sz. postanowiło przyznać oddziałowi katowickiemu ZLP 50 milionów złotych na działalność gospodarczą? Obecny na zjeździe wiceminister pan Karpiński stanowczo zaprzeczył, jakoby oddział katowicki otrzymał z Ministerstwa K. i Sz. jakąkolwiek nadzwyczajną dotację.

Piotr Kunciewicz, bardzo niecierpliwony przedłużającą się dyskusją nad sprawami formalnymi oznajmił, że nie zgadza się z przyjętymi uchwałami i na znak protestu za chwilę opuści salę. Jednakże uległ perswazjom, odstąpił od niektórych propozycji i uczestniczył w obradach do końca. Został wybrany na członka Zarządu Głównego ZLP, a następnie na prezesa tegoż Zarządu. I jest to bez wątpienia najważniejszy cel osiągnięty przez ten Zjazd.

O wiele mniej istotny jest tu wybór nowego zarządu, tym bardziej, że w jego skład weszło wielu „statystów”. Delegacja łódzka zgłosiła dwóch kandydatów. Zle się stało, że obaj koledzy niezbyt dobrze przegrali wybory, nie mam wątpliwości, że ich rola w pracach Zarządu byłaby niebagatelna.

Stoją przed Zarządem zadania ogromne. Sytuacja polskiej literatury współczesnej jest wręcz tragiczna, o egzystencji pisarza nawet nie wspomnę. Konrad Frejdlich doskonale wie, że to nie „stare nawyki myślowe” zdecydowały o tym, że nie przyjęto propozycji R. Samsela, a wcześniej P. Kuncewicza i nie rozwiązano ZLP. Nie zdecydowano się także na zmianę nazwy Związku. Między innymi chodzi także o uszanowanie woli większości. O potrzebie, czy też konieczności tych zmian zdecydują w referendum wszyscy członkowie ZLP.

Nieprawdą jest też, że część wybranego na poprzednim Zjeździe prezydium próbowała nie dopuścić do przegłosowania niektórych uchwał, nie obwiniając tych ludzi ponad miarę. Przeciwnie wszystkie uchwały przyjęto przed wyborem Zarządu. Upomniał się Zjazd nie tylko o Vaclava Havla i Zdzisława Najdera. Pewien senior ZLP z pasją protestował przeciw przesładowaniu autora „Szatańskich werstów”. Usiłowałem sobie przypomnieć, czy dawniej z równym oburzeniem protestował i inni członkowie starego ZLP przeciw przesładowaniu Borysa Pasternaka, Aleksandra Solżenicyna i wielu innych?

K. Frejdlich w przeciwieństwie do mnie zna ogrom winy byłego wiceprezesa ZG Jerzego Jesionowskiego i zapewne dlatego dziwił się, że J. Jesionowski „spoglądał uczciwymi oczami na prezydium obrad”. Ujawniono natomiast na Zjeździe pewną tajemnicę. Otóż Związek Literatów Polskich jako organizacja społeczna mógł uczestniczyć w obradach „Okrągłego Stołu”. Nie wyjaśniono natomiast, dlaczego nie uczestniczył? Czyżby ktoś w zaufaniu, w poczuciu władzy postanowił zlekceważyć tę sprawę? Może teraz z kole Wojciech Zukrowski napisze „Kadencje”?

K. Frejdlich zgodził się chyba z poglądem, że środowisko warszawskie wiele swoich zadawionych spraw, konfliktów, emocji, wzajemnych óprzeń przeniósł na forum Zjazdu i delegaci spoza Warszawy nie mieli obowiązków utożsamiać się z niektórymi postawami. Spośród 137 członków ZLP, którzy poparli wniosek G. Łatuszyńskiego większość na pewno nie zgadzała się, aby R. Sliwnik przemawiał w ich imieniu. Dlaczego ów dokument zaczyna się od słów: „Inicjatorzy listu 137 stwierdzają”? Jest to najwyklesze nadużycie!

K. Frejdlich napisał: „Rósł liczbę podpisów pod tym oświadczeniem”. W chwili kiedy kończył się Zjazd podpisów było bodaj 20. Wśród sygnatariuszy było kilka osób, które przepadły w wyborach do Zarządu Głównego ZLP.

O przeprosinach i zadośćuczynieniu mówiono dużo na poprzednim Zjeździe. Gdzie są ci, którzy podjęli bezprawną decyzję o rozwiązaniu Związku. Niech się pojawia, wyjaśnia, przeproszą... Teraz uczynił to w imieniu ZLP nowy prezes — Piotr Kunciewicz. Zapewne większość pisarzy wierzy w jego dobre intencje. Ale na razie nie nie zapowiada końca konfliktów. Zalała nas fala oskarżeń, pomówień, inwektyw. W tym potwornym pomieszaniu pojęć trudno się czasem odnaleźć. Pan Jerzy Urbankiewicz, prezes Oddziału Łódzkiego SPP, w wywiadzie udzielonym w połowie 1989 roku „Dziennikowi Łódzkiemu”, twierdził z całym przekonaniem, że to oddział łódzki ZLP przyczynił się do rozwiązania w roku 1987 Stowarzyszenia Twórców Kultury i działającego przy owym Stowarzyszeniu Klubu Literackiego Delikatnie mówiąc jest to co najmniej nieprawda. Zle się stało, że STK zostało rozwiązane, ale oddział łódzki ZLP nie miał w tym absolutnie nic wspólnego. Kto i z jakich przyczyn podjął tę decyzję? Istotną sprawę mogłaby wyjaśnić pani Ewa Wasilewska — dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UML.

Natomiast najzgorzalsi wrogowie tego Związku przysięgają w skrytości, że miał on obowiązek powstać. Niczego nie zagarnął tylko dla siebie, niczego nie zawłaszczyl, i bił się o prawa dla wszystkich polskich pisarzy. Większość pisarzy wstąpiła do ZLP z przyczyn pozapolitycznych. A poza tym w praworządym, demokratycznym państwie nikogo nie przesładuje się za przekonania, poglądy, postawy i wybory.

W kuluarach usłyszałem opinię straszną: Zjazd był smutny i żalony, nijaki! Jest rzeczą oczywistą, że dla uczestników poprzednich Zjazdów pełnych blasku, uroczystych, wiekopomych, ten pozabawiony politycznego sztafetu, propagandowej otoczki, kamer telewizyjnych i jeszcze Bóg wie czego, był zgromadzeniem przede wszystkim nieefektywnym, ubogim, aż trudnym do zaakceptowania. Ale niezależnie od ocen Zjazd ten na pewno stanie się dla Związku Literatów Polskich momentem przełomowym.

JÓZEF STANISŁAW KMECIAK

W PROTOKOLE MUSZĄ BYĆ TYLKO FAKTY!

W nawiązaniu do artykułu z nr 14 „Odgłosów” z 8 kwietnia 1990 r. pt. „Memento radnego Kantyki” — chciałbym przedstawić niektóre aspekty sprawy z punktu widzenia Izby Skarbowej, a właściwie Inspektoratu Kontrolno-Rewizyjnego i Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej — bowiem opisywane sprawy dotyczyły jeszcze działalności dwóch ostatnich instytucji z lat 1974—1981.

Znane mi są cakowicie sprawy, o których mowa w artykule. Znamy jest mi również pan Tadeusz Kantyka, bowiem wiele razy rozmawialiśmy ze sobą. W tym czasie pełnił funkcje zastępcy Wojewódzkiego Inspektora (IKR) i później zastępcy Dyrektora Okręgowego Zarządu (OZDPIKF).

Na wstępie chcę zaznaczyć, że uwagi na brudnopisie protokołu kontroli inspektora Mieczysława Nolbrzaka są moimi uwagami. Owcześnie kierownik zespołu pan Lech Bialecki nadzorował grupę inspektorów rozliczających m.in. budowę „modrzewiowego dworku”. Miałem zawsze dużo podziwu i uznania za wkładany trud i pracę radnego Tadeusza Kantyki w ujawnianiu różnego rodzaju nieprawidłowości związanych z wykorzystywaniem stanowisk służbowych do celów prywatnych. Prowadzone z jego inicjatywy kontrole przez b. IKR czy OZDP i KF miały za zadanie udokumentowanie zaistniałych nieprawidłowości i wystąpienia do instytutek nadzórnych nad kontrolowanymi z odpowiednimi wnioskami osobowymi czy też finansowymi a w przypadkach stwierdzenia nadużyć — wystąpienia do organów ścigania. Z tych też to względów protokoły kontroli jako akty dwustronnie podpisywane musiały zawierać odpowiednio udokumentowane stwierdzenia oparte na konkretnych dowodach.

W omawianym artykule redaktor Jacek Indelak napisał, że artykuł pt. „Radny Kantyka walczy z wiatrakami” poszedł w 1981 r. do kotła oraz że i dla niego „były to też zbyt wysokie progi”. Na końcu zaś artykułu zaznaczył, że „dopiero dziś można pozwolić sobie...”. Nie dla usprawiedliwienia, ale dla odzwierciedlenia ówczesnego stanu chcę również powiedzieć, że kontrole też bardzo często walczyły z wiatrakami. Radny Tadeusz Kantyka wskazał np.: że za wybudowaną szafę zleceńiodawca — ówczesny wiceprezydent zapłacił bardzo niską cenę. Co mogła zrobić kontrola, jeżeli wykonawca przedłożył dokumenty, że do budowy tej szafy zużyto materiały odpadowe pozostałe po remoncie sklepów. Co mogła zrobić kontrola, jeżeli karty pracy robotników nie odzwierciedlały w pełni wykonywanych prac, a robotnicy dawali różne sprzeczne wyjaśnienia. Dla prokuratury musiał być dowód — nie mogło być domniemania. Co mogła zrobić kontrola, jeżeli zleceńiodawca stwierdził, że prace ziemne wykonał we własnym zakresie, a u wykonawcy nie było na to żadnych kart pracy, ludzi i sprzętu. Z takich też względów występowały przypadki, w których polecałem dokonanie odpowiednich badań uzupelniających bądź przeniesienia części nieudokumentowanych ustaleń do sprawozdania kontroli. Nie występowały nigdy przypadki, w których polecałbym zniszczyć część nawet nieudokumentowanych ustaleń. Nie można w tych przypadkach mówić „o złagodzeniu wymowy tej części protokołu”. W protokole kontroli nie chodzi o wymowę — chodzi o fakty.

Podkreślić chcę również, że inspektor ma obowiązek z każdej kontroli, a w szczególności z kontroli typu „nadużyciowego”, sporządzić sprawozdanie z kontroli, w którym może dowolnie zamieścić swoje uwagi, domniemania i wnioski. Sprawozdanie to nie jest aktem dwustronnym, nie pozostawia się go w jedностe kontrolowanej, ale stanowi jeden z załączników nrzw orzekszawianiu sprawozdanie z kontroli. Prokurator może je odpowiednio wykorzystać w toku prowadzonego dochodzenia.

— Postaram się odszukać w archiwum owe sprzed lat protokoły i te poprawione, i te pierwotne. Porównamy, na czym polegały różnice i stwierdzimy konkretnie, na czym polegało owe „łagodzenie wymowy”.

mjr KAZIMIERZ KRAKOWSKI
(wicedyrektor Izby Skarbowej)

OD REDAKCJI. Chętnie zapoznamy się z tymi archiwalnymi już dokumentami, a może na ich podstawie powstanie ciekawy artykuł.

KILKA UWAG I ZDZIWIENIE

Przesyłam kilka uwag do publikacji Konrada Frejdlicha „Vaclav Havel — Symbol godności”, „Odgłosy” nr 1666 z 21 marca 1990 r.

1. W 1946 roku Klement Gottwald został premierem Czechosłowacji.

2. Komunistyczna Partia Czechosłowacji, powstała w 1921 roku, a nie „na szczytach zdeptanej do końca demokracji” w 1948 roku. W czerwcu 1948 do KPCz przyłączono Partię Socjaldemokratyczną, na czele której stał Zdenek Fierlinger, premier w latach 1945—1956. (W okresie 1953—1964 przewodniczący parlamentu). Mimo wiążenia KP Słowacji w strukturę KPCz, zachowała pełną autonomię do dzisiaj, odbywając osobne zjazdy. W latach 1963—1968 na czele KP Słowacji stał Aleksander Dubczek.

3. Klement Gottwald po objęciu prezydentury w 1948 pozostał do śmierci w 1953 r. także przewodniczącym KC KPCz.

4. Autor pisze o procesie tzw. centrum. Był to proces Rudolfa Slauksy'ego (b. sekretarza generalnego KPCz w l. 1945—1951) Vlodo Clementisa (b. ministra spraw zagranicznych 1918—1950) i innych. Odbył się jesienią 1952 roku.

5. Antonin Zapotocky nie zastępował Gottwalda na stanowisku prezydenta, tylko wybrany został po śmierci Gottwalda.

6. Antonin Nowotny był i sekretarzem KC KPCz w latach 1953—1968, a po śmierci Zapotocky'ego został także prezydentem (w latach 1957—1968).

7. W grudniu 1968 A. Dubczek został przewodniczącym federalnego parlamentu.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

PS. Ojej! Co się dzieje! W numerze 13 z 1990 roku podano, że jest to kolejny 1370, a faktycznie jest to kolejny numer 1670, pomyłka o całe 300 numerów. Nikt też pomyłki nie dostrzegł i w numerze 14 podano, że jest to numer 1371. I tak dalej!

CZ. Z.

OD REDAKCJI. Dziękujemy za zwrócenie uwagi! Numerację poprawiliśmy. Przepraszamy!

REDAKCJA PRZEPRASZA

Ze względu na objętość niektórych listów, które dotyczą istotnych spraw, nie możemy opublikować wielu innych czekających w kolejności. Wśród nich jest list władz Grabowa w sprawie publikacji Bogumiła A. Makowskiego o Grabowie oraz wyjaśnienia Doroty G. po artykule Moniki Matuszak „Gdy dziecko jest tylko przedmiotem w rozgrywce”. Przepraszamy! Listy te ukazały się w najbliższych numerach „Odgłosów”.

Miasto i wieś tworzą urbanistyczną całość.

Ala ich granicą administracyjną od dziesiątków lat jest linia kolejowa łącząca Łódź z Kaliszem. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu dróżnik kręcąc korbą unosił i opuszczał szlabany na dwóch przejazdach, teraz czyni to tylko na jednym, drugi został zlikwidowany: szlaban opuszczono na stałe. Nie przeszkadza to ludziom przechodzić tędy, jak to czyniono od wielu lat i wielu pokoleń. Ten nieczynny przejazd ma złą sławę. Tu wydarzyło się w dziejach tej linii kolejowej najwięcej tragicznych wypadków.

Zdarzyły się tragedie wynikające z ludzkiej głupoty, jak ta zaledwie sorzed paru lat, kiedy to na przejazd wjechała

To był najważniejszy dzień w ich życiu.

Potem były inne dni i noce, piękne, odurzające, ale przecież już nie tak ważne jak tamten. Dziewczyna pisała pracę maturalną z języka polskiego. Chłopiec odjechał do wojska. Znalazł się pod Szczecinem w Wojskach Ochrony Pogranicza.

Dziewczyna za namową rodziców złożyła dokumenty do Akademii Medycznej w Łodzi. Pomyślnie zdała egzaminy i została przyjęta na pierwszy rok studiów. O tym fakcie niezwłocznie poinformowała listownie swojego chłopca, zapewniając jednocześnie, że kocha, tęskni i czeka. Przez dwa lata kursowały listy. Chłopiec przyjeżdżał na urlopy. Ale zawsze tak się składało, że dzie-

I nagle gruchnęła wieść: chłopiec rzucił się pod pociąg.

Mówi dwunastoletnia Kasia: — Szłam właśnie od koleżanki mieszkającej po drugiej stronie torów. Kiedy byłam bardzo blisko przejazdu, zobaczyłam tego pana opartego o szlaban. Od strony Łodzi nadjeżdżał pociąg, osobowy. Stałam przy szlabanie i czekałam. A ten pan raptem skończył, dobiegł prawie do pociągu, który był tuż, tuż. Kiedy pociąg przejechał, przesłam na drugą stronę, do miasta. Ten pan ciągle stał. Już nie poszłam do domu, tylko zatrzymałam się przy zrywopłocie. Widziałam dobrze tor z prawej i z lewej strony. Myślałam, że jak będzie nadjeżdżał pociąg, a ten

— Czy znalazła pani godnego siebie partnera?

— Może. Co to ma do rzeczy? Każdy układa swoje życie tak, jak mu to odpowiada.

— On panią kochał.

— Powiedział to panu? Proszę nie powtarzać plotek. Teraz wszyscy huczą na mnie, że to niby odrzuciłam jego uczucie, podeptałam je, wyśmiałam i Bóg jeden wie, co uczyniłam jeszcze. A prawda jest taka, że przez ostatnie dwa lata w swoich listach starałam się mu wyjaśnić pewne prawidłowości życia, wytłumaczyć nieuchronność przemian zachodzących w psychice dojrzewających ludzi, ale widać to do niego nie docierało, nie chciał zrozumieć, że nasze młodzieńcze zauroczenie, czy jak pan chce, miłość, umarła razem z nami, z tymi nieodwołalnymi dziejami sprzed lat. Często tak bywa ze smem; coś nam się śni piękniego i cudownego, a potem się budzimy i wracamy do codzienności...

— On się nie obudził...

— Tym gorzej dla niego. Kiedy spotkaliśmy się jakiś miesiąc temu — unikałam go celowo — starałam się raz jeszcze wytłumaczyć zaistniałą sytuację. Nie chciałam powtórzyć dzieła wprost: — cześć, więcej się nie zobaczymy! Zycze szczęścia! Chciałam, by wypadło to jakoś naturalnie, po kumpłowsku. On jednak był nieprzemakalny, nie doń nie docierało. Naprawdę w niczym nie zawiniłam.

— Co mówi pani sumienie?

— Jest spokojne. Jestem młoda, wszystko jeszcze przede mną.

— Co jest przed panią?

— Wszystko to, co jest do zdobycia.

Na przejeździe zjawiała się karetka pogotowia i dwa milicyjne „Polonezy”.

Zgromadziły się tłumy ludzi po obu stronach torów. Na przestrzeni dziesiątków metrów mężczyźni w mundurach chodzili wzdłuż szyn i do foliowych woreczków zbierali kawałki ludzkiego ciała. Rozpedzony pociąg rozkawałkował chłopca.

Jednym świadkiem była dwunastoletnia Kasia, ale raptem znalazło się sporo osób, którzy co prawda niczego nie widzieli, za to mogli wiele powiedzieć o chłopcu i jego rodzinie. Cywil słuchał cierpliwie i notował.

Poszukiwania trwały parę godzin. Nie da się ustalić, czy zebrano wszystko, co niedługo było młodym dwudziestoletnim człowiekiem. Jedno jest pewne: cząstkę zabrała babka chłopca, stara i zdziwaczała kobieta, zwana Meliniarą, bo od niepamiętnych czasów trudni się pokątnym handlem wódka. Z tym zakrawionym kawałkiem zaczęła chodzić od domu do domu i pokazywać każdemu, kto się jej napatoczył. Powstał popłoch, ludzie zaczęli zamykać się w mieszkaniach, wyznaczono nawet czaty, które uprzedzają o zbliżeniu się Meliniary. A ona nadal krąży, nadal zaciepa przechodniów, pokazuje zakrawiony foliowy worek i mówi:

— Widzicie, co zostało z mojego wnuczka?

Opinia ludzi z miasta i ludzi ze wsi jest podobna: jedni twierdzą, że wszystkimu winna okrutna dziewczyna, inni utrzymują, że co komu pisane, to go nie ominie. Kto ma rację?

13 marca 1990 r., o godzinie 15,42 młody mężczyzna rzucił się pod nadjeżdżający pociąg.

Pierwsza miłość i śmierć na torach

BERNARD KOWALSKI

wywrotka, a dróżnik w tym momencie opuścił szlaban. Kierowca, miast ostro ruszyć i staranować szlaban, nacisnął na hamulec i to była ostatnia czynność, jaką wykonał w swoim życiu. Było też i komiczne zdarzenie. Oto dwaj podopieczni młodzieńcy wjechali na motocyklu wprost na pedzający pociąg towarowy. Motocykl od razu został poszatkowany, a młodzi chłopcy cudem odrzućeni do rowu. I to tak szczęśliwie, że ten, który wioził w kieszeniach dwie półlitrowki nawet ich nie potłukł.

Osoby dramatu.

On — dwudziestoletni mężczyzna, dobrze zbudowany, blondyn o niebieskich oczach. Ona — drobna, niemal filigranowa, o pospolitej twarzy, na której Stwórca umieścił ogromne, czarne, wilgotne oczy i wypukłe usta psotliwego dziecka. Poznali się trzy lata temu, na zabawie urzędowej w remizie strażackiej stojącej po wiejskiej stronie torów. Oboje mieszkają po stronie miejskiej. Chłopiec pochodził z rodziny biednej, wielodzietnej. Ukończył Zasadniczą Szkołę Mechaniczną i pracował w prywatnym warsztacie naprawy samochodów. Ona była w ostatniej klasie Liceum Ogólnokształcącego i nie wiedziała, czym się zajmie po maturze. Była jedynaczką, córką urzędnika bankowego i ekspedientki ze sklepu mięsnego.

Na zabawie tańczyli do upadłego. Umówili się na spotkanie, potem jeszcze raz i jeszcze. Zaczęli ze sobą „chodzić”. Była to miłość piękna i czysta. Chłopiec miał własne pieniądze, więc jeździł potańczyć do Pabianic, do Łodzi. Odwiedzali kawiarnie. Kawał się w rzece obok knajpy „Pod bykiem”. Do zbliżenia doszło w przeddzień matury, kiedy dziewczyna zaczęła dostawać torsli na widok książek i zeszytów. Dla relaksu postanowiła urządzić „herbatkę we dwoje”. Chłopiec przyszedł z kwiatami i z mocnym postanowieniem, że od razu się oświadczy i poprosi rodziców dziewczyny o zgodę na małżeństwo. Ku jego zdumieniu, okazało się, że dziewczyna jest w domu sama, że na stole sa ciastka, wino, kawa, jakieś przysmaki. I muzyka sącząca się z magnetofonu.

czyna była albo na jakimś biwaku, albo na zimowisku, albo na studenckich wczasach.

Spotkali się dopiero w 1990 roku.

Chłopiec powrócił z wojska. Spotkali się przypadkiem, na ulicy. Dzień wcześniej rodzice dziewczyny poinformowali go, że trwają jakieś studenckie ćwiczenia czy coś w tym guście i ich córka wróci do domu dopiero za miesiąc.

— Cześć — powiedziała dziewczyna.

— Cześć — odpowiedział chłopiec i chciał ją pocałować.

— Coś ty? — zaśmiała się.

— Ludzie patrzą.

— To co?

— Jak to, co? Jeszcze coś sobie pomyślą.

— Dużo o nas myślałem i postanowiłem, że jak tylko wrócę, to kupię kwiaty i pójdę do twoich rodziców.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej.

— No, wiesz! Przede mną jeszcze cztery lata nauki i ja nie mogę od nikogo się uzależniać.

— Będę pracować, mam zawód.

— Mechanik samochodowy?

— To dobry fach, popłatny.

— Jak ty to sobie wyobrażasz: mechanik samochodowy i lekarka?

— Nie poznaję cię...

— Jestem starsza o dwa lata. Dwa lata w życiu kobiety, to bardzo dużo.

— Ależ ja cię...

— To była dziecinada, nic więcej. Dorosłe życie ma zupełnie inny wymiar. No, to nagadaliśmy się. Spiesz się, czeka na mnie mnóstwo wkuwania. Cześć.

Chłopiec żył, pracował, spotykał się z kolegami, nawet zaczął chodzić do mordowni i do knajpy „U fletucha”. Nadal był cichy, spowaźniał, zadowolony. Rodzice nie mieli czasu, by z nim porozmawiać. Mieli na głowie pozostała drobnie rozsypana po przedszkolach i w początkowych klasach podstawówki. Był najstarszy, trójka urodzona po nim, umarła. Nikt niczego nie dostrzegł, nie zwrócił uwagi, że ten ładny, smukły chłopiec patrzy nie widząc, słucha nie słysząc, że siedząc przy jednym stole z najbliższymi jest im zupełnie obcy i daleki.

pan będzie nadal stał, to krzyknę i go ostrzegę. Stałam długo, pociąg nie był. Pan wrócił za szlaban. Zaczęł chodzić. Myślałam, że pójdzie sobie. Odszedł aż do asfaltu, ale zaraz wrócił i znów oparł się o szlaban. Po jakimś czasie przejechał towarowy do Łodzi, ale ten pan nie ruszył się. Nie wiem jak długo tam byłam, ale pamiętam, że od strony stacji nadciął chyba pospieszny, bo pedził bardzo szybko. Kiedy pociąg był blisko, tamten pan pochylił się, przeleżał pod szlabanem i wbiegł na tor. Zaczęłam krzyknąć, ale huk był taki, że nie słyszałam własnego głosu. Pociąg zatrzymał się daleko, pod lasem. Ale pana już nigdzie nie było.

Rozmowa z dziewczyną.

— W mieście mówi się, że pani ponosi odpowiedzialność za te śmierci.

— Bzdura.

— Rodzice chłopca twierdzą, że przez dwa lata utrzymywała go pani w przekonaniu, że gdy tylko wyjdzie z wojska, niezwłocznie się pobierze.

— Tere fere, w żadnym liście tego nie napisałam.

— Nie zaprzeczaj jednak pani, że łączyło was głębokie uczucie.

— Miłość z freblówki nazywa pan głębokim uczuciem? Ot, pierwsze zauroczenie. U mnie przyszło to szybciej, u niego później. Więcej nas dzieliło niż łączyło.

— Ma pani na myśli wykształcenie?

— Choćby. On się gdzieś tam zatrzymał. Zawsze dążyłam do czegoś więcej niż talerz zupy, kolorowy telewizor i wygodny tapczan. Nawet najbrutalsza miłość czy namietność kiedyś się kończy i dwoje ludzi chce ze sobą porozmawiać. O czym może rozmawiać mechanik samochodowy z lekarką?

— O życiu.

— O jakim? Czy tym, które toczy się gdzieś w garażu i warsztacie samochodowym, czy tym z przychodni lekarskiej, ze szpitala, z pogotowia?

— Choćby o tym właśnie.

— Proszę nie traktować mnie jak idiotki. Ludzie powinni dobrać się nie tylko pod względem fizycznym, ale intelektualnym także.

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

SPRZEDAM wtryskarkę poziomą 51-74-05 15194-g

DRESY (kresz) produkuję. Łódź, Bema 72, Lenartowicz, 55-39-47. 24084-g

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UL 32-59-65. 13431-g

ZGUBY

TOMASZ Bialkowski zgubił leg. studencką 09130/S UL. 24052-g

DARIUSZ Sołowiej zgubił leg. studencką 16297/L AM. 14986-g

JAROSŁAW Wasilewski — legitymacja studencka 5878 WAM. 15002-g

IGA Detka zgubiła leg. studencką 16377/L AM. 15506-g

URSZULA Bielińska zgubiła legitymację studencką, indeks Nr 17081/L AM. 24020-g

JACEK Sosiński zgubił leg. studencką 60361/S UL. 24033-g

Paszportowe, dowodowe, legitymacyjne

ZDJĘCIA

W 2 MINUTY

WYKONUJE

„FCF”

Łódź, W. Poleskiego 120 57-40-87

dojazd:

„A” E. D. 57, 94, 81, 85, 88.

„T” 1, 15, 19. 15397-g

I małe mieszkanie i piękne meble są dla wielu ludzi niedostępnym marzeniem.

Dlaczego meble nie mogą być tanie?

Sklep meblowy przy ulicy Brukowej w Łodzi należący do Przedsiębiorstwa Handlu Artykułami Wyposażenia Mieszkań „Domar” cieszy się dobrą sławą. Tu zawsze udawało się coś kupić. Teraz także wala tłumy przez bramę, a na ulicy parkują samochody zajmujące się dostarczaniem mebli do domów. Różnica między dawnymi a obecnymi laty jest taka, że wówczas ludzie mieli pieniądze, lecz nie było mebli, teraz są meble, ale rzadko kto ma pieniądze. Kierownik sklepu Marcin Kostrzewa, który pracował na tym stanowisku 14 lat jest pełen sceptycyzmu.

— Dużo pan sprzedaje? — pytam.

— Bardzo mało. Ceny odstraszą najodważniejszych.

— A biednych?

— Biedni przychodzą tu co dzień i odchodzą z niczym. Oni mają nadzieję, że ceny polecą w dół. Wtedy przed nimi otworzy się szansa.

— A otworzy się?

— Wątpię. Jakos nie słyszałem, by któraś fabryka mebli obniżyła cenę na swoje wyroby.

— Ceny są tamą dla inflacji.

— Inflacji nie zlikwiduje się podnoszeniem cen. O tym wie duża studenci pierwszego roku ekonomii. Dawniej było nie do pomyslenia, abyśmy rozbijali komplety, bo klient chciał kupić na przykład tylko dwa fotele, natomiast nie chciał brać wer-salki. Teraz robimy wszystko, czego sobie kupujący życzy. Ważne, by cokolwiek sprzedać. Sprzedajemy — wzorem innych branż — buty i jakieś ciuchy. Inaczej kłapa.

— Grozi wam plajta?

— Jeszcze nie, ale już część ludzi zwolniłmy, aby pozostali mogli zarobić. W kwietniu zwolnimy 30 proc. załogi. To bardzo bolesny zabieg, ale innego wyjścia nie widzę.

— Dlaczego sprowadza pan drogie meble?

— Wcale nie najdroższe, ale takie, które klient będzie chciał kupić, czyli meble tańsze.

— Jeśli chce mi pan wzmówić, że zestaw „Jadwiga” z Radomskiej Fabryki Mebli za jedne 7.224,00 zł jest meblem tanim...

— Wybrał pan niezbyt szczęśliwy przykład, przecież mamy tu naprawdę tańsze, na przykład zestaw segmentowy „Sztorm” z Goleniowa za 3.474,000 zł albo zestaw wypoczynkowy za jedne 2.160,000 zł.

W sklepie jest spory tłok lecz nikt nie kupuje. Marcin Kostrzewa twierdzi, że jego firma bierze zaledwie 10-15 proc. marży, więc niedużo, a podstawową cenę dyktuje producent. Nie tak dawno jeszcze sam jeździł po kraju i błagał producentów, by cokolwiek mu dali, dziś nigdzie się nie rusza, siedzi przy biurku, a na jego telefoniczne zamówienie z najdalszych krańców Polski dostarczają meble na koszt producenta. Tylko że telefonowanie nie ma sensu, bo meble „nie idą”.

Oficjalnie mówi się, że produkcja w przemyśle meblarskim spada o 40 proc., co jest cyfrą zanizoną, gdyż procent jest dużo wyższy. W wielu fabrykach mebli ludzie są od dwóch miesięcy na urloпах bezpłatnych (tak jest w Gorzowie, Wolsztynie, Goleniowie), w zakładzie w Łasku podległym Łódzkiej Fabryce Mebli ludzie pracują co drugi dzień — jednego dnia do pracy przychodzi jedna połowa załogi, drugiego dnia druga. Producenti zasięgają opinii handlowców, co do zmian w produkowanych przez siebie meblach.

Rozmawiałem z klientami.

— Co państwo wybrałicie?

— Dużo — odpowiadała Anna i Zbigniew Romanowscy. — Ale nic nie ma, co byłoby na naszą kieszeń.

— Czego poszukujecie?

— Prawie wszystkiego. Trafiło się nam mieszkanie po zmarłej babci. Jej meble są co niczego.

— Obliczyliście, ile was to będzie kosztować?

— Liczyliśmy wielokrotnie. Żeby zrealizować nasze marzenia, musielibyśmy pracować przez jakieś pięćdziesiąt lat.

Innym rozmówcą był Karol Getner.

— Przychodzę tu co dnia, bo a nuż ktoś obniży ceny.

— Długo zamierza pan tu przychodzić?

— Do skutku.

Kierownik Marcin Kostrzewa opowiada, że on niektórych klientów zna już z widzenia, przecież spotykają się od miesięcy.

Z Brukowej pojechałem do Łódzkiej Fabryki Mebli na ulicę PKWN. Jest to kombinat posiadający 13 zakładów produkcyjnych (w Łodzi, Konstancynie, Łasku, Wieluniu, Pabianicach i Lututowie), własne magazyny i sklepy. Jeszcze w latach siedemdziesiątych produkcja meblowa była dotowana z budżetu państwa i wówczas przedsiębiorstwo „wychodziło na swoje”. Dziś Łódzkie Fabryki Mebli są na własnym rozrachunku, mają „wolną rękę” i zdawałoby się mogą rzucić na rynek wszystko, po co niedługo ludzie wystawiali nocami w kolejkach. Ale sytuacja fabryki staje się z dnia na dzień trudniejsza. Polskie meble nadal są poszukiwane w Finlandii, RFN, Austrii, Szwecji, Kanadzie i USA, ale ogranicza się produkcję na rynek krajowy, ludzie w niektórych zakładach pracują trzy razy w tygodniu, wielu odysło się na emeryturę, sporo zatrudnionych w administracji przeniosło się na produkcję.

Zauważyłem taką rzecz — mówi dyrektor do spraw technicznych Marian Kozerza. — Ludzie przestali nagle chorować. Jeszcze w styczniu „chorobowe” pochłonięto aż 3 100 godzin, natomiast w lutym już tylko 700 godzin. W marcu będzie jeszcze mniej zwolnień.

— Ale zakłady podległe LFM stoją.

— Tam, gdzie pracujemy na eksport, nie ma przestoju. Niestety, jest wstrzymana produkcja na rynek krajowy. Handel nie kwapi się z zamówieniami.

— Bo wiodącej wysoko ceny.

— Robimy wszystko, by te ceny obniżyć. W styczniu ceny naszych wyrobów obniżyliśmy średnio o 20 procent. Nasze wyroby byłyby tańsze, gdybyśmy nie byli uzależnieni od producentów tkaniny, tarcicy, lakierów, kleju, stelaży i tysięcy innych dodatków.

— Ile żądają dostawcy wspomnianych przez pana towarów?

— Dużo, bardzo dużo. Weźmy tarcicę: metr sześcienny liściastej kosztuje 1.891.000 zł, a sosnowej 724.000 zł.

— Nie szukał pan tańszych dostawców?

— Owszem, chcieliśmy się dogadać z Nadleśnictwem w Brzezinach, ale nic z tego nie wyszło. Taniej bierze od nas tartak z Tomaszowa Mazowieckiego.

— Za co jeszcze płaci pan tak drogo?

— Stelaż metalowy kosztuje nas 690.000 zł, nawet klej „podskoczny” do 3 tysięcy za kilogram. Nie wspomnę już o płytach wiórowych, których cena, w zależności od grubości, oscyluje w okolicy miliona za metr sześcienny.

Odwiedziłem Zakład nr 1 Łódzkiej Fabryki Mebli mieszczący się przy Zgierskiej 59. Tu nie tylko się produkuje meble, ale jest także stała ekspozycja tego, co aktualnie trafia do handlu. Można dostać przysłowiowego zawrotu głowy oglądając owe cuda, będące dziełem polskich rzemieślników.

EUGENIUSZ IWANICKI

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA, 18.04.1990 R.

PROGRAM II

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Telefon 110” — O krok od daleko — film prod. NRD
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kamelion
16.50 Dla dzieci: COJAK
17.15 Telexpress
17.30 Program publ.
19.00 Dobranoc
19.10 Rzeczpospolita samorządna
19.30 Wiadomości
20.05 Sport — Puchary Europy w piłce nożnej
21.50 Zawsze po 21-szej
22.30 Wiad. wiecz.
22.45 Rozmowy o „Res Publice”
23.35 J. angielski

16.55 Korepetycje dla maturzystów
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa Lista Przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 „Dobra nadzieja” — odc. 4 franc. ser.
19.00 Express gospodarczy
19.20 Antena Dwójki
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Magazyn „Piątek”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wianek z róż” — ang. film fab.
Jest to nastrojowa opowieść o niespełnionych uczuciach i zawiedzionych nadziejach. Miłość pannenki z dobrego domu do przypadkowo spotkanego w pociągu mężczyzny przeradza się w osobistą tragedię...
23.10 Komentarz dnia

SOBOTA 21.04.1990 R.

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. francuski
17.25 Program dnia
17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
18.00 „Marc i Sophie” — odc. 8 franc. ser.
18.30 Magazyn „102”
19.00 Express gospodarczy
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron — „Krajobraz po wyborach”
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” — odc. ser. TVP
22.20 Telewizja noca
23.05 Komentarz dnia

7.45 Program dnia
7.50 Tydzień na dziale
8.20 Na zdrowie
8.40 Ziarno — program red. katolickiej dla dzieci i rodziców
9.00 DROPS — magazyn dla dzieci i młodzieży
10.30 Wiad.
10.40 Azjatycka mozaika: „Sztuka sceniczna w Chinach — Opera” — odc. 12 ser.
11.10 Militaria, obronność, nowoczesność
11.35 Laboratorium
12.05 „Nasz dom” — film dok.
12.35 Koncert życzeń
13.05 Z Polski rodem
13.35 Program dnia
13.40 Flesz — progr. muz.
14.10 Informacje — progr. rozrywkowy
14.45 Polska walcząca 1939—1945
15.45 Telexpress
16.00 Wizyta papieża Jana Pawła II w Czechosłowacji — transmisja uroczystej Mszy św. w Pradze
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Krew i orchidee” — amerykański film fab., reż. Jerry Thorpe.
Akcja tego dwuczęściowego filmu rozgrywa się na Hawajach przed wybuchem II wojny światowej. Młoda małżonka pochodząca z bogatej rodziny wdaje się w romans z oficerem amerykańskiej marynarki, kolegą jej męża. To doprowadza do dramatycznych wydarzeń i napięć, w które uwikłani są nie tylko główni bohaterowie.
21.40 Telew. Przegląd Sportowy
22.10 Gra orkiestra Gustawa Broms
22.55 Telegazeta

CZWARTEK, 19.04.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Hannay” — odc. 4 ser. pt. „Tajemnicze morderstwa”
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz Kino Kwanta — „Ody”
17.15 Telexpress
17.30 System
18.00 Program lokalny
18.45 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.10 „Od A do Z”
19.30 Wiadomości
20.05 „Hannay” — odc. 4 ang. ser. sensac. pt. „Tajemnicze morderstwa”
21.00 Interpolacja
21.50 Sport
22.00 Pegaz — mag.
22.45 Arnold Schönberg: „Ocalony z Warszawy”
22.55 Wiecz. wiad.
23.10 J. angielski

16.55 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 „W labiryncie” — odc. ser. TVP
18.00 „Katastrofy” — odc. ang. ser. dok.
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Plazy” — film przyrodniczy
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatrálne Dwójki: T. Kantor — „Nigdy tu już nie powróce”
23.05 Komentarz dnia

PIĄTEK, 20.04.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Nowinki za plotem” — odc. 5 ser. NRD pt. „Konsekwencje”
16.00 Program dnia — Telegazeta
16.05 Piłkarska kadra czeka
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Telexpress
17.30 Raport
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tyg. gospod.
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia filmowa: „Droga do Marsylii” — ameryk. film fab.
Akcja filmu rozgrywa się w czasie II wojny światowej. Pięciu Francuzów zesłanych na Diabelską Wyspę organizuje ucieczkę. Ale zanim rozpoczyna walkę z faszystami, przyjął wiele niebezpiecznych przygód. Film z udziałem wielu znakomitych aktorów — H. Bogart, M. Morgan i inni.
21.55 Sport
22.05 Weekend w Jedyńce
22.15 Tele audio wideo
22.35 Wiad. wiecz.
22.50 Spór o jutro — Otwarte studio

11.45 Konkurs 5 milionów
12.30 W świecie klasy
12.55 Program dnia
13.00 „5 — 10 — 15” — program dla dzieci i młodzieży
14.30 Małe kino: „Filosofia rocka” — film dok.
15.00 Studio im. Andrzeja Munka
16.00 Klasa i dźwięk
16.30 Legendy filmu — Anthony Quinn
17.30 Wielka gra
18.30 „Odson” na antenie Dwójki
19.30 Alfa i Omega
20.00 Poznańska Wiciana Muzyczna
21.00 „Dwa plus T” — drugi o-bieg w II programie
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mussolini” — odc. 1 amerykańskiego filmu
Jest to siedmioczęściowy serial poświęcony Benito Mussolinemu, dyktatorowi, którego twórcy filmu ukazują na szerokim tle historycznym, obyczajowym i rodzinnym. Postać tę kreuje niezwykle sugestywny George C. Scott, który po realizacji filmu orzekł, że była to jedna z najtrudniejszych ról — musiał stworzyć osobowość o skomplikowanej psychice, postać człowieka z jednej strony kochającego dom, rodzinę, zwierzęta, z drugiej zaś — całkowicie pozbawionego skrupułów, popadającego z jednej skrajności w drugą. A rezultat — nagroda Emmy...
22.45 Alfabet Kisiele
23.00 Komentarz dnia
23.05 „Miejsce zbrodni” — franc. film sensacyjny, scen. i reż. Andre Techine.
Film opowiada o losach 14-letniego Thomasa, który przypadkiem trafia na kryjówkę dwóch zbiegłych z więzienia przestępców. Chłopak żyjący dotąd w spokoju w małym miasteczku, u boku ukochanej babci i ojca, nie potrafi sobie wyobrazić, jak ten fakt skomplikuje jego dalsze życie.

NIEDZIELA, 22.04.1990 R.

PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Notowania
7.55 Program dnia
8.00 Dla młodych widzów: Telegazeta

8.20 Wiad.
9.25 Wizyta papieża Jana Pawła II w Czechosłowacji
12.45 Koncert życzeń
13.30 „Żyć” — mag. ekolog. (1)
14.00 Morze — mag.
14.20 Pięprz i wanilia — Z wiatrem przez świat: „Wyspa — więzienie”
15.05 „Żyć” — mag. ekolog. (2)
15.35 Spiewać każdy może
16.20 „Żyć” — mag. ekolog. (3)
16.50 Antena
17.15 Telexpress
17.30 Telewizja z podziemia — Kto ma dostęp, ten ma władzę
19.00 Wielezorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — Południe” — odc. 10 ameryk. ser.
21.40 7 dni — świat
22.10 Wiad. wiecz.
22.20 Sportowa niedziela
23.50 Telegazeta

PROGRAM II

8.00 „Północ — Południe” — odc. 10 ameryk. ser.
9.35 Przegląd tygodnia
11.00 Kalendarz
11.30 Jutro poniedziałek
11.55 Powitanie — Antena Dwójki
12.00 Polska Kronika Filmowa
12.10 100 pytań do...
12.50 „Możesz” — odc. 2 amerykańskiego filmu
13.35 Maciej Niesiołowski — Z batuta i z humorem
13.50 Kino rodzinne: „Autostrada do nieba” — odc. 8 ameryk. ser.
14.40 „Polacy” film dok.
15.50 Podróże w czasie i przestrzeni: „Czasy katedr” — odc. 9 (ostatni) ser.
16.45 Być tutaj: Zniszczenia — gawęda prof. W. Zina
17.00 Studio sport
17.30 Bliziej świata — przegląd telewizyj satelitarnej
19.00 Wydarzenia tygodnia
19.30 Galeria Dwójki — Jan Dobkowski
20.00 Studio sport
21.00 Kobiety 20-lecia
21.30 Panorama dnia
21.45 „Możesz” — odc. 2 amerykańskiego ser.
22.30 Piwnica Pod Baranami
23.00 Komentarz dnia
23.05 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK, 23.04.1990 R.

PROGRAM I

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 LUZ — program nastolatków
17.15 Telexpress
17.30 Gorące linie
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV: Tadeusz Rittner — „Człowiek z budki sutfiera”
21.10 Sport
21.20 Kontrapunkt
21.50 „Zabić księdza” — rep.
22.20 Wiad. wiecz.
22.35 Kłomniana — „Tajemnica Ady B.”
23.25 J. francuski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Ojczyzna — polszczyzna
17.45 Czarno na białym — przegląd PKF
18.30 Up With People — progr. rozrywkowy
19.30 Życie muzyczne
20.00 Auto-Moto Fan Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Byliśmy tacy młodzi” — radz. film fab.
23.10 Komentarz dnia

WTOREK, 24.04.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Matka Lucja” — odc. 1 włosk. ser.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Dla dzieci: Kino Tik-Tak — „Gumisie”
17.15 Telexpress
17.30 Spożyczenia
18.00 Program lokalny
18.45 Klinika zdrowego człowieka
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 Spotkanie z min. J. Kuro-niem
20.15 „Matka Lucja” — odc. 1 włosk. ser.
21.50 Listy o gospodarce
22.25 Wiad. wiecz.
22.40 Sport
24.00 J. rosyjski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Dookoła świata: U ludzi dobrej woli
18.00 „Człowiek, który zdemoralizował Hadleyburg” — nowela TVP
18.30 Dawniej niż wczoraj
19.10 Modlitwa wieczorna
19.30 Studio sport
20.00 Non Stop Kolor
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic (Wiktor Osiatyński)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Stan posiadania” — film fab. TVP
23.15 Komentarz dnia

Przemówił wielki niemowa

Książka Janusza Rolickiego „Edward Gierk — Przerwana dekada” do Łodzi jeszcze nie dotarła. Mało kto tę książkę już zna, a wszyscy o niej mówią.

Pamiętam radość, z jaką wszyscy przyjęli zmiany na stanowisku I sekretarza KC PZPR, gdy Władysław Gomułka zastąpił Edward Gierk. O Śląsku mówiło się wtedy Kataranga, a o Edwardzie Gierku — książkę śląski. Śląsk w tym czasie rozwijał się na tle kraju znakomicie i wszyscy zazdrościli Ślązacom warunków życia i lokalnego przywódcy. Myśleliśmy wtedy, że gdy przyjdzie do Warszawy całą Polskę uczyni tak zasobną i bogatą jak uczynił śląską ziemię. I Edward Gierk tego chciał, a jeśli nie potrafił, nie ta skala, nie ten wymiar człowieka, nie ta koncepcja. A przecież wielu ludzi dziś z tęsknotą wspomina czasy „Drugiej Polski”, gdy sklepy pełne były wyszukanych towarów, a żyliśmy za pożyczone pieniądze i dziś cierpimy skutki tamtego „dobrobytu”. Wydawało się, że na czele partii i państwa stanął człowiek światły, Europejczyk, szanowany we Francji, Moskwie i Waszyngtonie. Jak to się skończyło — wiemy.

„Panowanie” Edwarda Gierka przyspieszyło rozkład realnego socjalizmu, przyczyniło się do ukasztowania i zorganizowania opozycji, zaostriło wewnętrzne sprzeczności i musiało zakończyć się tym, czym się zakończyło — powstaniem „Solidarności”. Ludzie po prostu już dłużej nie chcieli tak żyć, a władza nie była zdolna do tego, aby przeprowadzić reformy, które były konieczne.

Mimo tego, że znamy koniec „przerwanej dekady” ludzie chcą wiedzieć: — jak to się działo? I Edward Gierk w rozmowie z Januszem Rolickim próbuje na te pytania odpowiedzieć. Czy próba jest udana? — każdy musi na to pytanie sam odpowiedzieć polekturze książki. Chciałbym tylko przypomnieć, że do tej pory panował taki zwyczaj, że oskarżeni nie mieli prawa głosu, nie mogli się bronić przed stawianymi im zarzutami. A zarzuty często były fałszywane!

Gdy władzę objął światły — wydawało się — człowiek, Edward Gierk, jego poprzednik został skazany na milczenie i przekreślony, a jego nazwisko zostało wymazane z przeszłości kraju. Zapadło milczenie nad Grudniem 1970 roku na Wybrzeżu, trwało milczenie nad wieloma sprawami z naszej przeszłości. Wiele nazwisk było trwane — wydawało się wtedy — wykreślonych z historii Polski, wiele spraw było niejasnych, pominiętych milczeniem. Wiele z nich zresztą do dziś nie wyjaśniono i oświadczam się, że nie będzie wyjaśnione. Edward Gierk w rozmowie z Januszem Rolickim stawia pytania, mnoży hipotezy, rzuca sugestie, ale w niczym to nie zmienia obrazu przeszłości.

To, że Władysław Gomułka miał trudny charakter i zapędził autokraty wiedzieli wszyscy. Głośno o tym było w kraju. Natomiast Edward Gierk ujawnia dziwną zależność między Władysławem Gomułką a Mieczysławem Moczarzem, sugerując, że wiąże się ona z tragicznymi wydarzeniami z początków PPR w czasach okupacji, kiedy ginęli jej przywódcy w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach, mimo wielu różnych prób wyjaśnienia tego, choćby w książce Andrzeja Werblana o Władysławie Gomułce, Mieczysław Moczar pozostaje natomiast nadal postacią mało poznaną, w jego życiorysie są zdarzenia do końca nie wyjaśnione. A żyją jeszcze ludzie, którzy znali go i z nim współpracowali.

Pragnę przypomnieć, że Władysław Gomułka za czasów „panowania” Edwarda Gierka szamotał się, pisał różne wyjaśnienia, chciał zajmować stanowiska wobec wydarzeń, przed czymś przestrzegał, czegoś się domagał. Pisywał do KC PZPR, ale KC PZPR milczało. Gdy już w latach osiemdziesiątych kwartałnik „Z pola walki” chciał wydrukować te

— niezmane do tej pory teksty Władysława Gomułki, cenzura ostro się sprzeciwiała, a uczyniła to na wyraźne polecenie „kogoś” z KC, komu publikacja tych tekstów była niewygodna. Mogę podejrzewać, że wielu ludziom dziś jest niewygodna publikacja książki Janusza Rolickiego o Edwardzie Gierku. Już zresztą protestowali publicznie Wojciech Zurek i Lesław M. Bartelski. Kto jeszcze zaprotestuje?

Ale najważniejsze, że taka książka mogła się w ogóle ukazać. Być może inni ludzie tamtych czasów też zechcą przemówić. Najwyższy czas!

WITOLD BOROWY

Coś jest „nie tak”

Pewien młody reporter dostał redakcyjne polecenie przeprowadzenia ulicznej sondy. Miał zadać tylko jedno, za to, jak się wszystkim wydawało (jemu samemu zresztą także), bardzo ważne pytanie: — Jak panu, pani żyje się w tej zupełnie nowej sytuacji?

Reporter mocno podniecony wybiegł na załaną słońcem tego dnia ulicę. Wyciągnął notes i z uśmiechem podszedł do młodego, na jasno ubranego mężczyznę, by zadać swoje pytanie. Tamten przyjrzał mu się przez chwilę, a potem, nie bacząc na to, że dookoła były kobiety, a nawet małe dzieci, krzyknął:

— Spieprzaj stąd kolego, bo jak cię trafia za chwilę w łeb, to odechce ci się zadawać głupie pytania!

Diennikarz mocno zaskoczony chciał coś powiedzieć, wytłumaczyć, jakie ważne zadanie ma do wykonania i że on też przecież pracuje i w tej pracy trzeba mu pomóc, czuł jednak, że żadne słowo nie chce mu przejść przez gardło. Mężczyzna w tym czasie patrzył na niego z ironicznym uśmiechem i rzucił jeszcze, nim zniknął w tłumie:

— A w ogóle, to nie mam czasu na takie głupstwa, kolego i lepiej ty też zajmij się jakąś konkretną robotą.

Nasz reporter nie załamał się wcale tym niepowodzeniem. „No cóż — pomyślał — Zie trafilam, następnym razem będzie lepiej... pierwsze koty za płoty”. I nagle jego wzrok zatrzymał się na samotnej, starszej kobiecie. Podszedł więc do niej czym prędzej i bardzo spokojnie powtórzył pytanie. Ale i tu reakcja okazała się co najmniej dziwna. Otóż kobieta, niezmiernie kilkunastoletnia dziewczynka, odwróciła się na pięcie i poczęła iść w przeciwną stronę. Reporter pobiegł za nią i zaczął jej wyjaśniać, w czym rzecz, kobieta jednak nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. „Co jest, do cholery, czy ona nie nie rozumie? — pomyślał. Aż tu nagle kobieta zatrzymała się i zdecydowanym głosem powiedziała:

— Jeśli się pan w tej chwili nie odechce, to zawołam milicję.

Cóż było robić? I w tej sytuacji reporter musiał zrezygnować. Ale to też wcale nie zraziło młodego adepta dziennikarstwa. Postanowił spróbować jeszcze raz i spróbował. Przy siódmej jednak osobie, a trzeba tu koniecznie wyjaśnić, że reakcje były różne, ale wszystkie raczej nieprzychylnie dla naszego bohatera, doszedł do wniosku, że coś jest „nie tak”. Zdecydował więc, że podejście do jeszcze jednej, ostatniej już osoby. I jednocześnie niemal, naprzeciw siebie spostrzegł kroczącego pewnym krokiem pana w okularach, który radośnie wymachiwał reklamówką.

— Przepraszam pana bardzo. — powiedział reporter, a głos lekko już mu drżał. — Czy mógłby mi pan odpowiedzieć na moje pytanie... jestem dziennikarzem — dodał.

— Ależ oczywiście, pytaj pan, o co chcesz, tylko najpierw psetrę mgłę w okularze. — powiedział ów człowiek zdejmując okulary.

„O rany, skąd ja znam to „psetrę mgłę w okularze”? — myślał gorączkowo reporter.

— Jak panu żyje się w tej zupełnie nowej sytuacji? — wykrztusił wreszcie.

— Proszę pana, świetnie... znakomicie wręcz... widzi pan, od niedawna jestem bezrobotny,

w tej chwili wypłacają mi już zasiłek... jestem sam, nie mam rodziny, za to mnóstwo, mnóstwo czasu... książki mogę czytać, telewizję oglądać... no, słowem wypoczywać, nad przyszłością będę zastanawiał się później... Czy coś jeszcze chciałby pan wiedzieć? — zapytał i włożył na nos okulary.

— Nie, dziękuję, nie już nie chcę wiedzieć. — odrzekł dziennikarz i z błędnym wzrokiem poszedł przed siebie. A gdy wrócił do domu, zasiadł do maszyny i napisał, że na dwadzieścia osób, którym zadał owo sakramentalne pytanie, dziewiętnaście chwaliło, chwaliło i jeszcze raz chwaliło, a tylko jeden mężczyzna skrytykował i to nie bardzo wiadomo dlaczego, nie potrafi bowiem przedstawić konkretnych argumentów.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

lewym okiem

Zoo w Oliwie

4 kwietnia 1990 r. Telewizja Polska nadała króciutki felieton o wodzie z warszawskich wodociągów. Podobno jest niesmaczna i brzydki pachnie. — Czy ta woda nadaje się do picia? — zapytał dziennikarz u znaną panią profesor, której nazwiska nie zapamiętałem. Pani profesor odpowiedziała tak: „oczywiście, że się nadaje do picia, nie wiem tylko czy nie wpływa ujemnie na zdrowie”. Zapamiętałem sobie tę wypowiedź jako genialną wprost ekspertyzę naukową, czy może ściślej — genialną receptę na formułowanie ekspertyz naukowych. Oczywiście nadaje się do picia, ale być może jest trująca...

Uzbrojony w taką receptę jestem gotów wynająć się od zaraz jako ekspert w dowolnej dziedzinie o każdej porze dnia i nocy. Mogę doradzać, konsultować i za psie pieniądze zwiększyć niezliczone szeregi doradców nasyłanych nam z całego świata.

— Czy ten model samochodu osiągnie szybkość 200 kilometrów na godzinę?

— Oczywiście, że osiągnie, tylko nie wiem czy nie rozleci się przy szybkości 50 kilometrów.

— Czy ten dźwięk uniesie tonę ciężaru?

— Z całą pewnością, tylko nie jest pewne czy nie upadnie na głowę ludziom pracującym na dole.

Jak widać nietrudno być ekspertem. Nie jest też trudno być absolutnym optymistą. Podczas niedawnej dyskusji sejmowej padło zdanie z ust wysokiego działacza gospodarczego, że powinniśmy pójść za przykładem państw, gdzie przeważają przedsiębiorstwa małe i średnie. Znaczną ich część — powiedziano — bankrutuje tam po krótkim czasie, ale ciągle powstają nowe. Czy to nie jest optymizm? Czy nie jest optymistą ktoś, kto mówi na przykład, że jest jakaś wyspa o wrednym, niezdrowym klimacie, gdzie ludzie żyją krótko, umierają młodo, ale za to wciąż rodzą się nowi. Oczywiście nie twierdząc, że małe i średnie przedsiębiorstwa są niedobre. Doceniam cały ich urok i pożytek. Tylko argumentacja, która miała ten urok potwierdzić wydata mi się niezbyt trafna.

W ostatnich dniach dowiedziałem się także z telewizji, że ogród zoologiczny w Oliwie zagrożony jest upadłością, bo nie ma czym wyżywić biednych zwierzątek. Dowcipny komentator telewizyjny radzi, żeby silniejsze i cenniejsze zwierzęta nakarmić mięsem ich słabszych i mniej cennych towarzyszy. Myślę, że byłoby to przeniesieniem pomiędzy zwierzęta stosunków międzyludzkich, panujących na wielkich polaciach naszego globu.

Zawsze bardzo lubiłem i nadal lubię odwiedzać ogrody zoologiczne, z przyjemnością włączam telewizor, gdy występują w nim państwo Guwiniści. Z wielkim żalem ustąpiłem o niebezpieczeństwo, jakie grozi zwierzętowi oliwskiemu.

Co dzień dowiaduję się o czymś z wielkim żalem. Nie wiem, czy wystarczy pomysłom na fundacje, które potrafiłyby temu wszystkiemu zapobiec.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

— W pewnym sensie — odparł Major. — Rem, dajmy na to, wie co będzie, czyli coś jednak jest, chociaż pewności nie ma.

— Dziecko ochrzęsz?

— Nie możemy mieć dzieci — powiedział cicho komendant.

— Szkoła, szkoda — pokławił głową Naczelną, już daleko myślami, już zatroskany czymś, zasępiony — Sprawdź, czy Smigłowiec Barda już wyładował. A za radio Marat mi odpowie...

Smigłowiec nie wyładował. Późnym popołudniem wznowiona została łączność, ale funkcjonowała wybiórczo. Marat telefonował do domu co piętnaście minut, linia była wolna, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Jak to możliwe? Dzieci wyjechały na urlop do Hiszpanii, podrzuciły im wnuka na cały miesiąc, Barbara musi więc być w domu. Zamiast Barbary odezwał się sklep futrzarski, potem gazownia, potem zegarmistrz.

— Szesnasta czterdzieści dziewięć. Szesnasta czterdzieści dziewięć. Szesnaście...
Zadzwoń do swego sekretariatu, natychmiast odezwał się dyżurny, dał słuchawkę Beacie.

— Co tam w firmie? — zapytał. — Nic pilnego?

— To co zwykle, szefie.
— Odczytał, kto telefonował.
W słuchawce zachrobotało, brzękło, pomyślał, że znowu nadciąga awaria, ale po chwili usłyszał Beatę:

— Nie było ważnych telefonów.
— Jak to?! — Marata ogarnęło zdumienie.
— Przepraszam. Dzwonili ze spółdzielni, wasz siostrzeniec dostał już mieszkanie.

— Nie interweniowałem w spółdzielni o mieszkanie dla siostrzeńca — rzucił ponuro Marat.

— Kilka razy podostałam waszej małżonce samochód...
— Pytam, kto telefonował!

— Nikt. Wiedzą, że jesteście na wakacjach. Jedni wiedzą, inni nie wiedzą, pomyślał Lucjan Marat przyskakiwając widełki i wybierając po kolei kilka innych numerów. Nikt się nie zgłaszał. Ogórkowy sezon, próbował pocieszyć się Marat, mnie nie ma, więc i oni się bęczą po basenach, po parkach. Dwa sekretariaty odezwały się, polecili, aby szefowie natychmiast dzwonił do niego. Telefonując, zobaczył w oknie Gajdacza i Rajskiego, idących asfaltową drożką w stronę garaży. Gajdacz niósł niedużą walizkę.

Drzwi trzasnęły, wszedł Ikar bez pukania.
— Słyszales? — wskazał na radiodiodę.
— Przecież nie działa.
— Już działa.

Włączył. Ze stereofonicznych głośników popłynął donośny głos lektora, kończącego odczytywanie komunikatu: „...Studentka Anna Genowefa, działaczka Komitetu Ocalenia Ziemi Ojczyźnej, oddała swe młode życie w ofierze za nas wszystkich. Cześć jej pamięci!”.

— Pauza i Marsz Żołny Chopina.

Marat wstał. Kolana miał miękkie. To był jego koniec, zapewne nieodwołalny.

— Kiedy wstanie? — zapytał drzewianym głosem.

— Ja?... — Ikar chyba nie udawał, był szokowany prawie jak Marat. — Przecież łączność dopiero od godziny. Nadają to cały dzień: Dygnitarze, bonzowie, promienci. Męcząca śmierć przez podpalenie. Wywiady z opozycją, z dostojnikami kościelnymi. Drama-

tyczna ekspertyza ekologiczna, chcą nas sądzić za zniszczenie kraju...

— Dosyć.

— Dosyć — zgodził się Ikar. — Idziemy. Szef czeka.

Garaże były zamknięte, dyżurny odmówił wyprowadzenia toyoty Gajdacza. Odesłał ich do komendatury, skąd taki właśnie otrzymał rozkaz. Był nowy, Młody, o sylwetce kulturyisty. W klapie kurtki nosił emaliowaną niez-

pomijną. Ci z personelu, których Gajdacz widywał tu wcześniej, mieli w klapach biało-czerwone różyczki.

Komendant wstał kiedy Gajdacz z Rajskim weszli do kantoru. Wyprężył się, zsalutował.

— Spocznijsz — skomenderował Gajdacz. — Słuchaj no, Major. Jedziemy z Rajskim do Bart. Powiedzmy, że w sprawach intymnych. Każ osiówkę w garażach, żeby migiem sprwadził tu mój wóz.

— Rozkaz! — komendant strzelił obcasami.

— Niestety. Droga do Bart jest nadal nieprzejezdna.

— Co ty pieprzys, komendancie? — zapytał Wincenty Gajdacz.

Komendant wręczył mu arkusz z raportem służby drogowej.

— Nawalnica, huragan, drzewa powyrwane z korzeniami, most pęknięty poprzecznie. Do jutra jednak powinni z tym sobie poradzić. Tak raportują.

— Widzę — mruknął Gajdacz.

— My spróbujemy mimo wszystko — powiedział Rajski do Majora. — Najwyżej zrobimy pieszo parę kilometrów. Prawda, kolego Gajdacz?

Gajdacz kiwnął głową.

— Owszem. Taki spacer to samo zdrowie, rzucił się parę deka sadia.

— Na pewno — zgodził się komendant. — Odradzam jednakowoż. W związku z męczącym w Bartach od wczoraj trwają niepokojne. Dzisiaj się nawet nasiliły. Są demonstracje na ulicach.

— Jakos przeżyjemy — zapewnił Rajski.

— Nie wiem — odparł komendant. — Odpowiadamy za wasze życie. Demonstranci mogą was rozpoznać, to grozi nieobliczalnymi konsekwencjami.

— Do diabła! — wybuchnął Gajdacz. — Linczu jeszcze na naszej ziemi nie było! Idziemy, Jerzy.

Komendant defiladowym krokiem wymaszerował zza biurka i zatarasował im drogę do drzwi. Stał na baczność, salutując.

— Otrzymałem rozkazy i pełnomocnictwa. Nie wolno mi wypuścić panów.

— Słuchaj no, Major — powiedział wolniutkenko Gajdacz. — Twój przełożony z Centrali jest moim szkolnym kolegą. Chcesz napytać sobie biedy?

— Nie wolno mi wypuścić panów — powtórzył komendant.

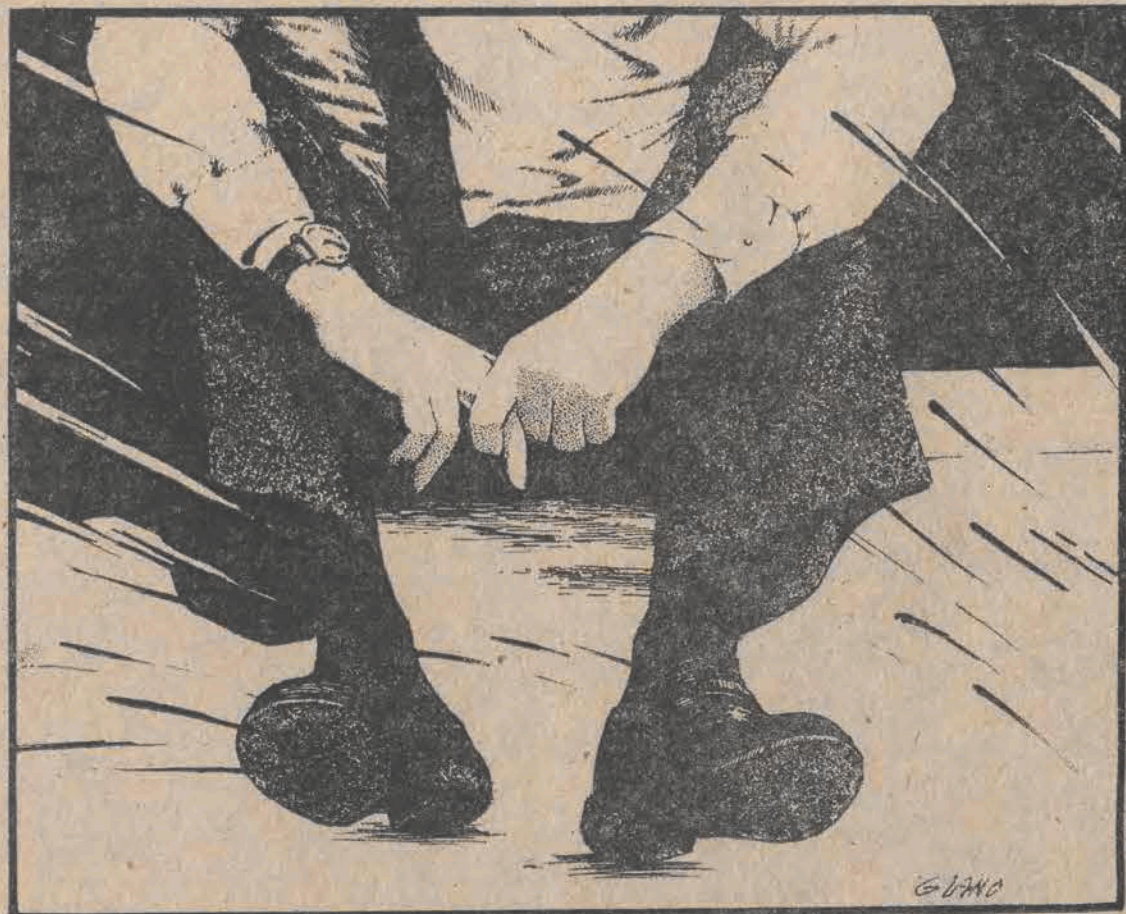
— Jesteśmy waszymi więźniami? — zapytał Rajski.

— Prędzej ja waszym — Major uśmiechnął się dobrodusznie, wciąż stojąc na baczności i tarasując drzwi. — Mam dyżurować dzień i noc, aż do odwołania. Nawet do żonki nie wolno mi, he, he, na pół godzinki.

C.D.N.

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (20)



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem słynnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”, którą napisał w 1935 r. pod pseudonimem wyroku za działalność przemysłową i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny

światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbójnego” i „W imieniu organizacji”. Kontynuujemy druk fragmentów jego „Zapisów oficera Armii Czerwonej”. Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich”, Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

Towarzyszowi A. Hitlerowi.

27 lipca, 1941 roku

W stodole.

Zupełnie bezpiecznie nie jestem, ale już trochę lepiej. Ważne jest to, że najgorszy czas ja przetrwałem i w ten sposób okropnej śmierci uniknąłem. Na wszelki wypadek postanowiłem ja te moje „Zapiski” zadedykować Hitlerowi. Bardzo to jest mądry i potężny wódz, i ogromnie go szanuję. A do Stalina żadnego już zaufania nie posiadam. Ale muszę opowiedzieć trochę obszerniej, jak ja z niemieckich pazurów wyrwałem się i życie sobie uratowałem.

Całą noc z 23 na 24 czerwca ja nie spałem. Nawet próbowałem usnąć, ale ze strachu nie mogłem. A nuż — myślałem — Hitlerowcy nadejdą i mnie capną. Wówczas i lampka przed portretem Hitlera nie pomoże. Naturalnie powiedziałbym szczerze, że gotów jestem służyć im wiernie i że Stalina, osobście chętnie bym zakatrupił. Ale czy mnie zrozumieją i czy uwierzą? I czy będę im potrzebny? Bo przecież takich jak ja w Rosji wiele milionów jest. Znowuż inna kwestia jest niewyraźna. A może Stalin właśnie z Hitlerem operuje i ruski naród morduje? Więc wówczas jeszcze gorzej bym wpadł... Polityka to delikatna sprawa i bez przeczytania „Prawdy” albo „Izwestii”, trudno zrozumieć, co rzeczywiście na świecie dzieje się.

Wreszcie postanowiłem ja, że trzeba uciekać. Ale co zrobić z rzeczami? Nie uniosę wszystkiego... Spakowałem ja rzeczy do walizki, wziąłem na plecy katarzynkę i stanąłem przed lustrem. Bardzo piękny był widok i długo ja sobą lubowałem się. „Tak — pomyślałem — sobie — przez tego podłego zdrajcę, Stalina, nie udało mi się tych skarbów stąd wy-

wieźć!”. Musiałem zostawić prawie wszystko.

Zacząłem ja szykować się do drogi, bo zrozumiałem, że w Wilnie zostać nie mogę. Sprułem ja oficcerskie odznaki. Wziąłem gorsze buty. Wziąłem ze sobą pieniądze, zegarek i te moje „Zapiski”. Dokumenty oficcerskie, partyjny bilet i pistolet wsadziłem głęboko pod obicie w fotelu. Może to jeszcze i ocaleje.

Miałem ja stary, podarty szynel i lichą czapkę. Wiozłem ja je, żeby na zwykłego bojaka wyglądać. Stałem znów przed lustrem. Ale jak popatrzyłem na siebie, to mnie same łzy z oczu popłynęły. Ot do czego doprowadził mnie zdrajca narodu rosyjskiego, Gruzin Dzugaszwilli-Stalin! Wziąłem ja ze sobą chleba, kiełbasy, cukru i trochę palenia. Potem pożegnałem ja moje rzeczy. Pocałowałem katarzynkę, walizkę i giemnowe buty, bo nie miałem nadziei, że znów je zobaczę.

Wreszcie, o godzinie 2 w nocy, zamknąłem ja starannie drzwi do mego pokoju na wszystkie klódki i zatrzaski. Posiuchałem: czy nie zauważył ktoś w mieszkaniu, że wychodzę i po cichu wydstałem się na schody. W mieszkaniu było jeszcze ciemno, więc poszedłem prędko w kierunku Zakretu. Znałem ja drogę do Landwarowa i postanowiłem na razie tam się udać. A potem będę się starał na wschód przedrzeć się, bo w tych okolicach niedługo ja się uchowam.

Kiedy znalazłem się w Zakrecie, to zaczęło się rozwidniać. Doszedłem ja do rzeki, wyszukałem przy brzegu łódkę i przeprowałem się na drugą stronę Wilni. Wiedziałem, że tam większych dróg nie ma, więc na razie będę bezpieczny. A Polacy chyba mnie nie chwycą i Niemcom nie wydadzą. Bo oni Niemcom tak samo nie lubią jak nas.

Cały dzień przesiadałem ja

w lesie. Było spokojnie, ale usnąłem dopiero wieczorem. Obudziliem się po północy i poszedłem dalej wzdłuż rzeki. Łatwiej można było zachować potrzebny kierunek i woda była blisko, żeby się napić, bo dni były gorące.

W nocy słyszałem ja, że dużo samolotów leciało. Potem z tyłu, nad Wilniusem, jasno się zrobiło jak w dzień. To pewnie Niemcy miasto i drogi rakietami oświetlali, żeby się przekonać, czy Wilnius będzie bronił. Ale kto tam będzie się bronił. Chyba nauczycielki paletniami.

Nad ranem zobaczyłem ja po drugiej stronie Wilni większe lasy. A osiedli ludzkie nie było tam wcale widać. Więc ja znów przez rzekę przeprowałem się i w lesie cały dzień przesiadałem. W ten sposób ja w dzień w lasach ukrywałem się, a nocami dalej szedłem, sam nie wiedząc dokąd. Ale jedno było dobrze, że byłem żywy i swobodny.

Cały tydzień laziłem ja jak wilk po lasach. Chleb mi się skończył przedk, ale kiełbasy i cukru na dłużej starczyło. Postanowiłem ja wreszcie pójść do ludzi. Może gdzieś jakaś pracę otrzymam, bo w lasach z głodu zdechnę. Ale muszę zataić to, że byłem oficerm. Inaczej, jeśli mnie kiedyś Niemcy złapią, będzie ze mną marnie. A na szeregowca może nie będą bardzo żli.

Cały czas bardzo ja żalowałem, że nie mam cywilnego ubrania. Wielki popełniłem błąd, że nie kupiłem sobie, tak jak wielu innych naszych oficerów. Pewnie zrozumieeli oni, że się skończyła nasza wielka przysięga z Niemcami i będą musieli uciekać. Ale bardzo mnie dziwi, że Niemcy tak łatwo nas pociągają. Jeszcze ich i znaku nie było, a już całe nasze wojsko drapnęło. A władze pierwsze. Nawet nie zawiadomili, dranie, co mam robić. Nie ina-

czej tylko zdrada była. Nigdy ja tego Staliniowi nie daruję! Ot, żeby go teraz w lesie samego spotkać! Nauczylbym ja go dialektyki marksistowskiej tak, że do śmierci by popamiętał!

Pewnego dnia ja od rana nie jadłem i zupełnie z głodu osłabłem. Ale wieczorem w pobliżu lasu chałupę zauważyłem. Zacząłem ja z dala ją obserwować. Ale żadnych Niemców nie zauważyłem. Tylko jakaś baba i dzieci w obejsku się krzątały. Zaczekałem ja dopóki się ściemni i wszedłem na podwórze. Dostrzegłem w oknie domu światło i zajrzałem do środka. Zobaczyłem że przy stole kobieta i dzieci siedzą. Kolacje jadły. To mnie głód aż kiszki skręcił. Postanowiłem wstąpić do nich.

Znalazłem wejście do sieni, a stamtąd otworzyłem drzwi i wszedłem do izby. Od razu zrozumiałem, że i tu burżuazja mieszka. Podłoga z desek. Ściany oklejone tapetami. Obrazy jakieś wiszą. A na łóżkach poduszki w białych powłóczkach są. Chciałem ja się cofnąć, ale było już za późno. Dodała mi trochę odwagi ta okoliczność, że dostrzegłem, iż dzieciaki przy stole boso siedzą.

— Dobry wieczór! — powiedziałem.

— Dobry wieczór! — rzekła kobieta i obejrzała mnie uważnie.

Dzieci też na mnie oczy wytrzeszczały. Wtedy powiedziałem:

— Sprzedajcie mnie, gospodyni, chociaż trochę chleba, bo bardzo jestem głodny.

— Nie mam ja chleba na sprzedaż — powiedziała kobieta. — Może wkrótce sami będziemy bez chleba. Zniszczył nas bolszewicy. Męża zabrali razem z koniem i furmanką. Pognali na jakieś roboty i już rok minął, a on nie wraca. Pewnie gdzieś zginął. Syna starszego zabraliście do niewoli w 1939 roku. O nim też nic nie wiem. Więc nie mamy teraz ani konia, ani młóczyzny do pracy... Zniszczyliście nas od razu i pie wiadomo za co!

— Cóż ja temu, gospodyni, winien jestem? Mnie też bolszewicy zniszczyli. Zabrali do wojska. Przegrali aż tu. A teraz sami uciekli a mnie zostawili. Nie wiem, gdzie iść ani co robić.

Wtedy kobieta nalatała do miski zupy i odkroiła duży kawałek chleba. Wskazała mi miejsce przy stole.

— Siada i jedz! — powiedziała. — Chociaż ty i bolsze-

wik, ale nie chcę głodnego człowieka do domu wypędzać. Po tygodniu czasu suchego jedzenia bardzo mnie tamta zupa smakowała. Więc zjadłem wszystko z miski, a chleb wzięłem do kieszeni na później.

— Wiele wam należy się? — spytałem.

— Nic ja nie chcę od ciebie — powiedziała kobieta. — Dałam ci jeść, żeby nie zgrzeszyć. Chrystus nam kazał głodnego nakarmić, a wrogom wybaczać. Może i moi tam w Rosji, jeśli jeszcze żyją, gdzieś głodni są, to ich też ktoś kawałkiem chleba wspomóż.

Nie bardzo ja w to uwierzyłem, żeby im w Rosji ktoś coś dał. Wiadomo: sami nie mają. A jak zarobią coś, to od razu zjedzą, bo są głodni. Ale podziękowałem ja jej bardzo grzecznie i spytałem:

— Czy nie widzieliście tu Niemców, gospodyni? Bardzo ja ich boję się, bo zastrzelił mnie jak zobaczy. A cóż ja temu jestem winien, że żołdatem jestem. Wzieli do wojska i kazali służyć, więc musiałem.

— Rozumiem ja to — powiedziała baba. — Naszych chłopaków Sowiety też dużo do wojska popędzili. Zostali ci, co pokrzykali się. A Niemców to ja nawet na oczy nie widziałam. Słyszałam tylko od ludzi, że wielka ich siła głównymi drogami posuwa się.

Jak zaczęła ona potem kłąć Hitlera i Stalina, to mnie aż strach ogarnął... Co innego Stalina, bo czort go wie gdzie on jest. Ale Hitler tuż-tuż! A ta kłnie... Tak, nie umieli polscy panowie swego narodu porządnie wychować. A teraz nie wiadomo jak z nimi i mówić. A ona głośno krzyczała:

— Zwalili się, zarazy, na nasze głowy i niszczą nas! Pracować rzetelnie im się nie chce, to po naszą krwawicę przychodzą. Jeden szatan był. Pozabierał bydło, zboże, ludzi. Teraz drugi przyszedł! I nie ma na nich cholery albo piurów!

Strasznie ona ich kłnie. To i ja zacząłem jej pomagać. Tylko o Hitlerze, naturalnie, nie wspominałem. Ale Stalina to ja porządnie obrobilem.

— I mnie, gospodyni, ten poddy Stalin zniszczył! I całą Rosję tak samo. Nie tylko was.

W ten sposób my im z godzinę czasu wymyślił. Babina Staliniowi i Hitlerowi. A ja Sta-

linowi. Ona ze złości i żalu to nawet plakać zaczęła. Wiadomo: nieświadomiony polityczny element. Nie rozumie, że tak ono i powinno być, bo inaczej porządku by nie było. Tylko ten Gruzin Stalin tak nas doprowadził i naraził związek Sowietki oraz niezwytyczoną Armię Czerwoną na wielką klęskę.

Pożegnałem ja gospodynię i bardzo jej dziękowałem. Pokazała mi ona jak wyjść na większą drogę... w kierunku litewskiej granicy. Powiedziała, że tam jeszcze spokojnie i Niemców na pewno nie ma.

Trochę weselej mi się zrobiło. Najadłem się dobrze i kawałek chleba miałem w zapasie... Ale głupi ten polski naród! Sama mówi, że bieda u nich, a jednak innemu pomaga. I to komu? Właśnie temu, kto pomógł Staliniowi tu wejść. Ze ona pospolita chłopka, to nie bardzo ja w to wierze. Bo obrzy na ścianach, podłoga, krzesła i poduszki w białych powłóczkach ja zrodziły. No i trzewików kilka par zauważyłem. A najwięcej podejrzyany był duży ścienny zegar. Więc przypuszczam, że i jej mąż w rządzie polskim jakieś większe stanowisko miał. Bo gdzieby chłop zwykłą drogą do takich rzeczy doszedł? Ale najwięcej mnie zdumiewa jej odwaga. Pierwszy raz w życiu człowiek zobaczyła i od razu kłnie z ostatnich słów i Stalina, i Hitlera. Żadnej rozwagi nie posiada.

Znalazłem ja większą drogę i poszedłem bocznymi ścieżkami w kierunku na Litwę. Ale starałem się tak iść, żeby ciągle być w pobliżu lasu. Zawsze to bezpiecznie. Ludzi tej nocy nie spotkałem, ale wiele razy słyszałem jak w pobliżu psy szczekają. I po co tu tyle tego drania trzymają? Przecież trzeba i żreć dawać... W Wilniuse my z psami porządek zrobili. Ja sam kilka zastrzeliłem. Wiadomo: pies to element kontrewolucyjny. Z dala czuje, że patrol idzie i reakcjonistów szczekaniem uprzedza. Nasze orły z NKWD też psy mają i szkola je odpowiednio dla zwalczania wrogów ludu pracującego. Więc jeśli szczekają, to tylko w celu socjalistycznym i w tenże sposób.

C.D.N.